

Z «TESTAMENTU WŁODZIMIERZA MONOMACHA»

(w. XII)

Wy, dzieci moje, i każdy, komu słuchać przyjdzie tego pisma mojego — nie śmiećcie się z niego; a komu z dzieci moich przypadnie ono do duszy, niech przyjmie je w serce swoje i zacznie wieść nieleniwe a uczynne życie; a nadewszystko, dla miłości Boga i dla duszy swojej, niech ma w sercu lęk Boga i dawa szczodre jałmużny — to jest początek wszystkiego dobra. A jeśli-żে komu nie spodoba się moje pisanie, niech się nie sierdzi, a szczerze wypowie: «oto jadący w daleką drogę mówił nie do rzeczy». Na Włodze napotkali mnie posłowie od braci z temi słowy: «Sprzymierz się z nami i pójdziemy na Rościsławiczów odbierać im ziemię; a jeśli nie pójdziesz z nami — na zawsze się od ciebie odwrócimy». Odpowiedziałem im: «Mimo gniewu waszego — nie mogę iść z wami i naruszyć przysięgi». Odprawiwszy z tem posłów, w smutku będąc, wziąłem psalterz, otwarłem go i oto, co ujrzałem: «Czemuś smutna, duszo moja, i czemu się trwożysz?» i t. d. Tedy wybrałem z tych słów słowa, które przypadły mi do serca, złączyłem je razem i napisałem: «jeśli się wam nie spodoba to, co dodam od siebie — przyjmijcie to, co stoi na czele»...

Tłum. A. Maryńska.

ZE «SŁOWA O WYPRAWIE IGORA»

(w. XII)

Nie zdałoby się, bracia mili,
 Starodawnemi zacząć słowy
 Smętną opowieść o mozołach
 Onej wyprawy Igorowej?
 Przystoi zaś pieśń tę zacząć
 Nie jako Bojan zwykł przesławny,
 Lecz wedle podań tego wieku.
 Bo on, ów wieszcz gęslarz dawny,
 Gdy komu pieśń zamierzył śpiewać,
 Myślą rozplywał się po drzewie,
 Po ziemi skakał wilkiem szarym,
 Szybował orłem siwym w niebie.
 Wspominał-ci on stare klechdy,
 Niezgody, co bywały niegdy,
 Zaczem sokółów bystrych dziesięć
 Poigrać puszczał na łabędzie,
 A który sokół pierwszy spadnie,
 Ten łabędź pierwszy dumę gędzie:
 Urodziwemu Romanowi,
 Synowi Światosławowemu,
 Jarosławowi sędziwemu
 Lub odważnemu Mścisławowi,

Który przed pułki kasożskiem
 Rededję ubił w krwawej walce...
 Lecz nie sokoty na łabędzie:
 Na żywe struny wieszczę palce
 Opuszczał, bracia, stary Bojan
 I struny same gędły sławę
 Kniaziowych dni, kniaziowych wojen!
 Niechaj więc powieść nasza, bracia,
 Z zamierzchłych czasów Włodzimierza
 Ku Igorowym dziejom zmierza.
 Umocnił Igor ducha męstwem,
 Pogonił myślą za zwycięstwem,
 Wyostrzył serce swe w krzepkości,
 Z pułkami ruszył w bój męźnemi
 Z rodzimej ziemi, ruskiej ziemi,
 Do wrażeń polowieckich włości.

Niewesoła nam, bracia, godzina,
 Niewesoła godzina nastała!
 Siłę naszą pokryła pustynia,
 Dziewa Krzywda w ruskiej ziemi wstała.

Wstała Krzywda z Dadźbożych zastępów,
 Po twej ziemi idzie, Trojanie,
 Łabędziami skrzydłami pluszcze
 W rzece Donie, w sinem morzu-oceanie.
 Stare dzieje, tłuste lata przypomina,
 Jaka sława była ongi, jaka chwała.
 Niewesoła nam, bracia, godzina,
 Niewesoła godzina nastąpiła!
 Rzekł brat bratu: «To moje i to moje».
 I o ziemię się brat z bratem swarzy,
 I o małym powiada, że wielkie,
 A tu czyha pohaniec wraży.
 Sami sobie naraili niedolę:
 Owoż przyszli Połowcy, Igorze.
 Oj, daleko pofrunąłś, sokole,
 Goniąc ptaki, zaleciałś nad morze.
 A nie wskrzesić już wojska dziarskiego!
 Słychać Żeli, Kariny płacz rzewny,
 Idą Rusią z rogiem gorejącym
 I żar-popiół roznoszą pogrzebny.
 Żony ruskie szlochają, zawodzą:
 Niema mężów naszych miłych, niema,
 Ani dumą nam o nich podumać,
 Ni pomyśleć, ni ujrzeć oczyma!
 Złota-srebra nie uzbierać wdowie,
 Niema mężów! pomarli ładowiel! —
 Jęknął Kijów z żałoby, bracia,
 A Czernihów z napaści srogiej,
 Płynie boleść tłusta ziemią ruską,
 Połoniły ją łupieżce-wrogi.
 Teraz kuną dań od dymu płacć im!
 Oj, źle, bracia, gdy są gniewy wśród braci.
 Obudzili Igor z Wsewołodem
 Tę niezgodę, co ją uspił rodzic.
 Groźny był ów Światosław włodyka,
 Książ kijowski, wielki Olegowic!
 Burzą był! Runął gromem w Połowce,
 Góry, lasy, jarugi przydeptał,
 Zmiażdżył wrogów, w pień swym mieczem
 wyciął,
 Rzeki zmacił, potoki wychleptał.
 A Kobjaka z nad zatoki — wichurą
 Wyrwał z pulków żelaznych uścisku,
 Śmignął chanem, jak kamieniem z procy,
 I spadł Kobjak w kijowskim zamczysku.
 Więc śpiewają Niemcowie, Grekowie,
 Pieje pieśni Wenecja, Morawa,

Sławią kniazia obcy językowie,
 Śpiewem sławią kniazia Światosława.
 A synowi nie będzie pieśni
 I nie dadzą mu czci i chwały,
 Bo zasypał ruskiem złotem i skarbem
 Wody rzeki połowieckiej Kajaly.
 Zstąpił Igor ze złotego łęku,
 W koszczejowy siadł, książę-pojmaniec!
 O, lutości! O, nędzo! O, jęku!
 Rozpanoszył się mściwy pohaniec!
 Pod brzemieniem się ziemia ugina;
 W grodach smętek, radość uleciała,
 Niewesoła nam, bracia, godzina,
 Niewesoła godzina nastąpiła!

Śpiewał Bojan, pieśniarz dziejów dawnych.
 Słuchał Oleg, Jarosław, Światosław.
 Śpiewał gęślarz o książętach sławnych,
 I w zamierzchle czasy pieśń go niosła.
 Książców gadką on nieraz zagadnie:
 «Książę! Głowie bez karku niesporo,
 Lecz i ciału bez łba nieporadnie!»
 Tak też Rusi było bez Igora.
 Słońce wyszło na spotkanie twoje,
 Łado! Łado! Witaj nam, Igorze!
 Na dunaju śpiewają dziewoje,
 Do Kijowa płynie pieśń przez morze.
 Przez Boryczew jedzie książę dzielne
 Czołem bić Przenajświętszej Dziewicy,
 Pirogoszczej Bogarodzicy.
 Radość w grodach. Brzmią pieśni weselne.
 Chrobrym wojom cześć już oddaliśmy,
 Starym książcom pieśń wyśpiewaliśmy,
 A należy się i dla młodszych cześć,
 I junakom też trzeba okrzyk wznieść.
 Ej, Igorze cny, żyj szczęśliwie nam!
 I Włodzimierz syn niechaj żywie nam!
 Niechaj żywie nam buj-tur Wsewołod!
 A i wszyscy ci, com im śpiewał ot!
 Niech raduje się chrześcijański lud,
 Że książ wojsko wiódł na pogański ród.
 Będziem chmielny miód z roztruhanów pić
 Za tych, którzy szli bisurmanów bić!
 Książom i drużynie
 sława, sława, sława!
 Amen.

Tłum. Juljan Tuwim.

Z BYLIN O ŚWIATOGORZE

Wybrał się raz Światogor w szerokie pole pohulać,
 Osiodłał swojego dobrego konia
 i jedzie w szerokie pole.
 Nie ma się z kim Światogor na siłę mierzyć

a siła - krzepkość po żyłach
 naporliwe moce żywe przelewa.
 Ciężko od siły-mocy, jak od wielkiego brzemienia.
 I tak powiedział Światogor:
 «Jakbym ja dobry uchwyt znalazł,
 tobym tę całą ziemię dźwignął!»
 I napotkał Światogor w stepie
 małe-a-małe sakwy-dwojaki:
 wziął bat, trąca sakwy — nie drgnęły;
 dźwignął palcem — nie poruszyły się;
 uchwycił z konia ręką — nie uniosły się.
 «Wiele ja lat po świecie jeździłem,
 a na taki dziw nie natrafiłem,
 takiego cudu nie oglądałem:
 małe-a-małe sakwy-dwojaki
 nie drgną, nie poruszają się, nie podniosą się.
 Zeskoczył Światogor z chybkiego konia,
 uchwycił dziwy-sakwy obiema rękoma
 i podniósł powyższy kolan —
 i po kolana Światogor w ziemię ugrzązł,
 a po zbladłem licu nie łzy, ale krew ciecze.
 Jak Światogor ugrzązł, tak i wstać nie mógł —
 tam też był jego skon.

Tłum. A. Maryńska.

Z PIEŚNI LUDOWYCH

PIEŚŃ O NAJŚCIU BATYJA

Z pod tej białej brzozy szeroko-gałęzistej,
 z pod tego cud-krzyża Lewanidowego
 szły i biegały cztery tury szczerozłotorogie,
 chybkim krokiem wymijały ten sławny Kijów-gród.
 I widziały nad Kijowem cud-nad-cudy,
 i widziały nad Kijowem dziw-nad-dziwy:
 jak po mur-ścianie Kijowa-grodu
 chodzi-przechadza się żywa, piękna dziewczica,
 w rękach trzyma księgę Bożą, Ewangelję,
 mało w niej czyta — płacze nad nią wiele.
 Uciekały tury precz od Kijowa.
 I spotkały w drodze turę, rodzoną matkę,
 dobieżały, zatrzymały i pozdrowiły:
 «Witaj nam, turo, rodzona matko!»
 «Witam was, tury, kochane dziatki!
 Gdzieście chodzili? coście widzieli?»
 «Krokiem-skokiem bieżaliśmy przez Kijów, sławny-gród,
 mimo tego, matko, muru grodowego,
 mimo tych baszt kamiennych-brzeziennych.
 I widzieliśmy nad Kijowem cud-nad-cudo,
 i widzieliśmy nad Kijowem dziw-nad-dziwo:
 tam po mur-ścianie, po tej grodowej,
 chodzi-przechadza się żywa, piękna dziewczica,
 w rękach trzyma księgę Bożą, Ewangelję,
 i czyta w niej mało — a płacze wiele».
 I odrzekła tak im tura, rodzona matka:
 «Oj, wy moje drogie tury złotorogie —

o niczem wy, male dziatki, nie wiecie:
to nie piękna, żywa dziewa chodziła tam po murze,
a chodziła Przenajświętsza Matka-Bogurodzica,
a płakała mur-ściana, matka grodowa.
Przepowiada przepowiednia-wiara chrześcijańska:
na Kijów-gród przyjdzie zguba...

MIMO LASU, MIMO CIEMNEGO...

Mimo lasu, mimo ciemnego,
mimo ogrodu zieleniutkiego,
dróżka-drożenka przebiegała,
szerokim pasem las opasała.
Oj, po tej dróżce, po drożeńce,
idą tam, idą żołnierzyki,
żołnierzyki prowadzą śmiałego młodziana,
udałego młodziana-rozbójniczka:
chyże nóżki w żelazo skowane,
wtył rączki związane,
a jasne oczki zapłakane.
Oj, wiedą go, wiedą w tę kamienną Moskwę,
grodowi złotemu, carowi Groźnemu.
I zaczął młodziana car wypytować:

«Wyznaj mi zaraz, udały młodzianie,
z kim rabowałeś, z kim rozbój trzymałeś
i kto są twoi towarzysze?»

«Odpowiem tobie, prawosławny carze,
z kim rabowałem, z kim rozbój trzymałem
i kto są moi towarzysze:
Najpierwszy mój towarzysz —
to ta ciemna noc,
a ten drugi mój towarzysz —
to mój wrony koń,
a ten trzeci mój towarzysz —
to mój ostry nóż».

Tłum. A. Maryńska.

ANTJOCH KANTEMIR

(1709—1744)

NA GANICIELI NAUKI albo DO SWEGO ROZUMU

(wyjątek)

(Autor wprowadza typy zacofańców z ich poglądami na naukę; energiczny szlachcic, który kieszeń nadewszystko ceni, tak rozprawia:)

Rozum stracił, kto duszy granice i moce
Bada, kto w czoła pocie męczy się dni, noce,
Aby porządek świata i rzeczy przemianę
Wyśledzić — toć on głupio rzuca groch na ścianę.
Czyż mi z tego choć jeden dzień przyrośnie w życiu
Lub grosz w kabzie, czy zbadam, ile mi w ukryciu
Kradnie włodarz, ekonom, jakby dodać w stawie
Wody, albo czyż więcej beczek wódki sprawię?
I to głupio, gdy człowiek z troską przy ognisku
Bada kruszców własności, cóż ma z tego w zysku?
Czyż abecadło od dziś dopiero umiemy?
Różnicę złota, srebra, miedzi znać możemy.
A traw, chorób znajomość? — Głupstwo, mówiąc szczerze;
Kiedy głowa cię boli, lekarz rękę bierze;
Wszystkiemu krew jest winna, jeśli dasz mu wiare.
Kiedy słabniemy, to w nas płynie krew nad miarę
Powoli; jeśli śpiesznie, gorączka — wnet śmiało
Powie, choć kto tam przejrzał wewnątrz żywe ciało!
I kiedy brednie takie, tracąc czas, wywodzi,
Sok najlepszy nam z worka do niego uchodzi.
Poco gwiazd biegi liczyć, naco się to zdało?
Poco dla jednej plamy nie spać przez noc całą?

Spokój za ciekawości tracić czczym nakazem,
 Czy się słońce obraca, czy my z ziemią razem?
 W kalendarzu przeczytasz bez wszego zachodu
 Dzień miesiąca, godzinę słonecznego wschodu,
 Bez Euklida ziemię podzielim w kawały,
 Bez algebry wyliczym, ile rubel cały
 Ma kopiejek. — Tak Sylwan tę wiedzę wychwala,
 Co uczy zmniejszać rozchód, a dochód ustala.
 Pracować nad tem, z czego kieszeń nie grubieje,
 Szkodliwy to nierozum! On się z niego śmieje.

Tłum. Bronisław Grabowski.

MICHAŁ ŁOMONOSOW

(1712—1765)

Z «ODY NA DZIEŃ WSTĄPIENIA NA TRON CESARZOWEJ ELŻBIETY»

Ty carstw i carów ulubiona
 Uciecho, ciszo ty bezpieczna,
 Tyś szczęście wsi i miast obrona,
 Jakżeś ty piękna, użyteczna!
 Dokoła ciebie kwiat się śmieje
 I ktoś na polu ci żółcieje;
 Okręty skarb już niosą swój,
 Na morze idąc niestrwożliwie,
 A ty swą ręką szkodrobliwie
 Na ziemię sypiesz bogactw rój.

Ty wielkie światło, które z góry,
 Z wyżyny wiecznej rzucasz blaski
 Na perły, złoto i purpury,
 Na wszystko ziemi piękno, łaski,
 Na wszystkie strony okiem wodzisz,

Nic piękniejszego nie znachodzisz
 Nad pokój i Elżbiety czar.
 Ty się nad nasze wznosisz głowy:
 Jej dusza powiew zefirowy,
 A wzrok jej niby raję dar.

.....
 Nauki młodzież żywią sobą,
 Pociechą starcom też bywają,
 W szczęśliwym życiu są ozdobą,
 W nieszczęściu znów ochronę dają.
 Pociecha w trosce to domowej,
 W podróży lekkie brzemię głowy,
 Nauki wszędzie cieszą lud:
 Wpółśród narodów, w pustyni czczości,
 We wrzawie miast i w samotności,
 W pokoju słodki niosą trud.

Tłum. Bronisław Grabowski.

ODA

(początek)

Ty, co próżne lejąc zale,
 Sarkasz na Nieba, człowiecze,
 Słuchaj, co groźny w zapale
 Z chmury Bóg do Hioba rzece.
 Przez grad, wichry, deszcz, płomienie,
 Głosem On gromy przerywał.
 Trzęsło się nieba sklepienie,
 Gdy go tak na spór wyzywał:

Powstań w męstwie i rozsądku!
 Powiedz mi, gdzieś był przed laty,
 Kiedym ja w pięknym porządku
 Stwarzał ten i drugie światy;
 Kiedym twierdze ziemi stawiał,
 Wielkość i władzę Jehowy,
 Poczet Anielski wystawiał —
 Jakaż mądrość twojej głowy?

Gdzieś był, kiedym gwiazd tysiące
 Zasiał w bezdennej przestrzeni,
 Kiedym ich światła iskrzące
 Zażęł ogniem twórczej dłoni,
 Gdy ze słonecznego czoła
 Potok promieni wytrysnął,
 Świat ożywiając dokoła,
 Gdy wśród nocy księżyc błysnął.

Kto dał morzom brzeg ze skały,
 Nurtom ich kresy położył,
 Czyjeż-to więzy nie dały,
 By się wściekły gniew ich srożył?
 Czy nie mojej ręki siła,
 Mrok rozegnawszy zadęty,
 Ciemne przepaści odkryła,
 Pchnęła z ładu słone męty?

Czy posłuszna twojej woli
 Zorza od wschodu przyspieje?
 Czy się na spiekle dno roli
 Drogi z nieba deszcz poleje?
 Czyli zdołasz łódź natchnieniem
 Wiatrów unosić polotnych?
 Wstrząśniesz ty ziemi brzemieniem,
 Byś wyrzucił z niej przewrotnych?

Lub gdzie morskie wrą topiele,
 Czyli się krok twój zakradnie?
 Może policzysz, jak wiele
 Dziwotworów mieszka na dzień?
 Kędy wieczna noc przesiada
 I niepowrotne są drogi,
 Śmierć li cię ujrzała blada —
 Czyś piekielne zdeptał progi?

— — — — —
 Tłum. Jan Kruszyński (1825).

ALEKSANDER SUMAROKOW

(1718—1777)

Z «TRESSOTINIUSA»

(Autor ośmiesza tutaj współczesnego literata — Tredjakowskiego.)

Tressotinius (*do Klaryssy*): Piękna piękności, przyjemna przyjemności, kłaniam się pani bardzo wiele.

Klaryssa: I ja panu bardzo wiele się odkłaniam, wielce uczona uczoności.

Tr. (*wyjmując pieśń z kieszeni*): Ten papier jaśniej pani powie, jaką zarazę w sercu mojem przyjemność pani, to jest piękność pani, mnie uczyniła, to jest zrobiła.

Kl.: Wierzę panu.

Tr.: Jednakże czy pani nie raczy nudzić się i posłuchać, a piosnka moja napisana bardzo, bardzo, właściwie mówiąc, za bardzo dobrze; a nadto jeszcze, szanowna pani, miarą choreiczną.

Kl.: Bardzo dobrze, panie, ja panu wierzę, że to dobra pieśń.

Tr.: Napisana jest na melodję: O, miejsca, miejsca drogie; racz, pani, posłuchać; ależ posłuchaj, pani!

Kl. (*na stronie*): Boże miłosierny!

Tr. (*czyta*):

Patrzę na twą piękność, palę się, jej, jej!
 Racz mię ty wyzwolić od boleści mej!
 Brew twa mię przebiła, głos mi krew zapalił.
 Męczysz mię, Klimeno, grot twój z nóg mię zwałił.
 Widzieć ciebie jest mi lubo,
 O, bogi mej miłości!
 Tylko dla mnie to jest zgubą,
 Żeś mi weszła w krew i kości.
 Albo ty mną, słodka pycho, światło miłe moje,
 Gardzisz ciągle, ach, niestety! jak się tego boję!
 Choć pocichu mi, Klimeno, okaż wzrok nęcący,
 Nie rób więcej sercu memu krzywdy zbyt krzywdzącej.
 Nie psuj twojej tem młodości
 I skłoń siebie ku mnie,
 Dozna umysł mój słodkości,
 Będę żyć nie w trumnie.

Kl.: Bardzo dobra pieśń.

Tr.: Racz, pani, posłuchać dalej.

Kl.: Nie, mam już dosyć.

Tr.: Jak pani się to słowo wydaje: «Nie rób więcej sercu memu krzywdy zbyt krzywdzącej»? Czyż to nie jest silnie powiedziane? Racz, pani, posłuchać dalej.

Kl.: Proszę nie trudzić się dla mnie więcej, mam już dosyć.

Tr.: Choć jeden jeszcze kuplet pozwól mi przeczytać.

Kl.: Proszę mi dać, ja sama przeczytam potem.

Tr.: Proszę, piękności moja, ale tylko racz przeczytać ze zrozumieniem: to przecież nie O, miejsca, miejsca drogie; tę pieśń i treść jej niekażdy zrozumie; tu są takie subtelności, iż one nawet przed wielu uczonymi są zakryte. Wprawdzie niejednemu się wyda, że to fraszka; jednakże, pani moja, pozwól mi powiedzieć, że w tej fraszce jest wiele treści, czego ja argumentalnie dowieść mogę.

Kl.: Ja dowodów pańskich nie potrzebuję, a sporów nie lubię.

DWIE CÓRKI PODJACZYCH

(Bajka)

Był sobie podpisarz, człowiek dobry wcale,
 A co się nie słyszy w świecie:
 Miał rozum rzeźwy,
 Chłop to był trzeźwy,
 W dodatku umiał pisać doskonale.
 Wy, czytelnicy, pewno wierzyć nie będziecie,
 Mówiąc, że oto autor udaje;
 Na to wam prawie, że to nie ambaje,
 Lecz prawda, wierzcie lub nie wierzcie sobie;
 Że to jest chamskie plemię,
 Że to pokrzywy siemię
 I że to duszą do niebios nie wzłata,
 Że ci panowie mają w djable swata —
 Z tego sekretu ja nie robię.
 Więc tak w ubóstwie przeszedł żywot podpisarza,
 Choć pracował, co się rzadko zdarza,
 I dni i noce, wcale się nie bawił,
 Umarł i córkę po sobie zostawił.
 I przy zgonie nadzieją tą cieszył się przecie,
 Że córka zawsze znajdzie przytułek na świecie.
 Był też drugi podpisarz — ręka jego kradła,
 Był pijakiem i głupcem, nie znał abecadła;
 Zostawił córkę, grosza moc, kiedy umierał;
 Córka brała dostatki, czart duszę zabierał.
 Pierwsza z torbą dziadowską włóczy się po świecie,
 A druga pyszni się w karecie.
 O, Boże, Boże miłościwy!
 Jakże źle wynagrodzon taki, co uczciwy!

Tłum. Bronisław Grabowski.

DENIS FONWIZIN

(1745—1792)

Z «NIEDOROSTKA»

Eremejwna: Mitrofanku, poucz się trochę.

Mitrofan: No, jeszcze słowo powiedz, ty stare babsko, a już ja cię urządził
 Znów się poskarżę młotecze: zrobi mi tę łaskę i starnosi ci leb po wczorajszemu.

Skotinin: Chodź-no tu, braciszku.

Eremejwna: Racz podejść do wujaszka.

Mitrofan: Witam wujaszka! Czemu się wujaszek tak najeżył nielaskawie?

Skotinin: Mitrofan! Patrz prosto na mnie!

Eremejwna: Popatrz, rodzony.

Mitrofan (*do Eremejwny*): A wujaszek co za dziwo? Co ja na nim zobaczę?

Skotinin: Mówię jeszcze raz: patrz prosto na mnie!

Eremejewna: No, nie gniewaj wujaszka. A to spojrzuj, rodzony, jak on oczy wybałuszył, i ty swoje oczki tak samo wybałuszaj.

(Skotinin i Mitrofan, wytrzeszczywszy oczy, patrzą jeden na drugiego.)

Miłon: A to niezwykle wyjaśnienie!

Prawdin: Jak się to wszystko skończy?

Skotinin: Mitrofan! Ty teraz na włosku wisisz. Mów całą prawdę. Gdybym się grzechu nie bał, tobym cię, i słowa nie mówiąc, za nogi wziął i o ścianę, ale nie chcę gubić duszy, póki nie wykryję winowajcy.

Eremejewna: Oj, ubije go na śmierć! Gdzie się moja głowa podzieje?

Mitrofan: Ale co wujaszek — bękotu się objadł? Ja nic nie wiem, skąd wujaszki ochota tak się na mnie rzucać?

Skotinin: Słuchaj-no, nie zapieraj się, żebym z ciebie w złości odrazu ducha nie wytrząsł. Teraz się już nie obronisz. Mój grzech: winien jestem przed Bogiem i Najjaśniejszym Panem. Uważaj, oskarż że siebie, żebyś próżno bicia nie dostał.

Eremejewna: Chroń, Panie Boże, napróżno!

Skotinin: Chcesz się ty żenić?

Mitrofan *(wdzięcząc się)*: Już dawno, wujaszku, bierze ochota...

Skotinin *(rzucając się na Mitrofana)*: Ach, ty, świnię przekłeta!

Prawdin *(nie dopuszczając Skotinina)*: Mości Skotinin! ręką woli nie dawaj!

Mitrofan: Niania! broń mnie!

Eremejewna *(zasłania Mitrofana, zacerwieniwszy się i podniósłszy kulaki)*: Zdechnę na miejscu, a dziecka nie dam. Przystąp, mości panie! chciej tylko przystąpić! Ja ci te ślepia wydrapię!

Skotinin *(zatrząsł się i, grożąc, odchodzi)*: Dam ja wam!

Eremejewna *(trzęsząc się, woła za nim)*: Pazury mam ostre!

Mitrofan *(za Skotininem)*: Idź sobie, wujaszku, wynoś się!

Tłum. A. Maryńska.

GABRIEL DIERŻAWIN

(1743—1816)

BÓG

(Wyjątki)

O Ty, którego przestrzeń nieskończona,
Co żyjesz w ruchu różnych stworzeń mnóstwa,
Coś był, nim wieki wyszły z Twego łona,
Próżen postaci, w trzech osobach Bóstwa:
Duchu obecny wszędzie i jedyny,
Któremu niemasz miejsca ni przyczyny,
Niedościgniony dociekaniem mnogiem;
Co wszystko w sobie samym obejmujesz,
Napelniasz sobą, tworzysz, zachowujesz,
Którego, ludzie, nazywamy Bogiem!

Zgruntować, zmierzyć ocean głęboki,
Policzyć piaski, promienie gwiazd, słońca
Chociażby rozum potrafił wysoki:
Tobie ni miary niemasz, ani końca.
Jasnością Twoją doskonale błoga,
Twór światła, duchy pojmować nie mogą,
Jakie gotujesz rzeczom przeznaczenie:
Ledwo się waży umysł śmiertelnika
Podnieść ku Tobie, w Twym ogromie znika,
Niby w wieczności jedno okamgnienie.

Zamętu bytność, czasem określoną,
 Z głębin bezdennej wieczności wezwales;
 A przed wiekami wieczność urodzoną,
 Jej Twórca, w sobie samym osnowales;
 Własne jestestwo sam nadawszy sobie,
 Przez się w niezgastej jaśniejąc ozdobie,
 Ty jesteś światłem, skąd zdrój światła płynie,
 Wydales wszystko jednym tylko słowem,
 A rozpostarłszy się w stworzeniu nowem,
 Tyś był, jest, nigdy Twój byt nie przeminie.

O, niepojęty! O, niedocieczony!...
 Znam duszy mojej płonne wysilenia,
 Obrazem Twoim cały zaprzątniony,
 Nie zdołam wydać rysów Twego cienia!
 Lecz jeśli winien głosić Twe pochwały,
 Jakże je wyda ród śmiertelnych cały?
 Z jaką czcią stanie przed Twojem Imieniem?
 Ledwo mu wolno wznieść się od poziomu,
 Gubić się wpośród Twojego ogromu
 I łyż wdzięczności wylewać strumieniem.

Tłum. Ignacy Szydlowski.

WYJĄTEK Z «ODY NA ŚMIERĆ KSIĘCIA MIESZCZERSKIEGO»

W rozkoszy twój upływał wiek.
 Mieszczerskij, gdzie się skrył przed nami?
 Ty opuściłeś życia brzeg,
 Poszedłeś żyć między cieniami;
 Tu popiół twój, a duch już tam.
 Gdzież on? — On tam. — Gdzie tam? — Nie wiemy.
 My tylko tutaj łyż lejemy:
 Zrodzonym na świat biada nam!

Gdzie radość, miłość, uciech śpiew
 Ze zdrowia pełnią wraz kipiały,
 Tam się we wszystkich ścina krew
 I duch zamiera osłupiały.
 Gdzie stał wprzód stół, tam leży trup;
 Gdzie brzmiała wrzawa wśród biesiady,
 Tam żałobników orszak błady,
 A śmierć na nowy czyha łup...

Na wszystkich patrzy: czyto król,
 Któremu w całym świecie ciasno,
 Czy pan, bogaty władca pól,
 We złoto strojny, w szatę jasną;
 Na piękno patrzy, krasny kwiat,
 Na rozum patrzy wielki, wzniosły,
 Na siły, co zuchwale wzrosły —
 I ostrzem kosy straszy świat.

Śmierć ciągnie nas w grobowy loch!
 My pycha, która wnet blednieje:
 Dziś jeszcze Bóg, a jutro proch;
 Schlebiają dzisiaj nam nadzieje,

A jutro — gdzie ty, nędzny człek!
 Godziny ledwie przejść zdążyły,
 A już się w otchłań zatoczyły,
 I jako sen twój przeszedł wiek.

Tłum. Bronisław Grabowski.

[NIEPOWSTRZYMANA CZASU RZEKA...]

Niepowstrzymana czasu rzeka
 Zabiera wszelki ludzki trud,
 I przepaść zapomnienia czeka
 Każde mocarstwo, króla, lud.

A jeśli szczątki ocaleją
 W dźwięcznej harmonji trąb i lir,
 Nie ujdą losu — i kolejają
 W czarnej wieczności wpadną wir.

Tłum. Mieczysław Giergielewicz.

MIKOŁAJ KARAMZIN

(1765—1826)

Z «LISTÓW PODRÓŻNIKA ROSYJSKIEGO»

(Paryż, 2 kwietnia 1790 r.)

«Ja — w Paryżu!» Myśl ta sprawia w mojej duszy jakieś nadzwyczajne, przemi-
 ające, nieokreślone, przyjemne wrażenie... «Ja w Paryżu!» — mówię sam do siebie i lecę
 z ulicy w ulicę, od Tuileries do Pól Elizejskich; raptem się zatrzymuję, patrząc na
 wszystko z nadzwyczajną ciekawością: na domy, na karety, na ludzi. Wszystko, o czym
 wiedziałem z opisów, widzę na własne oczy — jestem wesoly i radosny, widząc żywy
 obraz największego, najświetniejszego miasta na świecie, cudnego, jedynego w swoim
 rodzaju dzięki różnolitości swego wyglądu.

Pięć dni minęło, jak pięć godzin, w hałasie, w tłoku, na przedstawieniach, w baj-
 kowym pałacu Palais-Royal. Moja dusza jest przepelniona żywymi wrażeniami, lecz
 nie mogę zdać sobie z nich sprawy; nie jestem w stanie powiedzieć wam czegoś
 zwięzłego o Paryżu. Niech ciekawości mojej stanie się zadość, a potem będę miał
 czas do reasumowania, do opisywania, do pochwały, do krytyki. Teraz wskażę tylko
 na jedno, co, mojem zdaniem, jest główną cechą charakterystyczną Paryża — nad-
 zwyczajna ruchliwość ludności, godna podziwu prędkość w słowach i czynach. Sy-
 stem wichrów Kartezjusza mógł powstać jedynie w głowie Francuza — mieszkańca
 Paryża. Wszyscy tu się śpieszą, niewiadomo dokąd; wszyscy jakby chcą wyprzedzić
 jeden drugiego; łapią, chwytają pomysły; zgadują, czego kto pragnie, aby jak najprę-
 dziej załatwić sprawę. Jakież to rażące przeciwieństwo — naprzykład w porównaniu
 z poważnymi Szwajcarami, którzy zawsze kroczą spokojnie, przysłuchują się z nad-
 zwyczajnym skupieniem, wywołującym rumieniec wstydu na twarzy skromnego czło-
 wieka; przysłuchują się nawet wtedy, gdy przestano już do nich mówić; obmyślają,
 co usłyszeli, odpowiadają nadzwyczaj powoli, nadzwyczaj ostrożnie, krępując się, że
 nie zrozumieli dobrze wszystkiego. A mieszkaniec Paryża zawsze pragnie odgadnąć;
 nie skończysz o coś pytać — on już odpowiedział, ukłonił się i poszedł sobie!

Tłum. Sergiusz Kułakowski.

JAN KRYŁÓW

(1768—1844)

Z «BAJEK»

Świnia

Raz świnia dostała nielada honoru:

Aż na dziedziniec pańskiego dworu

Weszła i ku śmietnikom wprost powędrowała,

W gnoju się wytarzała,

W pomyjach się wykapała,

I zachwycona niezwykłą gością —
 Jaką tam przyszła, taką stamtąd wyszła świnia.
 «Toś się, świnko, we dworze dziwów napatrzyła?»
 Spytał pastuch, «prawdaż to, co tu wieść głosiła,
 Że tam piękność tak cudna, że bogactw tak wiele,
 Iż, nie równając, jak w jakim kościele?
 A pereł drogich ma być takie mnóstwo,
 Że mogłyby zbogacić naszej wsi ubóstwo!»
 Świnia na to odpowie: «To kłamstwo szkaradnel
 Ni tam skarby, ni perły, ni piękności żadne;
 Same pomyje, śmietniki, gnojarnie;
 A wiesz przecie, że ryjka nie używam marnie:
 Zrylam tam wzdłuż i wpoprzek, i wdole, i wgórze,
 Całe tylne podwórzel»

Nie chciałbym, lecz każdy snadnie
 W świni tej bajki krytyka odgadnie,
 Który w życiu i w dziełach nie piękność, nie cnotę,
 Lecz ma dar wynajdywać zdrożność i szpetotę.

Ciekaw y

«Czyś zdrow, gdzieś był, coś widział?» — «Żem zdrow, widzisz przecie;
 Że zaś w zoologicznym byłem gabinecie,
 W tej wszelkich cudów arce Noego,
 Więc nie: com widział, ale pytaj: czego
 Tam nie widziałem raczej,
 Bo inaczej
 Choćby na krótkie nawet opisanie
 Tego, com widział, pewno słów nie stanie.
 Czy dasz wiarę, gdy powiem, że od obejrzenia
 Tych arcydziwów wszystkich królestw przyrodzenia
 Jaśniej mi teraz przejrzał się świat Boży!
 Czleka odtąd lada co ni zdziwi, ni strwoży.
 Co bo tam za zwierzęta, płazy, ptaki, gady!
 A nadewszystko dziwny świat maluczki —
 Owe owady!
 Co to za ładne chrząszcze, muszki, żuczki!
 Jedne jak szmaragd, rubin, jak korale — inne!
 A te tak cudne motylki!
 A owe drobne, niewinne
 Boże krówki,
 Mniejsze od główki
 Malutkiej szpilki!» —
 «Jakże ci się słoń wydał z swą trąbą, jak rurą?» —
 «Czyż słoń tam jest?» — «Jakże, jest! cóż, zdał ci się górą?» —
 «Przyznam się, że gabinet po trzykroć przebiegłem,
 Słonia jednak nie spostrzegłem».

Szkatułka

Często przytrafia się nam
 Arcymądrość widzieć tam,
 Gdzie prosty umysł, co jasno pojmuje,
 Nadzwyczajnego nic nie znajduje.

Na stole szkatułka stała
 I pięknoscia roboty gości zadziwiła.
 Wtem wchodzi mędrzec, spojrzal i rzecze:
 «Robota, jak robota — piękności nie przeczę,
 O nią mniejsza; lecz zamek jest sztucznie ukryty!
 Napozór niema, a jest! o, nie w ciemnym bity!
 Jest, i skrytkę wnet znajdę». — Zaczął wyszukiwać,
 Przewracać, to pociskać, macać, rozpatrywać...
 Wszyscy się w duchu śmieją, ściskają ramiony:
 «Nie tu, nie tam, gdzie indziej!» — Tak ciągle zwodzony,
 Bada, śledzi, rozgląda, pot z czoła ociera:
 A szkatułka zwyczajnie się otwiera.

Tłum. A. J. Gliński.

Osieli słowik

Spostrzegł osiel słowika i woła: «Hej, stary!
 Mówią, żeś ty najlepszy śpiewak w naszym lesie.
 Rzecz, na oko, nie do wiary!
 Ano, popisz-że się.
 Żem krytyk, znać po uszach. Sąd zaraz wydamy,
 Czy nie za wiele w tych głosach reklamy».

Zabolalo pieśniarza podejrzenie osła, —
 Więc dotkniętego w artystycznej dumie
 Chęć nieodzowna uniosła
 Pokazać wszystko, co umie.

Jak wirtuoz, co, zanim grę właściwą zacznie,
 Różnemi pasażami sprawdza lutni dźwięki,
 Tak słowik, nim uderzył w melodję piosenki,
 Zaklaskał, zaszczebotał, zaszlochał nieznacznie,
 Wziął ton niski, wysoki, jeden, drugi, trzeci...
 Poleciała pieśń w niebo. Ton za tonem leci:
 To się strugą przelewa, to kroplami pluska,
 To ciszę tryłem pieści, to ją rwie okrzykiem...

Słucha las — wiatr zaprzestał gonitwy z wietrzykiem,
 Zadumał się dąb stary, zapłakała brzoźka,
 I płaszał znikło ćwierkanie,
 I stad głosy na polanie;
 A pastuszek, słowiczą pieśnią kojąc serce,
 Dech zapał i wzrok tęskny zwraca ku pasterce.

Skończył słowik. Kłapouch w ziemię zapatrzony:
 «Owszem» — powiada — «owszem, wcale niezłe tony.
 Można słuchać. Jest medjum, jest wysoka nuta...
 Ot, szkoda, że naszego waść nie znasz koguta.
 Jużby ci pewno nie brakło niczego,
 Gdybyś się jeszcze poduczył u niego».

Tu ptak zerwał się, frunął hen, hen, bez pamięci.
 Odtąd nie dba, co mówią o nim recenzenci.

Tłum. Benedykt Hertz.

BAZYLI ŻUKOWSKI

(1783—1852)

SWIETLANA

(początek)

Raz, ciekawe przyszłej doli,
Różnemi kabały
Dziewice wilją Trzech Króli
Przyszłość zgadywały.
To policzonym ziarenkiem
Gołąbki karmiły —
Biegły słuchać pod okienkiem,
Biały воск topiły.
To w kielich, wodą nalany,
Kładły pierścieni pozłacany,
Każda z prawej ręki:
Nad nim dzierżąc obrus biały,
Wszystkie razem w takt śpiewały
Godowe piosenki.

Noc już była — księżyc błądy
Świeci przez tumany.
Wtem najweselsza z gromady
Rzecz do Swietłany:
«Siostró! masz li wiecznie łzami
Zlewać twarz rumianą?
Tańcuj z nami, śpiewaj z nami,
Kochana Swietłano!
Wróci wkrótce twój młodzieniec,
Wij mu z róży, z ruty wieniec,
Złoty pierścieni z ręki
Rzuć do czary, potem wkóło
Skacząc z nami, nuć wesoło
Godowe piosenki!»

«Lube siostry! nie zmuszajcie
Śpiewać mię ni skakać;
Wy szczęśliwe, wy śpiewajcie —
Mnie pozwólcie płakać!
Rok już minął, żadnej wieści
O milego bycie;
We łzach gorzkich i boleści
Młode włokę życie.
Zginął li? czy mię niepomny,
W obcej ziemi, wiarołomny,
Z łez mych czyni śmiechy?
Ja się modłę, ja lzy leję;
Utul boleść, wróć nadzieję,
Aniele pociechy!»

Wtem, patrz! za starszych poradą,
Niosą stół dziewice;
Na nim dwa talerze kładą,
Pałą cztery świece.
Stawią zwierciadło na stole
Biało podlane,

Piszą koło i w tem kole
Sadzają Swietlanę.
«Siedź i nie się nie bój wcale:
W czystym zwierciadła kryształe
Obaczysz kochanka.
Gdy z wieży północ uderzy,
Siądzie z tobą do wieczery —
Zabawi do ranka».

Już w izbie niema nikogo.
Naprzeciw zwierciadła,
Drżąca, biała, z łajną trwogą,
Dziewica usiadła.
Na najmniejszy szelest trzyma
Wytężone ucho;
Nie śmie wtył rzucić oczyma —
Wkóło ciemno, glucho.
Płomyk tylko świec niejaśnie
To wybuchnie, to przygaśnie,
Zwęża się, to szerzy.
Wtem wiatr świsnął po dolinie,
Smutnie ćwierknął świerszcz w kominie,
Północ bije z wieży.

Północ! Nagle w martwej ciszy
Strwożona dziewica
Lekki kłamki brzęk usłyszysz.
Pot wybił na lica,
Srogie zimno ją przepadło,
Piers się trwogą wzdyma —
Któż to patrzy we zwierciadło
Bystremi oczyma?
W zbladłych ustach mdleje mowa;
A wtem ciche, mile słowa
Głos wymówił znany:
«Poco bojaźń? Poco trwoga?
Tom ja z tobą, moja droga!
Płacz twój wystuchany!»

Obejrzy się — ku niej miły,
Wyciągając ręce:
«Łzy twe Niebo umodliły,
Koniec wspólnej męce!
Śpiesz Swietłano! już w kościele
Kapłan na nas czeka;
Śpiesz, kochanko, na wesele,
Droga niedaleka!»
Za odpowiedź wzrok wzajemny.
Idą przez dziedziniec ciemny,
Na szeroki ganek,
Gdzie dwa konie niecierpliwe,

Brzęcząc cugłem, jeżąc grzywę,
Czekają u sanek.

Siedli — konie w szybkim biegu,
Zda się, nie tkną ziemi;
A z pod kopyt chmura śniegu
Wzniosła się nad niemi.
Ciemno wkoło, pusto wkoło;
Step w oczach Swietłany

I księżyc blade czoło
Omgliły tumany.
Zimny strach jej serce chwytą —
Z trwogą dziewica zapyta:
«Bliskiż koniec jazdy?»
Ni pół słowa odpowiedzi:
Miły cichy, smutny siedzi,
Wzrok wlepiony w gwiazdy.

— — — — —
Tłum. A. E. Odyniec.

MORZE

O, ty morze milczące, lazurowe morze!
Oczarowany, nad twą przepaścią tu stoję.
Ty żyjesz i oddychasz, lono twoje porze
I miłość, i tęsknota, trwogi niepokoje.
O, lazurowe morze, o, przestrzeni cicha!
Odkryj mi tajemnice głębi twego łona:
Czem się jego powierzchnia wstrząsa niezmierną,
Powiedz, czem wysilona twoja pierś oddycha?
Czy cię ciągnie ku sobie z tej ziemskiej niewoli
Daleki nieba błękit, jasny i uroczy?
O! ty błogiem tchniesz życiem i nic cię nie boli;
Tyś czyste, gdy cię blaskiem ono swym otoczy;
Jasnym jego lazurem twoje fale płyną
I światła gorejące rozlewasz potoki,
Pieścisz miłośnie nieba złociste obłoki,
Radujesz się, gdy w głębiach twoich gwiazdy giną.
A gdy się nagromadzą groźne, czarne chmury,
Jakby odebrać chciały jasne niebo tobie,
Ty się burzysz i ryczysz, a mgły kir ponury,
Fala bijąc, pogrążyć chcesz w przepaści grobie.
I mgły znikną, i chmury tobie nie dostoją;
Lecz trwogą dawną obszar twój opanowany
Długo jeszcze ulękle wznosi swe bałwany,
I długi czas przemienie, nim cię uspokoją
Powróconego nieba pogoda, blask błogil
Zwodnicza jest powierzchnia twej spokojność miła,
Bo głębina wód twoich pełna wtedy trwogi:
Pieścąc niebo, drżysz jeszcze, by go nie straciła.

— — — — —
Tłum. Stanisław Budziński.

KONDRAT RYLEJEW

(1795—1826)

STANCE

Nie ziściły się, druhu kochany,
Młode me sny prorocze:
Na gorzką samotność skazany,
Choć w tłumie ludzi kroczę!
Za wcześniej w groźnym tchu doświadczenia
Mrok tajemniczy zniknął,
Za wcześniej, druhu mój, aż do rdzenia
Jam ludzkie serca przeniknął.

W ciężkiej zgryzocie, z myślą zawilą
Przez ziemskie błakam się kraje —
Jakaś ponurą mogiłą
Ten smutny świat mi się zdaje.
Wszystko tak nikłe, bezpłodne:
Ludzi mój wzrok szukać leci,
A trupy spotyka chłodne
Lub nierozumne dzieci!...

.....

OBYWATEL

Czyżbym ja w czas wyroczny — godność
 Obywatela splamić miał
 I za wzór Słowian uznać twą wyrodność,
 O, plemię wątłych dusz i ciał?
 Nie! nie mogę w objęciach mdłej rozkoszy bractwa,
 W sromotnej beczynności trawić młodych dni
 Ni pozwolić, by dusza wygasła mi
 Pod ciężkiem jarzmem samowładztwa...
 Niech młodzieniaszek, los mijając swój,
 Przeznaczeń wieku nie zna ni docieka
 I nie gotuje się na przyszły bój
 Za uciśnioną wolność społeczeństwa;
 Niech tacy obojętnie wodzą chłodny wzrok,
 Gdzie w męce trwa ojczyzna boleściwa,
 Niech nie czują, że hańby już jest bliski krok
 I że skarżący głos potomków się odzywa.
 Odpokutują to!...

ZE «SPOWIEDZI NALIWAJKI»

Marzenie jedno w noc i w dzień
 Nie odstępuje mnie, jak cień:
 Nie daje chwili mi spokoju
 Ani w taborze, w wicherze bitwy,
 Ani w rodzinnych stepów ciszy,
 Ani w kościele wśród modlitwy.
 «Już czas!» tajemny głos ten słyszę...

 «Wiem o tem, wiem, że kończy źle
 Ten, co się pierwszy zwrócić śmie
 Przeciw ciemności swego ludu;
 I los mój przesadzony już...
 Lecz powiedz, wolność miałby tchórz
 Bez ofiar zdobyć i bez trudu?
 Że zginę za rodzinny kraj,
 Przeczuwam, pewnym tego prawie,
 I, ojcze święty, wyznać daj,
 Że rad ten los swój błogosławię!»

Tłum. Alfred Tom.

ALEKSANDER GRIBOJEDOW

(1795—1829)

BIADA TEMU, KTO MA ROZUM

(wyjątek)

Z o f j a (do Czackiego):

Cóż tak gniewa pana?...

C z a c k i:

W tamtym pokoju scena niespodziana!
 Francuzik z *Bordo* z miną napuszoną
 Zebrał wokoło siebie liczne gości grono
 I rozpowiadał, jak się w podróż zbierał
 Do barbarzyńskiej Rosyi, jak z strachu umierał!...

Ile łez wylewał rzewnych...
 Przyjechał, aż tu każdy współczuciem go darzy,
 Ani głosu ruskiego, ani ruskiej twarzy
 Nie znaleźli, jak w ojczyźnie wśród przyjaciół, krewnych!
 Takież zdania u kobiet, takie same stroje,
 I kontent znalazł u nas wszystko, tak jak swoje!
 Ledwie zamilkł, powstały zewsząd uniesienia,
 Żalotne jęki, westchnienia...
 Ach! Francya!! niema w świecie cudniejszego kraju!
 Krzyknęły dwie księżniczki, pewno ze zwyczaju
 Powtarzając nauki swoich przewodniczek,
 Gdzież się nam schować od takich księżniczek!!
 A ja, w nadziei, że mię Bóg wysłucha,
 Niosłem z pokorą modły w myśli tajemniczej,
 Ażeby w nas wytepił nitekzemnego ducha
 Chęci naśladownictwa ślepej, niewolniczej!!
 Aby iskrę swoją świętą
 W jedną z naszych dusz uronił!
 By ten mógł słowem, czynem być dla nas zachętą,
 I jakby silną wodzą wstrzymał nas, obronił
 Od nieszczęśliwej ślepoty,
 Śmiesznej za obcym narodem tęsknoty!
 Niech mię nazwą dziwakiem! zniosę bez urazy,
 Lecz powtarzam, nasz naród gorszy o sto razy
 Odtąd, jak za nowości wszystko wzamian daje:
 Świętą prawdę swych ojców, język i zwyczaj.
 Odtąd, kiedy się wyrzekł wspaniałego stroju,
 A wdział na siebie ubiór błazeńskiego kroju!
 Ztyłu ogon, a z przodu jakiś wykrój wgórze;
 Naprzekór rozsądkowi i na złość naturze,
 Czyż to pięknie?... Czy szlachetnie?...
 I ruchy skrepowane, i dla twarzy szpetnie!
 Śmieszne i wygolone błyszczą się podbródki:
 Jak suknie, włosy, tak i rozum krótki!
 Kiedyśmy już stworzeni, by wciąż naśladować,
 Choć od Chińczyków wartoby spróbować
 Przyjąć ich mądry zwyczaj, nie znać cudzoziemców!
 Kiedyż zrzucimy z siebie ten fanatyzm modny?...
 Żeby nasz naród dobry, rozumny i godny
 Choć przynajmniej z mowy nie miał nas za Niemców!!
 «Jak można to, co obce, z narodowem mierzyć?
 Niesposób temu uwierzyć?»
 Wyrzekł ktoś do mnie z pośpiechem,
 «Jak naprzykład: *Mademoiselle, Madame* wytłumaczyć?
 Może pani i panna! cóż to będzie znaczyć?»
 I tu wszyscy parsknęli na me słowa śmiechem!
 «Pani! panna! — jak to ładnie!
 Pani, panna, pfe! szkaradnie!»
 Rozgniewany taką mową,
 Już byłem gotów dać im odpowiedź surową,
 Ale prawie w jednej chwili,
 Wszyscy nagle odstąpili!
 Oto zdarzenie rzadkie! Ale to nie dziwy!
 Moskwa, Petersburg w Rossyi, to obraz prawdziwy
 Tego Francuza z *Bordo* i podobnych ludzi:
 Niechaj usta otworzy, niechaj się zaśmieje,

Już we wszystkich księżniczkach współczucie obudził...
 W Moskwie i Petersburgu to samo się dzieje...
 Kto jest nieprzyjacielem frantów zagranicznych,
 Frazesów wyszukanych i wybryków licznych?
 W czyjej głowie, nieszczęściem, znajdzie się gotowych
 Pięć albo sześć myśli zdrowych,
 A ten je głośno wyrzec się ośmieli...
 Patrzaj...

(ogląda się, wszyscy walczą, a starsi usiedli do kart)
(do siebie)

Wszyscy już tańczą... i do kart się wzięli...

Tłum. Józef Lewart-Lewiński.

ALEKSANDER PUSZKIN

(1799—1837)

PRZYPOMNIENIE

Kiedy dla śmiertelników ucichną dnia gwary
 I noc, wółprzejrzystą szatę
 Rozciągając nad głuchej stolicy obszary,
 Spuszcza sen, trudów zapłatę:

Wtenczas mnie samotnemu rozmyślań godziny
 W ciszy leniwo się wleką,
 Wtenczas mnie ukąszenia serdecznej gadziny
 Bezcynnemu srożej pieką.

Mary wrą w myśli, którą tęsknota przytlacza,
 I trosk oblegają roje,
 Wtedy i Przypomnienie w milczeniu roztacza
 Przede mną swe długie zwoje.

Ze wstrętem i przestachem czytam własne dzieje,
 Sam na siebie pomsty wzywam
 I serdecznie żałuję, i gorzkie lzy leję —
 Lecz smutnych rysów nie zmywam.

Tłum. Adam Mickiewicz.

SZATAN

Gdy w one czasy był mi nowy
 Młodości świeżej wrażeń świat,
 Wejrzenia dziewic, szum dąbrowy,
 Słowika głos i każdy kwiat;
 Gdy uczuć szczytnych los podniosły,
 Wolności, sławy dzwięczny śpiew
 Wysoko serce moje niosły
 I falowała w żyłach krew:
 Zły jakiś genjusz, potajemnie
 Rzucając w duszę chmurny cień,
 Zdradliwie zaczął mącić we mnie
 Rozkoszy i upojeń dzień.

Z nim smutne były mi biesiady,
 Bo jego uśmiech, oka cud
 I słów szyderczych zimne jady
 Zatruty niosły w pierś mą chłód.
 Potoki oszczerstw usta łały,
 Nie widział opatrności sił
 Dłań mrzonką były ideały,
 Z piękności, z natchnień jasnych drwił;
 Miłości nie znał ni swobody,
 Z skrzywionych zaś uśmiechem lic
 Nie błogostawił on przyrody,
 Dobrego w niej nie widząc nic.

Tłum. M. Korway-Metelicki.

WIĘZIEN

Siedzę za kratą, w wilgotnej celi...
 Orzeł, którego żywcem tu wzięli,
 Druh mój, co wolność postradał wpierw,
 Targa za oknem skrwawiony ścierw.

Targa i rzuca, w okno spoziera;
 Przemówić do mnie chętko go zbiera;
 Wzrokiem i krzykiem daje mi znak:
 «Hej! na powietrzny wzbijmy się szlak!

«My wolne ptaki; lecieć nam trzeba
 Tam, na szczyt góry, tam, na kraj nieba,
 Gdzie morską otchłań nakrywa mgła,
 Gdzie hula tylko wichery — i ja!»

Tłum. Wiktor Gomulicki.

POMNIK

Dźwignąłem pomnik swój, nie trudem rąk ciosany,
 Wydepcą ścieżkę doń miliony ludzkich stóp,
 Łeb buntowniczy wzniosł i wyżej w chwale stanął,
 Niż Aleksandra pyszny słup.

Nie wszystek umrę. Nie! Duch, w lutnię wklęty, przecie
 Znikomy przetrwa proch, nie będzie w ziemi gnił,
 I w sławę będę rósł, póki w podgwiezdnym świetle
 Choć jeden pieśniarz będzie żył.

Śluch o mnie pójdzie wdał przez całą Ruś w języki,
 I nazwie imię me jej każdy lud: i Finn,
 I dumny Słowian wnuk, i Tunguz, jeszcze dziki,
 I Kałmuk, wolny stepów syn.

I naród w sercu mnie po wieczny czas utwierdzi
 Za to, żem lutnią w swój nielitościwy wiek
 Wysławiać wolność śmiał i wzywał miłosierdzia,
 I szlachetności uczuć strzegł.

Posłusznie, muzo, czyń, co boży duch rozkaże,
 Niech cię nie nęci laur, nie straszy obelg chór,
 Jednaką miarą mierz pochwały i potwarze,
 A z głupcem się nie wdawaj w spór.

GORZKIE ŻALE

Długoż bujać mi po świetle,
 Raz na siodle, raz na wozie,
 Tu w kibitce, tam w karecie,
 I na piechtę, i w powozie?

Nie w barlogu rodowitym
 Śród ojezystych mogił skonam,
 Lecz mi snąć na trakcie bitym
 Śmierć od Boga przeznaczona.

Na kamieniach, pod kopytem,
 Pod kołami skrzypiącemi,
 Pod dziurawym mostem zmytym
 Albo w rowie, w mokrej ziemi.

Nuż się dżuma mnie uczepli
 Lub skostnieję w mróz siarczysty,
 Albo w łeb mi szlaban wlepi
 Inwalida zadzierzysty.

Albo w głuchym lesie nożem
 Zbój mi zada śmierć morderczą,
 Albo z nudy zdechnę może,
 W kwarantannie jakiejś stercząc.

Długoż mi tak łykać ślinkę,
 Z musu pościć, gdy los skarał,
 I żuć zimną cielęcinkę,
 Wspominając trufle Jara?

Inna rzecz na własnych śmieciach,
 Po Miasnickiej trójką sypać,
 O żeniaczce i o dzieciach,
 O wsi marzyć — i zasypiać.

Inna rzecz herbata z rumem,
 Jedną wypij, drugą nalej,
 W domu, bracia, to rozumiem!
 Ale co tam! Jazda dalej!

BIESY

Pędzą chmury, wałą chmury,
 Niewidomie księżyc mży,
 Na śnieg lotny prosząc z góry;
 Mętne niebo, mętne mgły.
 Jadę, jadę w dal bezbrzeżną,
 Dzyń-dzyń-dzyń dzwoneczka dźwięk,
 Strasznie, strasznie w tę noc śnieżną!
 Rośnie pustka, rośnie lęk.

Jazda, stary! — «Dobrodzieju,
 Konie ledwo zipią już,
 Zamieć mi powieki skleja,
 Drogi zmiotło, ani rusz.
 Wokół mrok, choć wykol oczy;
 Co tu robić? Będzie źle!
 Bies nas, widać, w polu toczy
 I kołuje nami w mgle.

Widzisz? Widzisz? W pustce białej
 Wyje, wije się i plwa,
 Teraz konie oszalałe
 Prosto w otchłań jaru pcha.
 Tutaj słupem niebywałym
 Śmignął mi na jeden mig,
 Tam świetlikiem błysnął małym
 I we ćmie przepastnej znikł».

Pędzą chmury, wałą chmury,
 Niewidomie księżyc mży,
 Na śnieg lotny prosząc z góry;
 Mętne niebo, mętne mgły.

Znów od rowu do parowu,
 Sił już braknie; dzwonek zmiłkł...
 Konie stoją... — Cóż tam znowu?
 «Kto ich wie: czy pień, czy wilk?»

Zamieć wyje, zamieć płacze,
 Czujne konie chrapią, rzą,
 Teraz już daleko skacze,
 Tylko ślepia błyskiem drżą.
 Konie znowu się zerwały,
 Dzyń-dzyń-dzyń wśród śnieżnych wydm;
 Widzę — na równinie białej
 Zebrał się korowód widm.

Niezliczone, uprzykrzone,
 W blasku mdłym miesięcznych mżeń,
 Biesy kręcą się szalone,
 Jako liście w slotny dzień.
 Skąd ich tyle? Dokąd pędzą
 Zawodzący straszną pieśń?
 Czyto czart się żeni z jędzą?
 Czy ubożę zmarło gdzieś?

Pędzą chmury, wałą chmury,
 Niewidomie księżyc mży,
 Na śnieg lotny prosząc z góry;
 Mętne niebo, mętne mgły.
 Pędzą biesy rój za rojem
 W nieprzejrzany śnieżny dym,
 Rozdzierając serce moje
 Rozpaczliwym iękem swym.

ECHO

Czy w głuchym lesie ryczy tur,
 Czy grzmot, czy trąbka gra przez bór,
 Czy pieśń dziewczyny brzmi z za gór,
 Na każdy dźwięk
 W powietrzu pustem budzisz wtór,
 Odgłosu jęk.

Piorunów słuchasz, huku wód,
 I jak na rzece pęka lód,
 I krzyku z łąk pasterzy trzód,
 Odpowiedź ślesz na każdy głos,
 Samo — bez echa. Twój to trud
 I twój, poeto, los.

OSTATNI RAZ...

Ostatni raz twą postać miłą
 Ważę się myślać tulić dziś
 I wskreszać sny serdeczną siłą,
 Z żalnością tkliwą i wstydliwą
 O twej miłości budzić myśl.

Mijają lata — i, niestety,
 Zmieniają świat, zmieniają nas!
 W mogiłnym mroku, w głębi Lety
 Widzi cię dzisiaj wzrok poety,
 Lecz i poeta tobie zgaśł.

Więc mego serca pożegnanie
 Przyjmij, daleka! Czoło skłoń,
 Jak żona, gdy się wdową stanie,
 Jak wierny druh, co przed wygnaniem
 Bez słowa ściska bratnią dłoń.

W JAŁOWEJ NUDZIE...

W jałowej nudzie, śród rozpusty,
Nieraz na lutnim swej wydzwaniał
Czarowne dźwięki, dźwięki puste
Porywów, szatu, próżnowania.

Ale i wtędym płochą strunę
Pokornie do milczenia zmuszał,
Gdy głos twój groźny, jak piorunem,
Raził mnie nagle i ogłuszał.

I płynął strumień łez rześisty,
Płacz słodki i niespodziewany,
Gdy słów twych wonnych olej czysty
Sumienia mego kołł rany.

I dzisiaj do mnie rękę wierną
Wyciągasz z wysokości ducha,
I mocą swoją miłosierną
Snów bujnych cichnie zawierucha.

Gorejącego w twym płomieniu
Mrok uciech ziemskich zmóc nie zdoła
I drży w najświętszym przerażeniu,
Wysłuchany w harfę archaniola.

Z «EPIGRAMATÓW»

O, m u z o g n i e w u

O, muzu gniewu i satyry,
Przyjdź na mój zew — i tnij! i ćwicz!
Nie trzeba mi dźwięczącej liry,
Juwenalowy daj mi bicz!
Nie na tłumaczyów z głodu skisłych,
Na naśladowców zimnokrwistych,
Nie na wytwornych piewców dam
Przygotowane żądło mam.
Pokój wam, durnie nieszczęśliwi,

Pokój, pokorne pisarczyki!
Lecz was zamęczę, lotry z kliki,
Wezmę na wstyd, jak na tortury,
Gdybym zapomniał zaś o którym,
To przypomnijcie mi, panowie!
Ile bezwstydných czół miedzianých,
Ile pobladłych twarzy znanych
Piętnem niestartej hańby, szuje,
Na wieki dziś przypieczętuje!

R a d a

Wierz mi: gdy trutni i komarów
Rój gazeciarski wokół bzyka,
Słów nie trać, szkoda i języka,
Milczeniem zbądź bezczelny narów.

Racją ni smakiem nie przelamiesz
Uporu złego ich, a zatem
Gniew byłby grzechem. Lecz się zamierz
I celnym — klaps! — epigramatem.

K o p c i, k o p c i l o j ó w k a !

— Co? kopci wciąż lojówka dziennikarska?
— A żyje pismak! głupi, nudny, ciemny,
W zawiści wije się i śliną wokół parska,
Co może, pcha do szmaty swej nikczemnej:
Bzdurne nowiny albo bzdury stare.
Tfu! zbrzydła mi lojówka dziennikarska!
Jak ten cuchnący zgasić mam ogarek?
Jak go wykończyć? bo mam zamiar właśnie.
Poradz mi! — Cóż, poprostu pluń, to zgaśnie.

E x u n g u e l e o n e m

Niedawnom sobie w wierszu użył zdrowo
I bez podpisu go puściłem w piśmie.
Aż tu mi błazen dziennikarski świśnie
Feljeton o nim — też anonimowo.

Lecz cóż? Ni ja, ni ten jarmarczny błazen,
Nikt z nas nie ukrył, żeśmy nabroili:
On po pazurach poznał mnie odrazu,
Ja jego zaś po uszach w jednej chwili.

Zbiór owadów

Proszę popatrzeć — oto śliczna
 Kolekcja entomologiczna.
 Jaka pstrokata to kompanja!
 Ilem się za tem nauganiał!
 A jaki dobór! ani słówka!
 Oto X, proszę, boża krówka,
 Tu Y — pajak jadowity,
 Z — żuk krajowy znakomity,
 Tu N — maluśka czarna muszka,
 A tutaj znowu M — stonóżka.
 O, jakie mnóstwo preparatów!
 W ramkach, pod szkłem, równiutko, schludnie
 Sterczą, nawskroś przebite cudnie,
 Na szpilkach mych epigramatów.

Tłum. Julian Tuwin.

Z «EUGENJUSZA ONIEGINA»

«Stryjaszek mój, pocziwiec sobie,
 Gdy nie na żarty opadł z sił,
 Szanować kazał się w chorobie;
 To wcale niezły pomysł był
 Niejeden w ślady te się uda...
 Lecz, Boże drogi, jakaż nuda
 Przy chorym siedzieć noc i dzień,
 Nie odstępować go jak cień!
 Jakież nikczemne to kuglarstwo
 Półtrupa bawić garścią słów,
 Poprawiać mu poduszki znów,
 Smutnie podawać mu lekarstwo,
 Wzdychać i myśleć w duchu wraz
 Kiedyż cię djabli wezmą raz!»

Mknąc śród zielonych niw kobierca,
 Hulaka młody dumał tak,
 Krewniaków wszystkich spadkobierca, —
 W czym widać woli Zeusa znak.
 W kim miłość dla mnie żyje szczerza,
 Mego romansu bohatera
 Temu bez wstępów, przedmów, fraz
 Przedstawić jestem gotów wraz:
 Oniegin, mój przyjaciel dawny,
 Na brzegach Newy ujrzał świat,
 Gdzie może snuleś pasmo lat,
 Mój czytelniku, w świecie sławny!
 Jam też tam lubił bawić wprzód,
 Lecz szkodzi mi północny chłód!

Służąc chwalebnie i wytrwale,
 Długami ojciec jego żył;
 Co roku dawać zwykł trzy bale,
 I zrujnowany wreszcie był.
 O Eugenjusza dbały losy:
 Madame trefiła dziecka włosy,
 Później Monsieur, z chłopięcia rad,

Był stróżem jego młodych lat.
 Monsieur l'Abbé chłopczyka uczył,
 Trud obracając w miły żart,
 Nie dał mu czerpać z suchych kart
 I morałami nie dokuczył.
 Na figle — lekkie groźby miał
 I do ogrodu z sobą brał.

A gdy w młodzieńczej burzy porę
 Uciekły sny naiwne wstecz,
 W czasie, gdy serce mocniej gore, —
 Monsieur wygnano z domu precz.
 Oniegin pojął dar swobody,
 Zaraz się ostrzygł według mody,
 Jak dandy błysnął krojem szat,
 I po raz pierwszy wstąpił w świat.
 Językiem Gallów mówił zręcznie
 I łatwo listy pisał... Ba!
 W mazurze robił lekkie pas,
 Umiał się kłaniać nader wdzięcznie.
 Czyż więcej trzeba?... Orzekł świat:
 «Jest miły, mądry» — i był rad.

My wszyscy uczym się potrosze.
 I to, i owo pomnim z klas,
 Więc wykształceniem — bardzo proszę! —
 Potrafi błysnąć każdy z nas.
 Oniegin — pedant (tak surowy
 Rzekł areopag salonowy),
 Prym uczonością swoją brał.
 Jednak szczęśliwy talent miał:
 Umiał w dyspuście, pijąc wino,
 Trącić splątanych kwestyj sznur,
 A gdy poważny zawrzał spór,
 Milczeć z uczoną zpnawcy miną
 Lub dam przychylny zyskać sąd
 Przez niespodzianych żartów prąd.

Tłum. Leo Belmont.

Z «JEŹDŹCA MIEDZIANEGO»

Nad zasepionym Piotrogradem
 Listopad mrocznym dyszał chłodem.
 W kształtne krawędzie swe z uporem
 Falami pluszcząc, prąc ku morzu,
 Nawa rzuciła się jak chory
 Na niespokojnem swoim łożu.
 Już późny ciemny wieczór był,
 Deszcz w okna gniewnie siekł i bił,
 I wicher z ulewą się użerał.
 W tę psią pogodę Eugenjusz
 Do domu wrócił. Otóż wiem już,
 Jak nazwać swego bohatera.
 Imię przyjemne. Dźwięcznie brzmi,
 I pióro me od wielu dni
 Już się z niem jakoś żyło blisko:
 Eugenjusz... Na nic nam nazwisko,
 Choć za minionych dawno lat
 Może i nieraz błysło chwałą
 I z Karamzina świetnych kart
 W rodzinnych dziejach rozbrzmiewało.
 Lecz dziś zapomniał o niem świat.
 Mieszka bohater nasz w Kołomnie,
 Ma swą posadkę — rad nie rad —
 Unika możnych, żyje skromnie,
 O przeszłość nie dba ani nie wie,
 Czem ród nieboszczyk sływał drzewiej.

Eugenjusz drgnął. Odkrywcze światło
 Błysnęło. Znów przed sobą miał
 To miejsce, kędy potok grzmiał,
 Gdzie tłukł się fal drapieżnych natłok,
 Pieniać i pnać się wokół niego.
 I poznał lwy, i plac, i Tego,
 Co głową wznosił się miedzianą
 I w mroku nieruchomo trwał.
 Fatalną wolą rozkaz dał,
 By tutaj miasto zbudowano...
 Straszliwy jest, wpatrzony w mrok!
 Jaka zaduma! Co za wzrok!
 Jaka potęga w nim ukryta,
 A w dumnym koniu jaki pęd!

Dokąd ty, koniu, gnasz bez pęt
 I gdzie opuścisz swe kopyta?
 O, władco losów wszechmogący!
 Czyż nie tak samo twoja dłoń,
 Wzniesiona nad otchłanią pustą,
 Szarpnęła Rosję twardą uzdą,
 Że dęba wspięła się jak koń?

Biedny szaleniec obszedł wokół
 Pomnika ogrodzony cokół,
 Czolo do chłodnych przywarł krat
 I wbił zuchwale wzrok szyderczy
 W oblicze groźne Światodzierzcy,
 I ciężar mu na piersi padł.
 Mgłą zaszły oczy. Strach się zmrowił.
 Zawrzała ogniem w sercu krew,
 I oto wzbiera głuchy gniew
 Przeciw dumnemu kolosowi.
 Ścisnąwszy pięści, tłumiąc łzy,
 Jak czarną mocą opętany:
 «Cóż, budowniku mój miedziany?
 Cóż, cudotwórco?» — syknął zły.
 «Już ja cię»... I jak oszalały
 Przed siebie pobiegł lotem strzały,
 I zdało się, że Groźny Car
 Zapłonął gniewem, wzrok weń wparł,
 I oczy, miotające żar,
 Wolniutko za nim spoglądały.
 Eugenjusz biegnie, dudni bruk,
 Słyszy za sobą ciężki stuk,
 Jak grzechot gromu groźnie grzmiący:
 Galopem dźwięcznym cwałujący
 Stalowy tętent końskich nóg.
 I w bładym blasku ukąpany,
 Wysoko wyciągając dłoń,
 ON — Jeździec goni go Miedziany,
 I dźwięcznie w bruk łomocze koń.
 I wszędzie, dokąd, obłąkany,
 Uciekał, gnany zmorą trwóg,
 Tam Jeździec ścigał go Miedziany,
 I ciężko dudnił kopyt stuk.

Tłum. Julian Tuwim.

EUGENJUSZ BORATYNSKIJ

(1800—1844)

WIOSNA

Wiosna, wiosna! Jak czyste powietrze,
 Dzwoniące ptaków chórem!
 Znów niebo olśniewa mnie jasne
 Przejrzystym swym lazurem.
 Wiosna, wiosna! O jakże wysoko
 Na skrzydłach wietrzyka wysokich,

Słonecznemi promieniami pieszczone,
 Lecą lekkie obłoki.
 Szumią strumienie, biegną strumienie!
 Rycząca rzeka niesie
 Pęknięte srebrzyste zwały lodu
 Na triumfalnym grzbiecie.

Jeszcze nagie bezlistne są drzewa,
Lecz w gaju liście drżące,
Jak dawniej, pod twardą mą stopą
Są szumne i pachnące.
Pod słońce wzbil się skowronek,
Niewidzialny, śpiewa radośnie.
I poświęca hymn swój wiosenny
Tej słonecznej pachnącej wiosnie.
Co dzieje się z duszą moją!
Ze strumieniem dziś jest strumieniem,

Z ptakiem jest ptakiem i płynie,
I leci ku nieba promieniom.
Czemu tak cieszy ją, raduje
Ta wiosna, jasna, zielona?
Bo jest córką żywiołów bujnych
I z niemi cieszy się ona.
Cóż więcej!? Każdy jest szczęśliwy,
Kto zapomnienie pije, —
Kto wchłania w płuca młodą wiosnę
I cieszy się, że żyje.

Tłum. Włodzimierz Słobodnik.

MIKOŁAJ JAZYKOW

(1803—1846)

ŻEGLARZ

Nasze morze — martwe dale.
Tylko szumi w noc i dzień,
I fatalne kryją fale
Wiele nieszczęść, wiele snień.

Śmielej, bracia! Wiatru pełnym
Żagle będę wody pruć:
Wyfrunie na śliskie węłny
Chyżoskrzydła moja łódź.

Wgórze chmury jak olbrzymy
Rośnie wichur, tryska il,
Będzie burza: zatańczymy,
Sprobujemy z burzą sił.

Śmielej, bracia! Piorun gruchnie,
Zagotuje morski muł,
Wyżej bałwan gniewny buchnie,
Niżej głębia spadnie wdoł.

Hen, za burzą, za zawieją
Jest błogosławiony ład;
Tu niebiosa nie ciemnieją,
Wolna cisza płynie stąd.

Tylko dla tych kraj ten, którzy
Wieść potrafią ciągly bój!...
Śmielej, bracia, pelen burzy,
Ale prosty żagiel mój!

Tłum. K. I. Gałczyński.

TEODOR TIUTCZEW

(1803—1873)

[JEST ŚPIEWNOSĆ...]

Est in arundineis modulatio musica ripis.

Jest śpiewność w morskich falach siwych,
W żywiołach jest harmonji wiele.
I piękny, i muzyczny szelest
Sączy się w wiotko-gibkich trzcinach.

We wszystkim tok harmonji płynny
I jasny współdźwięk jest w naturze,
I tylko nasze życie w chmurze,
Z naturą my nie współdźwięczymy.

Skąd wziął się rozdzwięk ten szarpiący?
Czemu w ogólnym rozhovorze
Dusza nie śpiewa, tak jak morze
I skarga w trzcinie brzmi myślącej?

I wielki ból, i żal wciąż jest tam,
I wciąż bez odpowiedzi płynie
Głos wołający na pustyni,
Który bolesnym jest protestem.

[SZEROKA, JASNA I OTWARTA...]

Szaroka, jasna i otwarta
Na mokry błękit nieb wspaniała
Powietrzna zajaśniała arka
W całej chwilowej swojej chwale.

Jeden swój koniec w bór wetknęła,
Drugim odeszła za obłoki,
Pół nieba blaskiem swym objęła,
Mrąc na podstawie swej wysokiej.

O, w tem widnieniu piękna ile!
 Jakie dla oczu barwne przedze!
 Ach, ono dane nam na chwilę,
 Chwytaj je, chwytaj! Przędziej, prędzej!

O, patrz! Już zbladło to zjawisko.
 Ostatnie blaski okiem pijesz.
 Za chwilę zniknie, jak to wszystko,
 Czem ty oddychasz i czem żyjesz.
Tłum. Włodzimierz Słobodnik.

DZIEŃ I NOC

Na tajemniczy duchów świat,
 Nad bezdnią głuchą i bez miana
 Zasłona zwisa złotem tkana:
 Ten wola bóstw nadała ład.
 Zasłoną tą jest jaśń i ruch —
 Dzień, co orzeźwia ziemskie twory,
 Dzień — uzdrowienie duszy chorej,
 Ludzi i bogów wierny druhi!

Lecz mierzchnie dzień, zapadła noc —
 I wnet z powierzchni świata płynnej
 Gazę zasłony dobroczynnej
 Odrzuca precz jej wroga moc...
 I otchłani się obnaża wraz,
 A strachów, mgieł nastaje władza,
 I nic już od niej nie odgradza:
 Dlatego noc tak trwoży nas!

[ZA MYŚLĄ MYŚL GONI...]

Za myślą myśl goni, za falą fala —
 Przejawy te dwa jeden żywioł zespała!
 W serc cieśni czy na bezbrzeżnej wodzie,
 Tutaj — w zamknięciu, tam — na swobodzie:
 Wiecznie te same przyprływy, odpływy,
 Ten sam bez sedna omam straszliwy!

Tłum. Alfred Tom.

[NIEOSTYGLA Z DZIENNEJ SPIEKI...]

Nieostygła z dziennej spieki
 Noc lipcowa lśniła biało,
 I nad ciszą ziemi sennej
 Niebo, ogniem burz brzemienne,
 Całe od błyskawic drżało.

Nito zwarte snem powieki
 Rozwierały się czasami,
 I skroś lotne błyskawice
 Czyjeś groźne tam źrenice
 Zapalały się nad nami.

[SYPKIEGO PIACHU...]

Sypkiego piachu zatrząsienie...
 Jedziemy... Późno... Gaśnie dzień —
 Na drodze długie sosen cienie
 Spłynęły w jeden gęsty cień.

Ach, jakiż smutek tu głęboki...
 Coraz czarniejszy wkoło las!...
 Pochmurna noc, jak zwierz stuoki,
 Z każdego krzaku śledzi nas.

[JAK NA POPIELE...]

Jak na popiele, dymiąc się,
 Papieru zwitek gore lichy,
 A słowa na nim zwolna żre
 Ogień ukryty, niemy, cichy, —

Tak smutnie życie me się tli
 I z dymem dzień po dniu uchodzi;
 I tak sądzono gasnąć mi
 Wśród jednostajnych dni powodzi...

O, gdyby płomień ten choć raz
 Swobodniej błysnął i goręcej!
 Nie dręcząc się, nie męcząc więcej,
 Blaskiem zajaśniałbym — i zgasł!

Tłum. Tadeusz Stępniewski.

MIKOŁAJ GOGOL

(1809—1852)

MARTWE DUSZE

(Wyjątek)

Kiedyś, dawniej, w latach mej młodości, w latach mego bezpowrotnie minionego dzieciństwa wesoło mi było przybywać po raz pierwszy do nieznaney miejscowości; bez względu na to, czyto była wioska, biedne miasteczko powiatowe, sióło, czy fu-tor — dziecinne spojrzenie odnajdywało dużo ciekawych rzeczy. Każda budowla, wszystko, co nosiło na sobie ślady czegoś osobliwego, wszystko zatrzymywało mnie i uderzało. Czyto murowany dom skarbowy w znanym stylu, z połową okien fałszywych, sam, samiuteńki, sterczący pośród drewnianej, ciosanej kupy jednopiętro-wych mieszczkańskich domków; czyto okrągła regularna kopuła, cała obita arkuszo-wem białem żelazem, wzniesiona nad wybieloną, jak śnieg, nową cerkwią; rynek czy frant powiatowy, spotkany na mieście — nic nie unykało mojej świeżej, subtelnej uwadze, i wysunąwszy nos z mego wozu podróznego, patrzyłem na niespotykany dotychczas krój jakiegoś surduta, na drewniane skrzynie z gwoździami, ukazujące się we drzwiach sklepu warzywnego, w szarem żółknącym oddaleniu, wraz z rodzynkami i mydłem, ze słojem wyschniętych cukierków moskiewskich; patrzyłem na przecho-dzącego obok oficera piechoty, przeniesionego z Bóg wie jakiej gubernji, na powia-tową nudę i na kupca w burce syberyjskiej, jadącego dorożką — i podążałem w myśli za nimi, do ich biednego życia. Niech przejdzie urzędnik powiatowy — już się za-myślam, dokąd on idzie, czy na wieczór do jakiegoś swego brata, czy poprostu do siebie do domu, aby, posiedziawszy z pół godziny na ganku, póki zmierzch całkiem nie zgęstnieje, zasiąść do wczesnej kolacji z matką, żoną, siostrą żony i całą rodziną; i o czem będą rozmawiali wtedy, gdy dziewczyna do posług w paciorkach lub chło-piec w grubej kurtce przyniesie, już po zupie, świecę łojową w odwiecznym lichtarzu domowym. Podjeżdżając do wsi jakiegoś obywatela ziemskiego, spoglądałem ciekawie na wysoką wąską dzwonnice lub też na szeroką, ciemną, starą cerkiew drewnianą. Zachęcająco migotały zdaleka poprzez zielen drzew czerwony dach i białe kominy dworu, i oczekiwałem niecierpliwie, kiedy zasłaniające go ogrody rozstąpią się na obie strony i dwór ukaże się cały, w swym, wtedy jeszcze, ach! niespospolitowanym wy-gładzie, i starałem się z niego odgadnąć, kto to taki ten obywatel, czy gruby, czy ma synów, czy też aż sześć córek, z dźwięcznym śmiechem dziewczęcym, zabawami i za-wsze najpiękniejszą najmłodszą córką, i czy one są czarnookie, a on sam czy jest jowjalny, czy też nachmurzony, jak wrzesień ku końcowi, patrzy na kalendarz i mówi o nudnej dla młodości pszenicy i życie.

Teraz obojętnie podjeżdżam do każdej nieznaney wsi i obojętnie patrzę na jej spospolitowany wygląd; mój oziębiony wzrok czuje się nieswojo, nie chce mi się śmiać, i to, co w dawnych latach wywołałoby na twarzy wyraz ożywienia, śmiech i nieskoń-czone rozmowy, przeszliżga się teraz obok mnie i obojętne milczenie zachowują moje nieruchome wargi. O, młodości moja! moja świeżości!

Podczas gdy Czyczykow rozmyślał i śmiał się w duchu z przezwiska, jakim chłopci obdarzyli Pliuszkiną, nie zauważył, iż wjechali do środka obszernej wsi z mnóstwem chat i ulic. Wkrótce jednak dało mu to zauważyć porządne uderzenie, spowodowane przez drewnianą jezdnię, wobec której miejska, kamienna, była niczem. Bałe te, niby klawisze fortepianu, wznosiły się to dogóry, to nadół, i nieostrożny jeździec zdoby-wał albo guza na ciemieniu, albo siną plamę na czole, lub też zdarzało się własnymi zębami odgryźć w sposób arcybolesny koniuszek własnego języka. We wszystkich budynkach wiejskich Czyczykow zauważył jakąś osobliwą zgrzybiałość, belki chat były czarne i stare; wiele dachów przeświecało jak sita; na niektórych pozostał tylko grzbiet na górze oraz żerdki po obu stronach, podobne do żeber. Zdaje się, że sami gospodarze zdjęli z nich poszycie i tarcice, rozumując i, rzecz prosta, słusznie, że chaty nie chronią przed deszczem, a w pogodę nawet kropla nie spadnie, więc pocóż się kwa-sić w chałupie, gdy jest tyle przestrzeni i w karczmie, i na wszelakiej drodze —

słowem, gdzie dusza zapragnie. Okna w chatkach były bez szyb, niektóre były zatkane szmatą lub siermięgą; ganeczki z daszkami i balustradkami, niewiadomo z jakiego powodu dorabiane do niektórych chat rosyjskich, pokrzywiły się, szerniały, nawet nie malowniczo. Z poza chat ciągnęły się w wielu miejscach ogromne stogi zboża, stojące widocznie oddawna; kolor ich przypominał starą, źle wypaloną cegłę, na ich czubku rosło przeróżne świniństwo, a nawet zboku uczepiły się krzaki. Zboże, jak widać, było pańskie. Z poza złóż zboża i zniszczonych dachów, w czystym powietrzu wznosiły się i migotały, to z prawej, to z lewej strony, w miarę zwrotów, robionych przez bryczkę, dwie cerkwie wiejskie, jedna obok drugiej — opustoszała drewniana i murowana z żółciutkimi ścianami, poplamiona, popekana. Częściowo zaczął się ukazywać dwór i wreszcie wyjrzał cały w tem miejscu, gdzie przerwał się łańcuch chat, a zamiast nich ukazał się opuszczony ogród warzywny, obwiedziony niskiem ogrodzeniem, miejscami wylamanem. Ten dziwny zamek, długi, niezmiernie długi, wyglądał jak jakiś zgrzybiały inwalida. Miejscami był parterowy, miejscami zaś jednopiętrowy; na ciemnym dachu, niezawsze pewnie chroniącym jego starość, sterczały dwie werandy, jedna naprzeciw drugiej, obie już nieco zachwiane, pozbawione farby, niegdyś je pokrywającej. Ściany domostwa miejscami ukazywały nagą siatkę tynkową i, jak widać, ucierpiały sporo od różnych niepogód, dżdżów i przemian jesiennych. Z okien otwarte były tylko dwa, inne były zastawione okiennicami lub nawet zabite deskami. Dwa owe okna, ze swej strony, również niedowidziały; na jednym z nich widniał naklejony trójkąt z niebieskiego papieru od cukru.

Stary, obszerny, ciągnący się za domem ogród, wychodzący za wieś i przepadający w polu, zarośnięty i opustoszały, jak się zdawało, sam jeden tylko urozmaicał tę obszerną wieś i sam jeden tylko był w zupełności malowniczy w swem zapuszczeniu. Zielonemi chmurami i nieregularnymi drzącolistnymi kopułami leżały na horyzoncie niebieskim złęczone wierzchołki swobodnie rozrosłych drzew. Białe kolosalny pień brzozy, pozbawiony czubka, odłamanego przez burzę lub piorun, wznosił się z tego zielonego gąszczu i zaokrąglął w powietrzu, jak regularna, marmurowa, lśniaca kolumna; krzywe, ostro zakończone złamanie, którem się kończył ku górze, zamiast kapitelu, ciemniało na jego śnieżnej białości, jak czapka albo czarny ptak. Chmiel, obrastający wdole krzaki bzu, jarzębiny i laskowych orzechów i przebiegający później po wierzchu całego parkanu, wybiegał wkońcu wgórze i oplatał do połowy złamaną brzozę. Dosięgnąwszy jej połowy, zwieszał się stamtąd wdół i zaczynał już zaczepiać wierzchołki innych drzew albo też wisiał w powietrzu, wiążąc w pierścienie swe cienkie chwytne haczyki, lekko kołyszące się w powietrzu. Miejscami zielone haszcze rozstępowały się i odsłaniały w swem wnętrzu nieoświetlone wgłębienie, zięjące, jak ciemna paszcza; było ono całkowicie ocienione i ledwie-ledwie migotały w ciemnej głębi: biegnąca wąska dróżka, obruszone słupki, wałaca się altanka, wydrażony zgrzybiały pień wierzby, siwy krzew akacji, gęstą szczecinę wysuwający z poza wierzby zeschnięte w tej strasznej gąszczy, poplątane i pokrzyżowane liście i sęki, i wreszcie młoda gałąź klonu, wyciągająca zboku swe ręce-liście, pod jednym z których słońce, Bóg wie jak się tam dostawszy, czyniło go nagle przezroczy i ognistym, cudownie jaśniejącym w tej gęstej ciemności. Zboku, w samym końcu ogrodu, kilka wysokich, wyższych od innych osin wznosiło ogromne wronie gniazda na swych drżących wierzchołkach. U niektórych odłamane, a niezupełnie oddzielone gałęzie wisiały wraz z zeschniętymi liśćmi. Słowem, wszystko było ładne, jak nie wymyśli ani natura, ani sztuka, ale jak bywa tylko wtedy, gdy nagromadzoną, częstokroć bez sensu, pracę ludzką przyroda uzupełni ostatniem dotknięciem dłuta, ciężkie masy uczyni lżejszemi, zniszczy brutalną regularność i nędzne szwy, poprzez które przegląda nieosłonięty nagi plan, i da cudne ciepło temu wszystkiemu, co stworzone zostało w chłodzie wymierzonej czystości i schludności.

Zrobiwszy jeszcze jeden czy dwa zakręty, bohater nasz znalazł się wreszcie przed samym domem, który wydał mu się teraz jeszcze smutniejszy. Zielona pleśń już pokryła zbutwiałe drzewo w ogrodzeniu i we wrotach. Szereg budynków — czworaków, stodół, śpichrzów — widocznie butwiejących, napelniał podwórze; kolo nich na prawo na lewo widać było wrota do innych podwórz. Wszystko mówiło, że niegdyś pro-

wadzono tu gospodarstwo na wielką skalę, a teraz wszystko wyglądało ponuro. Nie było widać nic ożywiającego obraz — ani otwierających się drzwi, ani ludzi wychodzących skądś, żadnych żywych trosk i kłopotów domowych! Tylko główna brama była otwarta, i to dlatego, że wjechał chłop z naładowanym wozem, pokrytym rogożą, który jakgdyby umyślnie pokazał się poto, aby ożywić tę zamarłą miejscowość; w innym czasie i ona była zamknięta na glucho, ponieważ w żelaznym skoblu wisiała kłódka-olbrzym.

Przy jednym z budynków Czyczykow wkrótce zauważył jakąś postać, która zaczęła się klócić z chłopem, przybyłym na wozie. Długo nie mógł rozpoznać do jakiej płci należała ta postać — baba czy chłop. Odzież jej była zupełnie nieokreślona, bardzo podobna do kobiecego okrycia; na głowie rodzaj czapki, jakie noszą wiejskie kobiety dworskie; głos tylko wydawał się za ochryply jak na kobietę. «Oj, baba!» pomyślał sobie Czyczykow i zaraz dodał: «Oj, niel» — «Naturalnie, że baba!» rzekł wreszcie, popatrzywszy uważniej. Postać ze swej strony patrzyła nań równie uważnie. Zdaje się, że gość był dla niej osobliwością, bo obejrzała nietylko jego, lecz i Selifana oraz konie, poczynając od ogonów aż do pysków. Z wiszących u jej pasa kluczy i dlatego, że wymyślała chłopu słowami dość sromotnymi, Czyczykow wywnioskował, że jest to zapewne klucznica.

— Słuchajcie-no, matko — rzekł, wychodząc z bryczki — czy pan?..

— Niema w domu — przerwała klucznica, nie czekając końca pytania, i po chwili dodała: — Czego pan potrzebuje?

— Mam interes...

— Niech pan idzie do pokojów! — rzekła klucznica, odwróciwszy się i pokazawszy mu plecy, zawałane mąką, z wielką dziurą nieco niżej.

Wszedł do szerokiej ciemnej sieni, z której powiało chłodem, jak z piwnicy. Z sieni dostał się do pokoju również ciemnego, zaledwie rozjaśnionego światłem, pochodzącym z szerokiej szczeliny, znajdującej się u dołu drzwi. Otworzywszy te drzwi, znalazł się wreszcie w pełnym świetle i był uderzony nieporządkiem, jaki zastał. Zdawało się, że w domu odbywa się mycie podłóg i tutaj na pewien czas zgromadzono całe umeblowanie. Na jednym ze stołów stało nawet złamane krzesło i obok niego zegar z zatrzymanym wahadłem, do którego pajak dorobił już pajęczynę. Tutaj również stała przysunięta bokiem do ściany szafa ze starem srebrem, karafkami i chińską porcelaną. Na biurku, wyłożonem mozaiką z masy perłowej, która miejscami już wypadała i pozostawiła po sobie tylko żółciutkie kanaliki, wypełnione klejem, leżało mnóstwo różnych różności; kupa drobno zapisanych papierków, pokryta pozielieniałym przyciskiem marmurowym z jajeczkiem na wierzchu, jakaś starożytna książka w skórzanej oprawie, z czerwonymi brzegami, zupełnie wyschnięta cytryna, wielkości orzecha laskowego, złamana poręcz od fotelu, kieliszek z jakimś płynem i trzema muchami, nakryty listem, kawałek laku, kawałek podniesionej gdzieś szmatki, dwa pióra, zawałane atramentem, wyschnięte jak od suchot, zupełnie pożółkła wykałaczką, którą gospodarz dłubał sobie w zębach może jeszcze przed najściem Francuzów na Moskwę.

Na ścianach ponawieszano bardzo ciasno i bez sensu kilku obrazów, długą po- żółkłą litografię jakiejś bitwy, z ogromnemi bębniami, krzyczącymi żołnierzami w trójkątnych kapeluszach i tonącemi końmi, bez szkła, wstawioną w ramę z czerwonego drzewa z cieniutkimi pasemkami brązowymi i również brązowymi krążkami po rogach. Obok połowę ściany zajmował ogromny poczerniały obraz, malowany olejno, wyobrażający kwiaty, owoce, rozcięty arbuz, pysk dzika i kaczkę, wiszącą głową nadół. Ze środka sufitu zwisał żyrandol w płóciennym worku, który z powodu kurzu stał się podobny do jedwabnego kokonu, w którym siedzi gąsienica. W kącie pokoju była zwałona na podłodze kupa tego, co podlejsze i niegodne leżenia na stołach. Co mianowicie znajdowało się na kupie — trudno było zdecydować, ponieważ pokrywał ją kurz w takiej obfitości, że ręce każdego, kto jej dotknął, stawały się podobne do rękawiczek; najbardziej rzucał się w oczy odłamany kawałek drewnianej łopaty i stara podeszwa od buta.

Nie możnaby w żaden sposób powiedzieć, że w tym pokoju mieszka żywa istota, gdyby nie obwieszczala jej pobytu stara znoszona szlafmyca, leżąca na stole.

Tłum. Władysław Broniewski.

REWIZOR

(Urywek)

Chlestakow: Bez rang, proszę, niech panowie siadają... Nie lubię ceremonji... Przeciwnie — staram się zawsze prześlizgnąć niepostrzeżenie... Ale trudno się ukryć, bardzo trudno!... Gdziekolwiek się pokażę, zaraz słyszę: «O, Iwan Aleksandrowicz idziel». A kiedyś wzięto mnie nawet za wodza naczelnego: żołnierze wybiegli z kordegardy i sprezentowali broń... Znajomy oficer powiedział mi potem: «No, wiesz, bracie, byliśmy pewni, że to naczelnny wódz!»

Anna: To zadziwiające!

Chlestakow: Znam dobrze kilka przystojnych aktorek... Ja sam przecież także... różne wodewile... z literatami często się widuję. Z Puszkinem za pan brat! Często, przy spotkaniu, mówię mu: «Puszkin, bracie, no, jak tam?» — «Ano tak, bracie, odpowiada, jakoś tak wogóle!»... Wielki oryginał!

Anna: Więc pan pisze?... Jakże to musi być przyjemnie — tworzyć! Pan zapewne i w prasie umieszcza?

Chlestakow: Naturalnie, w różnych pismach!... Jestem poza tem autorem wielu dzieł: Wesele Figara, Robert Djabel, Norma... Nawet tytułów nie pamiętam... Bo ja piszę raczej odniechcenia, przypadkowo... Dyrektor teatru powiedział mi naprzykład: «Proszę cię, bracie, napisz coś»... Myślę sobie: owszem, bracie, czemu nie?... I z miejsca, nieomal przez jeden wieczór, wszystko napisałem, wywołałem powszechne zdumienie! Posiadam niezwykłą lekkość w myślach... Wszystko, co się ukazało pod nazwiskiem barona Brambeusa, dalej «Fregata Nadzieja» i «Telegraf Moskiewski» — wszystko to są moje utwory.

Anna: Więc to pan był Brambeus?

Chlestakow: Któżby inny? Ja im wszystkim poprawiam artykuły... Smirdin płaci mi za to 40 tysięcy.

Anna: Więc i «Jury Miłosławski» jest zapewne pańskiego pióra?

Chlestakow: Tak, to też moje.

Anna: Zaraz się domyśliłam...

Marja: Mamuńciu, tam napisane, że to pana Zagoskina utwór...

Anna: Wiedziałam, wiedziałam, że i tu będziesz się sprzeczać!

Chlestakow: Ależ tak, słusznie! To doprawdy Zagoskina! Ale istnieje inny «Miłosławski», a ten jest mój.

Anna: Ja właśnie pańskiego czytałam. Jakże to świetnie napisane!

Chlestakow: Właściwie literatura wypełnia mi życie. Prowadzę pierwszy dom w Petersburgu. Każdy wie, dom Iwana Aleksandrowicza! *(zwraca się do obecnych)* Panowie, jeżeli kto będzie w Petersburgu, bardzo proszę do mnie! Ja i bale wydaję!

Anna: Wyobrażam sobie, jak wspaniały musi być taki bal!

Chlestakow: Niewypowiedziane cuda, łaskawa pani! Na stole naprzykład — arbuz — za 700 rubli! Zupa przyjeżdża okrętem wprost z Paryża! Podnosi się pokrywę od wazy — para, że podobnej niema w całej naturze. Ja codzień bywam na balach... Mamy tam swoją stałą partję w wista: minister spraw zagranicznych, poseł francuski, angielski, niemiecki — i ja... i tak się człowiek zmęczy, grając, że poprostu coś straszego!... Jak wbiegnę do siebie na czwarte piętro, krzyknę tylko kucharce: «Mawrusza, płaszcz!» Cóż ja gadam!? Zapomniałem, że mieszkam na pierwszym piętrze, z frontu! Oddzielne wejście! Ciekawy widok przedstawia poczekalnia moich apartamentów rano, gdy jeszcze śpię: pełno hrabiów i książąt, tłoczą się i... jak trzniele, tylko słyhać: ż... ż... ż... Czasem i minister... *(Urzednicy w strachu wstają.)* Nawet na pakietach piszą do mnie: jego ekscelencja... Kiedyś zarządzałem nawet departamentem. I dziwna rzecz: dyrektor wyjechał, a dokąd — niewiadomo... No i oczywiście zaczęły się rozważania: co, jak, kto ma go zastąpić?... Wielu generałów miało chrapkę, ten i ów zaczynał, ale nanieć nie takie to proste! Napozór — nie trudnego, lecz kiedy się wglębić — djabelskie przeszkody... Wiedzą potem, że nic nie poradzą — i do mnie... I w tej samej chwili po wszystkich ulicach kurjerzy, kurjerzy, kurjerzy! Czy panowie potrafią sobie uprzytomnić? — 35 tysięcy samych kurjerów! Ładna sytuacja — co?

Proszą: «Panie Chlestakow, niech pan rządzi departamentem!» Przyznam się, że byłem zaskoczony, wyszedłem w szlafroku, chciałem odmówić, ale myślę sobie, najjaśniejszy pan się dowie — poza tem przy awansie dużo znaczy... «Owszem, proszę panów, przyjmuję stanowisko, przyjmuję, powiadam, niech już będzie, powiadam, przyjmuję, ale żeby mi ani, ani! już ja wam pokażę! już ja!... I w samej rzeczy: kiedy przechodzę przez departament — poprostu trzęsienie ziemi!... Wszystko drży i dygocze, jak liść! (*Gorodniczy i urzędnicy trzęsą się ze strachu — Chlestakow rozpala się.*) O! ja żartować nie lubię! Ja im wszystkim pokażę, dałem szkołę! Nawet rada ministrów drży przede mną! Bo niby co!? Taki jestem! Ja z nikim się nie liczę! Wszystkim mówię: «Ja siebie znam! Ja sam!» Ja jestem wszędzie, wszędzie! Codzień jeżdżę do carskiego pałacu... Jutro będę mianowany na feldmarsz... (*potoczył się i ledwo nie rymnął na ziemię — urzędnicy podtrzymują go.*)

Gorodniczy (*podchodzi, trzęsie się ze strachu*): A, wa — wa — wa...

Chlestakow (*szybkim, urywanym głosem*): Że co?...

Gorodniczy: A, wa — wa — wa...

Chlestakow (*szybkim, urywanym głosem*): Nic nie rozumiem... Bujda wszystko!

Gorodniczy: Wa — wa waszencja ekscelencja... może raczy odpocząć?... Jest pokój i wszystko...

Chlestakow: Bujda odpocząć! Owszem mogę odpocząć... Śniadanie, panowie, było świetne... Jestem zadowolony, bardzo zadowolony... (*z patosem*) Labardan! Labardan!

(*Wchodzi do bocznego pokoju, za nim Gorodniczy.*)

Tłum. Julian Tuwim.

MICHAŁ LERMONTOW

(1814—1841)

PROROK

Odkąd jam z mocy Nieśmiertelnej
Wszechwiedzy posiadał dar proroczy,
Odtąd już były mi czytelne
Grzechami lśniące ludzkie oczy.

Głosić począłem był wyrazy
I prawdy czystej i miłości:
Ciskali bliźni na mnie glazy,
Szaleni gniewem do wściekłości.

Popiołem osypawszy włosy,
Uszedłem z miast z żebraczą laską;
W pustyni mieszkam pod niebiosy,
Jak ptaki, karmion bożą laską.

Tam, przestrzegając Wiecznej Woli,
Słucha mię wszelki żywioł ziemi,
I gwiazdy w świetnej aureoli
Za rozkazami idą memi.

Lecz kiedy muszę grodem szumnym
Przez jego mury iść z pośpiechem,
To starcy dzieciom nierozumnym
Z zadowolenia mówią śmiechem:

«Patrzcie nań: wzorem niech wam będzie!
Był dumny, z nami się nie godził;
Głupiec! — przez jego ust narzędzie
Głos boży — twierdził — ku nam schodził.

Patrzcie więc nań uważnie, dzieci,
Jak wasi gardzą nim rodzice;
Jak ma wychudłe, chmurne lice;
Jaką nagością, nędzą świeci!»

Tłum. M. Koroway-Metelicki.

[GDY FALE ZBÓŻ...]

Gdy fale zbóż kołyszą się na niwie,
Gdy szumią lasy od wietrzyka tchnień,
Kiedy się owoc tuli pieszczotliwie
Pod zielonego listka słodki cień;

Kiedy, kroplami rosy operlona,
 Konwalia chyli ku mnie biały kwiat
 W chwilę, gdy słońce tryska z roków łona
 Lub gdy się do snu kloni cały świat;

Gdy zdrój, co wody swe z oddali toczy,
 Pograża myśl mą w jakimś słodkim śnie,
 O swej ojczyźnie szczęsnej i uroczej
 Wciąż szemrząc baśnie na przepaści dnie; —

O, wtedy z duszy pierzcha ból i trwoga,
 Wracają znowu roje dawnych złud,
 Poczynam wierzyć w mego szczęścia wschód
 I wśród błękitów widzę Boga.

Tłum. Władysław Nawrocki.

OBŁOCZKI

Obłoczki na niebie! Szlakami złotemi,
 Jak pereł różaniec, snujecie się cudnie!
 I mknicie z wygnańcem, jak wieczni pielgrzymi,
 Z ojczyznej północy na jasne południe...

O, jakiż to wyrok was stamtąd wypędza?
 Czy losy za jakieś przestępstwo was karczą?
 Czy zazdrość was ściga, czy gniewu zła jędza?
 Czy kryć się musicie przed zradnym potwarczą?

O, nie! Wam się znudził nasz ugór nieżyzny,
 Wam obca tęsknota i bóle najkrwawsze!
 Obłoczki! Tak zimne i płocze-ście zawsze!
 Nie znacie wygnania — nie macie ojczyzny!

Tłum. Józef Birkenmajer.

PRAGNIENIE

Czemum ja nie ptakiem, nie krukiem stepowym,
 Co leci tu w górze, nad głową?
 Dlaczego nie mogę z obłokiem zimowym
 Ulecieć w mą stronę rodową?

Na zachód, na zachód poleciałbym lotem,
 Gdzie przodków mych kwitną rozłogi,
 Gdzie zamek ich pusty, błyszczący jak złotem,
 Gdzie popiół mych ojców śpi drogi!

Na ścianie wiekowej ich puklerz herbowy
 I miecz zardzewiały nad drzwiami...
 Ja zacząłbym latać i z tarczy rodowej —
 Kurz zmiotłbym mojem i skrzydłami!

I arfy ich szkockiej nawiązałbym struny...
 I dźwiękby poleciał sklepieniem...
 I tak, jako powstał — tak cichy, stłumiony,
 Skończyłby się cicho — marzeniem!

Lecz nanie me prośby, lecz nanie me żale...
 Co począć z srogiemi losami?
 Ten kraj i mój zamek, sterczący na skale,
 Wielkimi rozdarte morzami.

Ostatni potomek zwycięskich szeregów,
 Tu więdnę w tym kraju zimowym,
 Choć tutaj zrodzony — do innych drzę brzegów...
 Ach! czemum nie krukiem stepowym!?

Tłum. Stefan Żeromski (1882).

ŻAGIEL

Samotny żagiel nad morskie tonie
 Między tumany miga sinemi...
 Czegoż mu szukać w dalekiej sronie?
 Co go wyгнаło z rodzinnej ziemi?
 Dziko wiatr świszczę, burzą się fale,
 Maszt się pochyła, skrzypi i ślania...
 Biedny! on szczęścia nie szuka wcale,
 Ani go szczęście z domu wygnania...
 Pod nim, jak lazur, śpi fala cicha,
 Ponad nim złote słońca promienie;
 A on, niebaczny, do burzy wzdycha,
 Jakgdyby w burzach było wytchnienie.

Tłum. Wincenty Korotyński.

[IDĘ SAM — PRZEDE MNĄ BIAŁA DROGA]

Idę sam — przede mną biała droga.
 Poprzez mgłę krzemieni płynie blask.
 Cicha noc, pustynia słucha Boga,
 I chór gwiazd rozmawia z chórem gwiazd.

Już nie czekam na nic i przeszłości
 Nie żałuję, jedno tylko wiem:
 Szukam tylko ciszy i wolności,
 Pragnę zasnąć wiekuistym snem.

W jasnym niebie uroczyście, pięknie,
 Ziemia śpi, błękitna drzemie dal —
 Czemuż mi tak ciężko i tak smętnie?
 Na cóż czekam, czegoż mi tak żal?

Lecz nie zimnym, twardym snem mogiły —
 Pragnę zasnąć mocno, ale tak,
 Aby w piersi wrzały życia siły,
 Abym czuł się wolny jako ptak,

By mi słodki, młody głos natchniony
 O miłości śpiewał cały dzień,
 By nade mną dąb wiecznie zielony
 Chylił się i rzucił na mnie cień.

Tłum. Włodzimierz Słobodnik.

Z «DEMONA»

Posępny demon, duch wygnania,
 Nad grzeszną ziemią błędził w krąg;
 W dni lepszych mary, w głąb dumania
 Biegł wspomnień jego długi ciąg —
 Tych dni, gdy w światła tam namiocie
 On, cherub czysty, blaskiem lśnił,
 Gdy w swych woalów zwiewnych złocie
 Komety bratnie mu w przelocie
 Uśmiechy z złotych stały bryl;
 Gdy przez wieczystych mgieł tumany,
 Poznania głodny, szukał dróg,
 Na które błędne karawany
 Gwiazd w otchłań ciemną zepchnął Bóg;
 Gdy jeszcze wierzyć, kochać mógł

On, pierworodny syn stworzenia,
 Ni złości nie znał, ni zwątpienia
 I nie znał tego, co dziś zna —
 Jałowych wieków szereg chmurny...
 I jeszcze, jeszcze... i do dna
 Wyczerpać nie mógł wspomnień urny.

Stracony, błędził tyle lat
 Sam przez pustynię świata lutą.
 Wiek nowy mknął za wiekiem wślad,
 Jak mknie minuta za minutą,
 Jednakże wiecznie tańcząc tan.
 On, nędznej ziemi władny pan,
 Zła rzucił ziarna bez rozkoszy

I kruszył wszystko, tak jak szkło,
Jak wichur wiał, gdy bór pustoszy —
Aż nudę tchnęło weń i zło.

I leciał raz ów duch wyklęty
Nad skręplonym snem Kaukazu skal.
Tam, w dole, niby diament rżnięty
W pałaniu śniegów Kazbek stał;
tak głęboko, jak wzrok sięgnie,
Jak wąż, co się w szczelinie lęgnie,
Swe brzegi Darjał kręty rwał;
I niczem tygrys rozjuszony,
Kosmaty Terek ryczał tam;
I dziki zwierz, i ptak spłoszony,
Gdzieś aż u niebios krążąc bram,
Słuchały pilnie jego mowy;
I rozłożone strzępy chmur
Z dalekich stron, z za rzek, z za gór,
Jak orszak za nim szły godowy;
I skał nadbrzeżnych zwarty huf,
Zakłęty w sen, zaczarowany,
Schylonym tłumem swoich głów
W migotów pełne patrzył piany;
I jak wydarte z baśni kart,
Patrzyły groźnie przez mgieł dymy
U wrót Kaukazu, nakształt wart,
Zamkowych czujne haszt olbrzymy!
I pieścił wzrok, i koił słuch
Ten boski świat; lecz hardy duch
Z pogardą oczy swe sokole
Wbił w Stwórcy twór, jak w nędzny szkic,
I na wysokiem jego zczole
Nie odbłysnęło — zgola nic.

Na firmamentu gwiazdny gmach,
Na zmierzchu i brzasku we mgieł przezroczu —
Złocistej Persji żaden szlach
Ni żaden król w tęsknoty snach
Ustami nie tknął takich oczu;
Haremu żaden srebrny zdroj
W wód szepcie swych się nie poszczyci,
Że kształt, podobny jej kibici,
W południa skwarny zraszał znój;
I nigdy, nigdzie nikt nie powie,

Że, po kochanej błądząc głowie,
Rozplatał jedwab takich kos.
Odkąd przekięto ludzkie mrowie,
Piękniejszy nad nią ku Jehowie
Nie błysnął kwiat z porannych ros.

Ostatni już to był jej taniec...
Już jutro losu ją wybraniec
Za widnokregu siny kraniec
Nieznany szlakiem obcych dróg
Miał zawieść w obcy kraj daleki,
I niewolnicą już na wieki
Przestąpić miała obcy próg.
I często trwożne jakieś cienie
Przez oczu jej płynęły żar;
Lecz każde bioder poruszenie
I każde lekkich szat jej drgnienie
Tak dziwny niosły w sobie czar,
Że gdyby demon w jej postaci
Zatopił źrenic swoich stał,
To, wspominając dawnych braci,
W westchnieniu rozwiały swój żal...

I demon spojrział... I w tej chwili,
Jak gdy łan zboża wiatr pochyli,
Przez serce biegł mu dziwny blask.
W głębinach niemej duszy chramu
Zadźwięczał dzwon zwiastunem łask,
I stanął znów u wrót sezamu:
Mógł miłość, dobro, piękno czuć...
I w słodki obraz długo, długo
Spoglądał; marzeń biała łódź
Niosła go szczęścia modrą strugą,
I sny, jak gwiazdy gwiazdom wślad,
Z przeszłości w tęsknot biegły świat.
Tajemnych pęt związany siłą,
On w nowy smutek zapadł znów,
Bo w nim uczucie przemówiło
Językiem obcych dziś mu słów.
I byłże znak to odrodzenia?
Daremnie myśl szyderczą z cienia
Pod brwi ściągniętych garnął łuk.
Zapomnieć? — Tego nie dał Bóg,
I nie wzięłyby on zapomnienia...

Tłum. M. M. Bożawola-Poznański.

Z «PIEŚNI O CARZE IWANIE, SYNU WASYLOWYM, O MŁODYM OPRYCZNIKU
I ŚMIAŁYM KUPCU KAŁASZNIKOWIE»

Hejże, nasz Groźny carze, carze nasz Iwanie!
O tobie układamy dziś nasze śpiewanie,
O twoim opryczniku, wojaku udałym,
I o Kałasznikowie, kupcu bardzo śmiałym.
A pieśń tę na prastarą nutę układamy
I do taktu dzwoniących gęśli ją śpiewamy.
Śpiewamy pieśń, a ona, carze, cię rozślawia

I prawosławny naród cieszy i zabawia.
A dobry bojar Maciej wysokiego rodu
Podaje nam za pieśń tę czarę, pełną miodu,
A białolica gładka bojarzyni jego
Podaje nam łaskawie z talerza srebrnego
Nowy ręcznik jedwabny od serca szczerego.
Częstują nas trzy noce i trzy dni, i dalej
Słuchają, i dotychczas się nie nasłuchali.

To nie słońce na niebie jarzy się czerwone,
To nie patrzą na słońce chmurki zachwycone,
To ucztuje przy suto zastawionym stole
Car Iwan Groźny w złotej koronie na czole.
Za nim stoją stolnicy, przed nim bojarowie
I wielmożni książęta — głowa tuż przy głowie;
A po bokach — udatych opryczników morze.
I ucztuje car Iwan Groźny w imię boże
Obecnym ku zabawie i sobie na zdrowie.
Uśmiechając się wtedy słońcem do narodu,
Kazał car zamorskiego najśłodsze miodu
Nalać sobie do dzbana, ślicznie złoconego,
I podać opryczników spragnionych szeregom.
I pili oprycznicy, i hulaszczą wiara
Wlewała miód do gardła i sławiła cara.
Tylko jeden oprycznik, rycerz nad rycerze,
Udziału w tem wspólnem weselu nie bierze
I w dzbanie pozłocistym wąsów swych nie moczy,
Lecz posepnie opuszcza ciemne swoje oczy
I głowę swą opuszcza nad piersią szeroką,
A w piersi zła zaduma czai się głęboko.
Oto car zmarszczył brwi swe czarne, nastroszone
I ostre swoje oczy zwrócił w jego stronę.
Rzekłbyś, że jastrząb spojrział z niebios wysokości
Na młodego gołębia, pełnego cichości.
Lecz wojak stał bez ruchu z opuszczoną głową.
Oto car grzmotnął pałką w podłogę dębową,
I dębowa podłoga, szorowana, myta,
Na pół ćwierci została żelazem przebita.
Lecz i tu nie drgnął wojak, nie poruszył głową.
Wtedy car rozgniewany groźne wyrzekł słowo —
I oprzytomniał wojak o chmurnem obliczu.
«Hej ty, nasz wierny sługo Kiribiejewiczu!
Czyś zataił myśl jaką w sobie nieuczciwą?
Czy na sławę ty naszą, zuchu, patrzysz krzywo?
Czy ci służba szlachetna więcej nie smakuje?
Gwiazdom radość, gdy miesiąc w niebie spaceruje,
Bo oświetla im drogę, a która nieładnie
Za chmurką się ukrywa, ta na ziemię spadnie...
Więc i tobie, mój wierny sługo, nie przystoi
Uchyłać się od carskiej wesołości mojej,
Tem bardziej, że w twym rodzie świętych mężów siła
I rodzina Malutów ciebie wykarmiła!...»

Na to wojak carowi nisko wpas się skłonił
I schylony w ukłonie takie słowa ronił:
«Carze ty nasz, Iwanie, synu Wasylowy,
Nie rań swego pacholka okrutnymi słowy,

Bo gorącego serca winem nie zalejesz,
 Ani też czarnej myśli ucztą nie rozwiejesz.
 Jeżelim cię rozgniewał, twój niewolnik lichy,
 Każ mi odrąbać głowę, pełną grzesznej pychy,
 Bo cięży mi zanadto już od dawnej chwili
 I sama ku wilgotnej ziemi już się chyli».

I na to mu car Iwan Groźny tak odrzeczę:
 «Jakaż to troska czarna ciebie, zuchu, piecze?
 Czy wytarł się twój kaftan aksamitny nowy?
 Czy zgniółł się twój junacki kołpak sobolowy?
 Lub może w mieszku nie masz już ani dukata?
 Może rdzą się powlekła szabla twa bogata?
 Lub źle podkuty rumak w polu ci okulał?
 Alboś w walce na pięści źle sobie pohulał,
 I syn kupiecki pobił cię na Moskwie-rzeczę?»

Na to Kiribiejewicz tak carowi rzecze,
 Podniósłszy wtem do góry głowę kędzierzawą:
 «Nie zrodziła się jeszcze ręka z taką sławą
 Ani w kupieckim, ani też w bojarów rodzie.
 Stepowy koń mój rażno, jako wichher, chodzi;
 Jak szkło błyszczy ma szabla i ostre jej cięcie,
 I nie gorzej od innych z łaski twej przy święcie
 Mogę ludziom pokazać się w najlepszej szacie.
 Jak popędzę, pojedę na swoim bachmacie
 Za Moskwę-rzekę, jak ci na nim tam pohasam,
 Jak jedwabnym najdroższym pasem się przepasam,
 Jak załamię ci nabok kołpak z aksamitu,
 Który czarnym sobolem puszy się u szczytu —
 W drewnianych wrotach wtedy stają dziewczki młode
 I podziwiają moją junacką urodę;
 Tylko jedna, najbardziej gładka, urodziwa,
 Nie patrzy i w pstrokatej chuście twarz ukrywa...
 Na całej, jak szeroka, Rusi naszej matce
 Nie widziałem dziewczyny od tej dziewczki gładziej:
 Gdy chodzi — płynie łabędź i skrzydłem powiewa,
 Gdy rzeknie jakie słowo — mały słowik śpiewa;
 Rumiane jej policzki, jak te zorze, świecą,
 Pozłociste warkocze po ramionach lecą
 I wiją się, związane barwnymi wstążkami,
 I całują się w biegu z białymi piersiami.
 Urodziła się ona w kupieckiej rodzinie
 I Alena na imię tej pięknej dziewczynie.
 Gdy widzę ją, nie jestem sobą, serce płonie;
 Opuszczają się wtedy silne moje dłonie,
 Posepnieją me oczy, cały mdleję w żarze.
 Smutno, ciężko mi teraz, prawosławny carze,
 Samemu żyć na świecie! Ciężkie życie moje! — — —»

I odparł mu car Iwan na to tak ze śmiechem:
 «Jeśli tak, wierny sługo mój, to z całą mocą
 Postaram ci się służyć radą i pomocą.
 Oto weź z mojej ręki pierścień brylantowy
 I na dodatek daję tobie sznur perłowy.
 Przedtem pokłoń się jakiej co sprytniejszej swatce
 I te drogocенności pošlij swej dzierlatce,
 Alenie Dymitrownie. Jeśli przyjmie dary,
 Szykuj ślub, a jeżeli nie — wtedy daruj!»

— Hejże, nasz Groźny carze, carze nasz Iwaniel
 Oszukał cię niewolnik twój, laskawy panie!
 Nie powiedział ci prawdy, że piękna jak zorze
 Już dawno ślub Alena wzięła w cerkwi bożej
 Z młodym kupcem i według prawa chrześcijańskiego
 Należy już nadobna dziewczka do innego...

Hej, chłopcy, śpiewajcie — gęśli nastrajajcie!
 Hej, śpiewacy, pijcie — dłonią w struny bijcie!
 I pocieszcie dobrego bojara
 I bojarzynię jego białolicą!

Tłum. Włodzimierz Słobodnik.

ALEKSY KOLCOW

(1809—1842)

PIEŚŃ RATAJA

Dalej, koniu siwy!
 Idź po ornem polu!
 Wrzynaj się żelazem
 W ziemię urodzajną.

Piękna młódka-zorza
 W niebie już się jarzy
 I z wielkiego lasu
 Słoneczko wychodzi.

Jakże tu radośnie!
 Dalej, koniu siwy!
 Ja za tobą idę,
 Sługa i gospodarz.

Wesoło szykuję
 Bronę swą i sochę
 I wóz oporządzam,
 I ziarno już sieję.

Wesoło spoglądam
 Na szerokie pole,
 Młóćę jak należy...
 Dalej, koniu siwy!

Z tobą, koniu siwy,
 Będziem orać pole,
 Zgotujemy ziarnu
 Kolebeczkę świętą.

Przepoi je sobą
 Mokra małka-ziemia
 I wyrośnie trawka...
 Dalej, koniu siwy!

I wyrośnie trawka,
 I wyrosną kłosa,
 Zaczną się przystrajać
 W złotem szyte szaty.

I zabłyszczy sierp nasz,
 I zadzwonią kosy,
 I na ciężkich snopach
 Odpoczniemy potem.

Dalej, koniu siwy!
 Nakarmię dosyta
 I napoję wodą,
 Rzeźwiącą, kryniczną.

Z modlitwą na ustach
 Będę orał glebę;
 Urodź mi, o Boże,
 Chleb — bogactwo moje.

Tłum. Włodzimierz Słobodnik.

IWAN GONCZAROW

(1812—1891)

Z «OBŁOMOWA»

(Sen w Obłomówce)

...Popołudnie upalne; na niebie nie widać jednego obłoczka. Słońce nieruchomo wisi nad głową i pali trawę. Powietrze jest bez ruchu. Ani woda, ani żaden listek nie drgnie na drzewie; nad wsią i nad polem panuje niezmacona cisza — zdaje się,

że wszystko wymarło. Słychać o dwadzieścia sążni, jak żuk przeleci i brzęczy. Do-nośnie i daleko płynie głos ludzki. Z gęstej trawy dolatuje tylko odgłos chrapania, jakgdyby ktoś spał tam słodkim snem.

W całym domu panuje niezmacona cisza. Nadszedł czas zwykłego poobiedniego spoczynku.

Dziecko widzi, że ojciec, matka, stara ciotka, cały akompanjament codziennych pieczeniarzy — rozeszli się po kątach. Kto go nie miał, to jeden szedł na siano, drugi do sadu, trzeci szukał chłodu w sieniach, a inny, przykrywszy twarz chustką, od much, zasypiał tam, gdzie go żar zmorzył i do snu pochylił obfity obiad. Ogrod-nik rozciągnął się w ogrodzie pod wiśnią, furman spał w stajni. Ilja Iljicz zajrzał do izby czeladnej — wszyscy spali pokotem: na ławkach, na podłodze, w sieniach. Tylko dzieci, pozostawione same sobie, pełzały po dworze i bawiły się w piasku. Pies głę-boko schował się do swojej budy, rad, że nie ma na kogo szczekać.

Można było cały dom przejść z końca w koniec i nie spotkać żywej duszy. Można było zabrać wszystkie sprzęty i wywieźć ze dworu — nikt nie przeszkodziłby z pewnością. Tylko złodziei w tym kraju nie było.

Był to jakiś sen niezwyciężony, pochłaniający wszystkich — jakies podobienstwo do śmierci. Wszystko martwe, tylko z różnych kątów słychać było chrapanie na różne tony. Czasem ktoś przez sen podniesie głowę, bezmyślnem i zdziwionem okiem spoj-rzy na wszystkie strony, przewróci się na drugi bok i, nie otwierając oczu, plunie, po-ruszy ustami, coś mruknie pod nosem — i zasypia. Ktoś inny szybko, bez żadnego namysłu, nagle skoczy na równe nogi i, nie tracąc chwili drogocennej, pochwyci dzbanek z kwasem, dmuchnie, aby odpłynęły do drugiego brzegu pływające po wierz-chu muchy, które, nieruchome dotychczas, poczynają się ruszać, jakby się pragnęły wydobyć z dzbanka, pociąganie kwasu i znowu, jak nieżywy, pada i śpi.

A chłopczyk na wszystko patrzył i zapamiętywał.

On z nianią po obiedzie wychodził na powietrze. Ale i niania, bez względu na całą surowość rozkazu baryni i wbrew swojej własnej woli, nie mogła się sprzeci-wić opanowaniu jej przez sen. Ulegała także chorobie senności, panującej powszechnie w Oblomówce. Z początku pilnie uważała na chłopczyka, nie pozwalała daleko odejść od siebie, ostro karcila za swawole, ale potem, czując zbliżające się oznaki zarazy, poczęła go prosić, aby nie wychodził za bramę, nie drażnił kozła, nie laził do go-łębnika.

Sama zaś siadała gdziekolwiek w cieniu — na ganku, na progu piwnicy lub wprost na trawie, jakby się zdawało, w tym zamiarze, aby robić pończochę i pilno-wać dziecka. Wkrótce coraz leniwiej, kiwając głową, starała się powstrzymać swa-wolę chłopaka. — Ach, jeszcze wlezie ten swawolnik na galerję — myślała jak przez sen — albo, co gorsza, do parowu... — Głowa staruchy chyliła się do kolan, poń-czocha z rąk wypadła. Chłopiec zginął jej z przed oczu. Otworzywszy usta, poczęła lekko chrapać.

A on z niecierpliwością oczekiwał tej chwili, gdyż wtedy dopiero rozpoczynało się jego samodzielne życie. Był wtedy sam na całym świecie. Na palcach, cichutko uciekał od niani i oglądał wszystkich, gdzie tylko kto spał. Zatrzymał się. Popatrzył ciekawie na tego, który się budzi, plunie lub coś przez sen zamamroce, potem z drżą-cem sercem wskoczył na galerję, obiegił ją dokoła po trzęsących się deskach, wła-ził do gołębnika, uciekał w głąb sadu, słuchał, jak brzęczą żuki, i daleko śledził oczyma ich lot; przysłuchiwał się, jak coś strzyka w trawie; szukał i łapał to stwo-rzonko, które mąciło ciszę. Złapie konika polnego, urwie mu skrzydełka i patrzy, co on będzie robił, lub przewlecze przez jego ciało słomkę i przypatruje się, jak lata. Z ciekawością, bojąc się oddychać, przygląda się pajakowi, ssącemu krew z muchy, przysłuchuje się, jak biedna ofiara brzęczy w jego łapkach, a kończy tem, że zabija i dręczyciela, i ofiarę.

Potem złazi do rowu, ryje ziemię i szuka jakichś korzonków, które oczyszcza z kory i zjada ze smakiem większym, niż jabłka i konfitury, które dostaje od matki.

Biegnie za wrota. Chciałby dobiec koniecznie do brzożowego lasku, w pięć mi-nut już byłby tam, nie drogą, krążąc daleko, ale przez płoty, jamy i rowy, lecz boi

się — mówią, że tam djabeł leśny i straszą jakieś potwory. Chciałby się i do parowu dostać — niedaleko, zaledwie pięćdziesiąt sążni od ogrodu. Już przybiegł prawie do samego brzegu, przymknął oczy, chciał spojrzeć w głąb, jak w głąb krateru... gdy nagle w wyobraźni jego rozbudziły się wszystkie podania i gadania, i strach go ogarnął. Napół żywy popędził zpowrotem i, drżąc ze strachu, rzucił się do niańki i zbudził staruszkę.

Ona otrząsnęła się ze snu, poprawiła chustkę na głowie, palcem wetknęła pod chustkę kosmyki siwych włosów i, udając, że nie spała wcale, podejrzliwie spojrzaniem spogląda na Iljuszę, potem na okna dworu i poczyna drżącymi palcami przetykać druty, robiąc dalej pończochę, którą z kolan podniosła.

Tymczasem upał powoli zmniejszał się. Przyroda poczynała się ożywiać. Słońce posunęło się bliżej lasu. I w domu powoli zaczęła się przerywać cisza. W jednym końcu domu gdzieś drzwi skrzypnęły, na dworze dały się słyszeć czyjeś kroki, na sianie ktoś począł kichać. — — —

Tłum. Franciszek Rawiła-Gawroński.

JAN TURGENIEW

(1818—1883)

Z «ZAPISKÓW MYŚLIWEGO»

Jermołaj i młynarka

Wieczorem z myśliwym Jermołajem poszliśmy na «ciąg». Ale zapewne nie wszyscy moi czytelnicy wiedzą, co to jest «ciąg», Przeto postuchajcie. Na kwadrans przed zachodem słońca, na wiosnę — wchodzicie do gaju, z bronią, bez psa. Obieracie sobie miejsce gdzieś blisko brzegu gaju wśród krzaków, oglądacie się, opatrujecie piston, porozumiewacie się z towarzyszem. Przechodzi kwadrans; słońce zaszło, lecz w lesie jeszcze jasno, powietrze czyste i przezrocze, ptaki śpiewają, młoda trawa jaśnieje blaskiem szmaragdu... czekacie.

Wnętrze lasu stopniowo ciemnieje; czerwone światło zorzy wieczornej powoli ślizga się po korzeniach i pniach drzew, podnosi się coraz wyżej i wyżej, przechodzi do niższych, prawie jeszcze gołych gałązek, do nieruchomych, zasypiających wierzchołków...

Wreszcie i same wierzchołki pociemniały; niebo zaróżowione staje się niebieskie, wzmaga się zapach w lesie coraz bardziej, pociąga ciepły wilgotny wietrzyk. Ptaki zasypiają. Nie wszystkie razem, według gatunków; i oto ucichły zięby, po kilku minutach czyżki, za nimi poświerki.

W lesie ciemniej i ciemniej. Drzewa zlewają się w wielkie czerniejące masy. Na niebie wstępują pierwsze gwiazdki. Wszystkie ptaki śpią. Czarne pliszki, małeńkie dzięcioły jeszcze się odzywają sennie, lecz i one umilkły. Jeszcze gdzieś smutnie zakrzyczala wilga, słowik odezwał się po raz pierwszy.

Serce wasze męczy oczekiwanie... i nagle, lecz tylko myśliwi mogą mnie zrozumieć, nagle w głębokiej ciszy rozlega się szczególniejsze chrapanie i świst, słychać miarowe uderzenia skrzydeł i słonka, pięknie nachyliwszy swój dziób, wypływa z ciemnej brzozy na strzał.

Oto, co znaczy stać na «ciągu».

Tak więc, udaliśmy się z Jermołajem na ciąg, lecz, przepraszam, pierwszej muszę was zapoznać z Jermołajem.

Wyobraźcie sobie człowieka czterdziestopięcioletniego z długim i cienkim nosem, czarnymi oczkami, rozlrganymi włosami i szerokimi, śmiejącymi się ustami. Człowiek ten zimą czy latem chodził w nankinowym kaftanie, niemieckiego kroju, lecz podpasywał się pasem, nosił niebieskie szarawary i czapkę futrzaną, darowaną mu niegdyś przez podupadłego obywatela.

Do pasa przywiązywał dwa worki; jeden z przodu, przekreślony na dwie połowy, na proch i na śrut; drugi z tyłu na zwierzynę, przybitki zaś Jermołaj wyciągał z własnej, nigdy niewyczerpanej czapki. Mógłby on bardzo łatwo, za pieniądze, jakie miał

za sprzedaną zwierzynę, kupić sobie ładownicę i torbę myśliwską, lecz ani razu nie pomyślał nawet o podobnym sprawunku i nabijał swoją strzelbę, jak dawniej, wzbudzając podziw widzów zręcznością, z jaką unikał zmieszania prochu ze śrutem.

Broni miał pojedynczą, ze skałką, «bijącą mocno», na skutek czego prawa szczęka Jermolaja zawsze była pełniejsza od lewej. Jak on trafiał z tej broni, nawet bardzo mądry człowiek nie odgadłby, lecz trafiał...

Miał on i wyżła, który się wabił Waletka; zadziwiające stworzenie! Jermolaj nigdy jeść mu nie dawał.

— Będę ja psa paś — mówił — pies, mądre zwierzę, sam sobie pożywienie znajdzie.

I rzeczywiście, chociaż Waletka najobojętniejszego przechodnia raził swą chudością nadmierną, lecz żył i długo żył; nawet, bez względu na swe mizerne położenie, nie zdradzał chęci opuszczania swego pana.

Raz, jakoś za młodych lat, uciekł na dwa dni, ale to głupstwo prędko od niego odeszło.

Najbardziej godną uwagi właściwością Waletki była jego szczególna obojętność na wszystko na świecie. Gdyby tu była mowa nie o psie, użyłbym wyrazu — rozczarowanie. Zazwyczaj siadywał, podwinąwszy pod siebie kusy ogon, był jakby nachmurzony, od czasu do czasu wstrząsał się i nie uśmiechał się nigdy (wiadomo, że psy umieją się uśmiechać, i to bardzo przyjemnie).

Był on strasznie brzydki i ani jeden próżnujący dworski człowiek nie opuścił okazji, aby się nie naśmiać z jego powierzchowności, ale wszystkie te żarty, a nawet uderzenia, Waletka znosił z zadziwiająco zimną krwią.

Szczególną przyjemność robił kucharzom, którzy natychmiast odrywali się od roboty i z krzykiem puszczali się za nim w pogoń, gdy on wskutek słabości, nietylko psom właściwej, wsuwał swój głodny pysk w półotwarte drzwi ciepłej i pełnej kuszących zapachów kuchni.

Na polowaniu był niezmordowany, węch miał dobry, lecz jeżeli przypadkiem dopędził ranionego zająca, to pożerał go z rozkoszą całego, do ostatniej kostki, gdziekolwiek w chłodnym cieniu, pod zielonym krzakiem, w przyzwrotnym oddaleniu od Jermolaja, klnącego wszystkimi znanymi i nieznanymi dialektami.

Jermolaj należał do jednego z moich sąsiadów, obywatela starej daty...

...miał nakazane raz na miesiąc dostarczać do kuchni pańskiej dwie pary cietrzewi i kuropatew, a z resztą pozwalano mu robić, co chce, i żyć, czem chce.

Tłum. Klemens Junosza (Szaniawski).

Z «POEZYJ PROZĄ»

(Senilia)

W r ó b e l

Wracałem z polowania i szedłem aleją ogrodu.

Pies biegł przede mną. Raptem zwolnił kroku i zaczął się skradać, jakby poczuł przed sobą zwierzynę.

Spojrzałem wdół alei i ujrzałem młodego wróbla z żółtym jeszcze dziobem i puchem na głowie. Wypadł z gniazda (wiatr silnie kołysał brzożami alei) i siedział nieruchomo, naprzódo rozczapierzając ledwie zarastające skrzydełka.

Mój pies wolno zbliżał się ku niemu, a wtem, zerwawszy się z bliskiego drzewa, stary czarnopiersny wróbel, jak kamień, spadł przed samym jego pyskiem — i cały najeżony, straszny z rozpaczliwym i żalonym piskiem skoczył dwa razy w kierunku zębatej rozwartej paszczy.

Rzucił się ratować, zastonił sobą swoje pisklątko... ale całe jego maleńkie ciało dygotało z trwogi, głosik dziczał i chrypl, wróbel zamierał, poświęcał życie!

Jak wielkim potworem musiał mu się wydać pies! Mimo to wróbel nie mógł usiedzieć na swojej wysokiej, bezpiecznej gałązce... Siła, mocniejsza od jego woli, zrzucała go wdół.

Mój Trezor przystanął, cofnął się... Widocznie i on uznał tę siłę. Pośpieszyłem odwołać zmieszanego psa — i oddaliłem się, pełen pokory.

Tak; nie śmieście się. Korzyłem się przed tym małym bohaterem ptakiem, przed miłosnym jego porywem. Miłość — myślałem — silniejsza jest niż śmierć i groza śmierci. Tylko nią, tylko miłością utrzymuje się i rozwija życie.

Tłum. A. Maryńska.

Podróż morską

Płynąłem na niewielkim parowcu z Hamburga do Londynu. Było nas dwoje pasażerów: ja i drobna małpka, samiczka z gatunku jedwabistych, którą jakiś kupiec hamburski przesyłał w podarunku współnikowi angielskiemu.

Była ona przymocowana cienkim łańcuszkiem do jednej z ławek na pokładzie i szarpała się a piszczała żałosnie, niby ptak. Za każdym razem, gdy przechodził koło niej, wyciągała ku mnie czarną chłodną rączkę — i spoglądała na mnie smutnymi, ludzkimi prawie oczkami. — Brałem ją za rękę — a wtedy przestawała szarpać się i piszczeć.

Panowała niezmacona cisza morską. Dokoła rozpościerało się morze, jakby nieruchome, barwy ołowianej, gładki obrus. Wydawało się ono niewielkie; mgła nad niem leżała — tak gęsta, iż powlekała najwyższe szczyty masztów, a miękkim swym oparem oslepiła wzrok i nużyła. Słońce wisiało w tym oparze, niby mętna plama czerwona; a pod wieczór całe zapalało się i żarzyło czerwienią tajemniczą i przedziwną.

Długie proste faldy, podobne do fald ciężkich tkanin jedwabnych, biegły jedna za drugą od dzioba statku i, wciąż się rozszerzając, marszcząc się i rozszerzając, wygładzały się wkońcu, chygotały się i znikwały. Wzbita piana kłębiła się pod kołami, które tupwały jednostajnie; mleczno-biała i zlekka sycząca, rozplywała się w strugi węzowate, a tam łączyła się, znikając również, przez mgłę pochłonięta.

Bezustanku i podobnie żalosny, jak kwilenie małpki, dźwięczał u steru niewielki dzwonek okrętowy.

Co jakiś czas wynurzała się foka — i, zagnęła skoczywszy na głowę, znikala znów pod ledwie wzruszoną gładziną wodną.

A kapitan, człowiek milczący, o twarzy ogorzalej i mrocznej, pykał krótką fajkę i gniewnie spluwał w toń znieruchomiałą.

Na wszystkie moje pytania odpowiadał krótkim pomrukiem; mimowoli musiałem zwracać się do jedyne go towarzysza podróży — do małpki.

Siadałem obok niej; przestawała piszczeć — i znów ku mnie wyciągała rączki.

Mgła nieruchoma ogarnęła nas oboje wilgocią jakąś usypiającą; i pogrążeni w jednakiem beświałej zadumie, trwaliśmy jedno obok drugiego, niby dwoje krewnych.

Teraz uśmiecham się na to wspomnienie... lecz wówczas inne miałem uczucie.

Wszyscyśmy dziećmi jednej matki — i było mi z tem dobrze, że biedne zwierzątko tak ufnie przycichało i tuliło się do mnie, jak do krewnego.

Uczta u Najwyższej Istoty

Pewnego razu Najwyższa Istota postanowiła wyprawić wielką ucztę w swym pałacu lazurowym.

Wszystkie cnoty zostały zaproszone. Same cnoty... panów nie proszono... same tylko panie.

Zebrano się bardzo wiele cnót — wielkich i małych. Małe cnoty były uprzejmiejsze i miłsze, niż wielkie; ale wszystkie zdawały się zadowolone — i rozmawiały z sobą uprzejmie, jak przystoi bliskim krewnym i znajomym.

Lecz oto Najwyższa Istota zauważyła dwie piękne panie, które najwidoczniej wcale nie znały się z sobą.

Gospodarz wziął za rękę jedną z tych pań i podprowadził ją do drugiej.

— Dobroczynność — powiedział, wskazując na pierwszą.

— Wdzięczność — dodał, wskazując na drugą.

Obie cnoty były niewymownie zdziwione: od czasu, jak świat stał na zrębie — a stał już dawno — one spotkały się po raz pierwszy.

Tłum. Alfred Tom.

«Usłyszysz sąd głupca...» (Puszkina)

«Usłyszysz sąd głupca...» Tyś zawsze prawdę mówił, wielki nasz poeto; powie-
działeś ją i tym razem.

«Sąd głupca i śmiech tłumu...» Kto ich nie doznał?

Wszystko to można i należy znieść; kogo stać na to — niech sobie szydzi!

Są jednak ciosy, sprawiające ból, ciosy, co ranią samo serce... Człowiek uczynił
wszystko, co mógł; pracował bez wytchnienia, z ukochaniem, pracował uczciwie... I oto
uczciwe dusze obelżywie odwracają się od niego; uczciwe twarze płomienieją odrazą na
samo jego imię. «Precz stąd! precz!» — wołają do niego uczciwe młode głosy. «Ani ty sam,
ani twa praca nie jest nam potrzebna, nie znasz nas i nie rozumiesz... Jesteś wrogiem!»

Co wtedy począć ma człowiek? Pracować dalej, nie próbować się usprawiedli-
wić — i nawet nie czekać na sąd sprawiedliwy.

Ongiś rolnicy przeklinali wędrowca, który, zamiast chleba, przyniósł im ziemi-
niaki, codzienne pożywienie ubogich. Wytręcali z wyciągniętych ku nim rąk ten dar
drogocenny, rzucali go w błoto, deptali nogami. Teraz żywią się nim i nawet nie
znają imienia swego dobroczyńcy.

Nic to! Naco im znać jego imię? On, bezimienny, wybawia ich z głodu.

Będziemy tylko baczyli, by to, co przynosimy, istotnie było dobre.

Gorzki jest niezasłużony zarzut z ust ludzi, których kochamy... I to jednak znieść
można...

«Bij mnie, ale wysłuchaj!» — powiedział ateński wódz do spartańskiego.

«Bij mnie — ale bądź zdrowy i syty!» — mamy mówić my.

Tłum. Sydir Twerdochlib.

ALEKSY HR. TOLSTOJ

(1817—1875)

WASILIJ SZYBANOW

(Ballada)

Przed carskim to gniewem książ kurbskij wzdry zbiegł,
Powierny z nim, Waśka Szybanow.

A książ był dorodny. Zdrożony koń legł —

Co począć wśród nocy tumanów?

Lecz rabską swą wierność dla pana wzdry chroni —

I swój wojewodzie podaje on koń:

«Do wrogów obozu jedź, książę,

A nuże ja pieszo nadążę».

Książ pomknął. W litewskim namiocie wraz sam

Wojewoda zbiegły zasiada;

W zdumieniu, z respektem otacza go tam

Litewskich wielmożów gromada.

Od wszech ruski witez odbiera tu cześć,

Acz dziwi Litwinów niedarmo ta wieść;

Męt w głowach wre, jak pod obuchem:

Książ kurbskij nam staje się druhem!

Lecz kniazia nie cieszą oznaki czci; wre

W nim duch od goryczy i męki

I kurbskij carowi wyliczyć tu chce

Znieważonej duszy udręki:

«Co noszę i kryję od mnogich już lat,

Obszernie carowi wypiszę ja rad

I powiem otwarcie, bez maski,

«Bóg zapłać!» — za jego wsze laski!»

I całą noc pisze bojaryn list ów,
 A pióro msty żądzą mu dysze;
 Uśmiecha się, czyta, uśmiecha się znów
 I bez wypoczynku znów pisze,
 I cara dźga słowy ostremi, jak nóż,
 Aż wreszcie, już kiedy rozgorzał blask zórz,
 Pośpiało mu pismo, na radość,
 A jadem ciekące aż zadość.

Lecz zali po dobrej kto woli chęć ma
 Zuchwałę carowi wieść słowa?
 I czyż to serce, co w piersi ni drga?
 Na karku nie miła li głowa?
 I owo zwątpienie na kniazia szło już;
 Wtem w pocie i w pyłe Szybanow wszedł tuż:
 «Przychodzę, by służyć Ci dalej!
 Patrz: nasi dyć mię nie dognali!»

Raduje się książę, że gotów iść rab
 I jeszcze przynagła go srodze:
 «Tyś krzepki na ciełe, ni duchem tyś słab,
 A owo-ć rublami nagrodzę!»
 I księciu Szybanow odpowie wraz tak:
 «Wždy srebra twojego tu będzie Ci brak,
 Twe pismo zaś ja i za męki
 Rad oddam carowi do ręki!»

Miedziany nad Moskwą rozlega się dzwon,
 W pokutnem gźle car go kolebie.
 Czy dawny swój spokój znów k'sobie zwie on?
 Sumienie na zawsze li grzebie?
 I w dzwon grzmi miarowo i często dzień w dzień,
 A naród moskiewski wsluchuje się weń
 I modli się, pełen bojaźni,
 Ażeby dzień zeszedł bez kaźni.

I władcy z teremów wraz odzew dzwon da:
 Książę Wiaziemskij dzwoni z nim luty —
 I wszech opryczników z nim dzwoni wraz éma:
 I Waśka Griaznoj i Maliuta,
 I tuż, dziwną krasą pyszniący się wraz,
 Z dziewiczym uśmiechem, a w duszy zły płaz,
 Polubieniec dzwoni Iwanow,
 Prze Boga odrzucon Basmanow.

Dzwon zmilkł. Na nadzieaku oparty przez gród
 Car kroczy z okolnych orszakem —
 Wtem goniec gna w cwał, rozstępuje się lud:
 Pismo dzierży on nad kołpakiem.
 I z konia piorunem zeskoczył on już,
 Nie błędąc, k'carowi podchodzi i tuż
 Rzecz: «Pismo to oddać chcę ja
 Od kniazia Kurbskiego Andrzeja!»

I w oczach carowych rozgorzał wraz żar:
 «Co znowu złożyńca ów knowa?
 Czytajcie w głos djaki! Czytajcie! — grzmi car —
 To pismo od słowa do słowa.

Tu, gończe zuchwały, daj pismo! — I wbił
 Mu w stopę nadziaka szpic ostry z wszech sił —
 I na głowicy się układłszy,
 Badawczo w źrenice mu patrzy:

«Carowi, co zdawna jest sławion od wszech,
 Acz w złościach okwitych się zgubił —
 Odpowiedz, szaleńcze, prze jaki to grzech,
 Cnolliwie i krzepkie Tyś ubił?
 Odpowiedz! Nie oniż, gdy straszny bój wrzał,
 Warownie Ci mnogie dobyli naschwał?
 Nie z ich że dzielności Twa sława?
 W wierności kto równy im stawa?»

«Azali śmiertelne li widzisz wśród nas,
 Zagrzążłszy w herezji plugawej?
 Zważ przeto! Zapłaty już bliski jest czas
 I każdy odzyszcze plon prawy!
 I w bojach ustawnych przy Tobiem ja stał
 I za Cię, jak wodę, jam krew lał i lał.
 I z Tobą mi iść przed sąd Pana!» —
 — Książ Kurbskij do Cara Iwana.

Rab milczał. Ze stopy przebitej krwi war
 Purpurowym ściekał potokiem,
 A w jasne źrenice Szybanowa car
 Dochodzącem spozierał okiem.
 Bez ruchu stał tłum opryczników. Ział mrok
 Wzrok cara posępny, zagadkowy wzrok,
 Jakoby w boleści tonący —
 I wszyscy czekali milczący.

«I słusznie — car prawi — bojaryn twój rzekł:
 — Nie dla mnie już żywot szczęśliwy!
 Cnolliwych i krzepkich krew broczy mój śnieg:
 Niegodny jam pies i smrodliwy!
 Tyś, gończe, nie rab! Tyś towarzysysz i kum!
 I Kurbskij sług wiernych posiada śnać tłum,
 Skoroć za nie wydał, kamrata!
 — Z Maliutą iść tobie do kata!»

Oprawcy badają i męczą go tam
 Na zmianę, druhowi druh kraczą:
 «Kompanów Kurbskiego wyśpiewaj ty nam,
 Ich zdradę nam wydaj sobaczą!»
 I car dopytuje: «Ow goniec — i cóż?
 Przyjaciół złościny wymienił li już?»
 — «Jego mowa, carze, jedyna:
 Swego sławi on bojaryna!»

Dzień mierzchnie i owo nadchodzi już noc:
 Katowni zaś skrzypią znów wrota,
 I znowu oprawców gromadzi się moc,
 I znów się poczyna robota.
 «Wymienił li goniec złościnców? — I cóż?»
 «Śnać, carze, kres bliski nadchodzi mu już,
 Lecz wždy jego mowa jedyna:
 Swego sławi on bojaryna!»

«O, kniaziu! Ty, któryś zaprzedać mię mógł
 Za tę chwilę msty na zagładę,
 Ja modłę się, kniaziu! I oby Ci Bóg
 Chciał darować Ojczyzny zdradę.
 O, usłysz mię, Boże! w przedśmiertnych mąk czas!
 Mój język niemieje i wzrok mój już zgasł,
 Lecz w sercu mam li miłowanie —
 Moje winy odpuść mi, Panie!

«O, usłysz mię, Boże! w przedśmiertnych mąk czas!
 Mego oczyścić z win bojaryna!
 Mój język niemieje i wzrok mój już zgasł,
 Lecz wzdry moja mowa jedyna:
 Za Cara Groźnego i sławę, i cześć!
 Za naszą Ruś Świętą modlitwę zwól wznieść:
 Śmierć jeno mi daj, Miłosierny!»
 — Tak umarł Szybanow powierny.

Tłum. Władysław Nawrocki.

OCH, ŻEBY TAK WOŁGA-MATKA...

Och, żeby tak Wołga-matka wstecz popłynęła!
 Żeby się tak, bracia, młodość odnowa zaczęła!
 Och, żeby tak zimą kwiaty kwitły dalej!
 Żebyśmy wciąż kochali, a nie przestawali!
 Żeby tak dna morskiego dosięgnąć a zmierzyć!
 Żeby tak można było hożym dziewczkom wierzyć!
 Och, żeby tak wszystkie baby były młódkil!
 Żeby w sztofie mniej wody, a więcej wódkil!
 Żeby tak od picia głowa nie słabiał!
 I żeby tak czynowników pod żebra i do djabła!
 Żeby kieszenie były od złota za ciasne!
 I żeby nam, bracia, kaftany mieć własne!
 Żeby tak głodny codzieln przy obiedzie siedział!
 A nasz car-baliuszka całą prawdę wiedział.

Tłum. Julian Tuwim.

ATANAZY FET (SZENSZIN)

(1820—1892)

[DZIŚ PRZYSZEDŁEM CI POWIEDZIEĆ...]

Dziś przyszedłem ci powiedzieć,
 Że już jasne słońce wstało,
 Że gorącym, mocnym światłem
 Już po liściach się rozlało,

Że już zbudził się las szumny
 Każdym listkiem i konarem,
 Każdym ptakiem i gałązką
 I wiosennym dyszy żarem.

Dziś przyszedłem ci powiedzieć,
 To, co dawno już mnie wzrusza,
 Że jedynie tylko tobie
 Służy cała moja dusza,

Że świat cały dzisiaj w słońcu
 Świeci mocno i radośnie
 I że nie wiem, co zaśpiewam,
 Ale wiem, że pieśń wyrośnie.

Tłum. Włodzimierz Słobodnik.

[JAK UBOGI NASZ JĘZYK...]

Jak ubogi nasz język: pragnę — gdybym mógł!...
 Nie pojmie tego nigdy przyjaciel ni wróg,
 Co rozszalało w piersiach falą niewidzialną:

Darmo w udręce wiecznej kipi serca toń! —
Oto pochyla mędrzec swą dostojną skroń
Przed fałszu tego potęgą fatalną.

Lecz u ciebie, poeto, słów skrzydlaty splot
Chwyta niespodziewanie i utrwala wlot
I dusz marzenia ciemne, i traw nikły zapach.
Tak dla bezkresu orzeł, Jowiszowy ptak,
Rzuca padół i leci w podobłoczny szlak,
Snop błyskawic przelotny niosąc w wiernych łapach.

Tłum. Mieczysław Giergielewicz.

MIKOŁAJ NIEKRASOW

(1821—1877)

Z «KOLEI ŻELAZNEJ»

Jaś (*w futerku*):
Proszę tatki, kto wybudował tę koleję?
Tatko (*w paltocie z czerwoną podszewką*):
Inżynierowie, moje dziecko!
Dialog w wagonie.

I.

Śliczna jesień! Wietrzyk dmucha
Zimny, ale świeży,
Plecom ciepło bez kożucha,
Śnieg jak cukier leży;

Nowe liście nim urosną,
Z dawnych jest posłanie,
Można w lesie spać pod sosną,
Niby na dywanie.

Śliczna jesień! W nocy mróz,
W dzień cisza, pogoda...
W blaskach: pola, kępy brzoź
I cała przyroda...

Księżyc włożył czapkę ryżą,
Mizdrzy się do ziemi —
Ja po relsach pędzę chyżo
Z myślami mojemu...

II.

Dobry tato! poco dziecku
Rozповідаć baśnie?
Pozwól, ja mu w krótkiej chwili
Całą rzecz wyjaśnię:

Te nasypy, widzisz, Jasiu,
Robił mnogi lud;
A straszego miał on wodza,
Który zwał się: Głód.

Wódz ten sprawił, że mu życie
Stało się niemiłe,
Więc z niem walczył — i to miejsce
Wybrał na mogiłę.

Hej! po relsach, po żelaznych
Pędzimy najprościej...
A wiesz, Jasiu, co pod nami?
Cmentarz ludzkich kości!

Słyszysz w mroku rzewne jęki?
Słyszysz wichru szum?
Za szybami coś się miga...
To upiórów tłum.

I przed nami, i za nami
Lecą, pędzą w cwał,
I śpiewają: «Jakże piękny
Z kości naszych wał!

Myśmy długo się porali
Z głodem i chorobą.
Deszcz nas moczył, mróz odrętwiał,
Czart wodził za sobą;

Knutem budził nas dziesiętnik,
Zanim błysła zorza,
Bito nas i okradano —
Taka wola Boża!

Zato dzisiaj dobre słowo
Rzuć nam, siostrze, bracie!
Wszak wy pracy naszej krwawej
Owoc pożywacie!...»

Czumu Jasio tej piosenki
Tak bardzo się boi?
Spójrzyj, dziecię, ci nędzarze —
To rodacy twoi!

Próżno skrywać rękawiczką
Przestraszone oczy,
Oto stoi chłop przy drodze,
Wzrokiem wkoło toczy...

Chłop pleczysty, ale blady,
Twarz ma wpadłą, dziką,
Obie nogi ma spuchnięte,
Włos skręcony pliką.

Zamiast piersi — wklęsła jama,
W niej pusto, jak w grobie...
Ucz się, Jasiu: ten chłop pracą
Chleb zdobywał sobie!

A do trudów tak nawyknął,
Że zgięty ku ziemi,
I dziś kopie zmarzłą grudę
Rękami drżącemi.

Ucz się, Jasiu: wszelka praca
Ród swój wie dzie z nieba,
Więc i krwawe trudy chłopca
Uszanować trzeba!

Kto wie zresztą, co Bóg chowa
Dla tych synów siola!...
Lud, co pracę umiłował,
Wszystkiemu podola;

Może kiedyś, kraj wspierając,
Stanie w pierwszym rządzie...
Szkoda tylko, że już wówczas
Obu nas nie będzie!

Tłum. Wiktor Gomulicki.

TEODOR DOSTOJEWSKI

(1821—1881)

SKRZYWDZENI I PONIŻENI

(wyjątek)

Lecz on już trzymał ją w objęciach.

Pochwycił ją i, wzięwszy jak dziecko na ręce, zaniósł na swój fotel, posadził ją i upadł przed nią na kolana. Całował jej ręce, nogi: śpiesznie całował ją, chciał jak najprędzej się na nią napatrzeć, jakgdyby jeszcze niedowierzając, że jest znów z nim razem, że ją znowu widzi i słyszy — ją, córkę, swą Nacię. Anna Andrejewna, łkając, objęła ją, przycisnęła jej głowę do piersi i zamarła w tem objęciu, nie będąc w stanie wymówić słowa.

— Moja droga!... Moje życie... radość moja... wykrzykiwał starzec bez związku, chwyciwszy ręce Naci i jak zakochany patrząc na jej błądą, chudziutką, lecz prześliczną twarzyczkę, w jej oczy, w których błyszczały łzy. — Moja radość, moje dziecię! — powtarzał, znów umilkł i w kornem upojeniu patrzył na nią. — Cóż, co mi tam powiedziano, że schudła! — powiedział z pośpiesznym, jakby dziecinnym uśmiechem, zwracając się do nas, i ciągle jeszcze na klęczkach. — Chudziutka, to prawda, bładziuchna, ale popatrz na nią, jaka ładniutka! Jeszcze ładniejsza niż dawniej, ładniejsza naprawdę, dodał, milknąc mimowoli na skutek jakiegoś bólu, bólu radosnego, który duszę jakgdyby łamie napół.

— Wstań, tatusiu! Proszę wstać, mówiła Nacia — przecież ja też chcę ciebie pocałować.

— Najdroższa! Słyszysz, słyszysz, Anusiu, jak ona to ładnie powiedziała, i uściśnęła ją kurczowo. — Nie, Naci, ja, ja powinienem leżeć u twoich nóg póty, póki serce me nie poczuje, żeś mi przebaczyła, dlatego, że nigdy, nigdy nie będę mógł teraz zasłużyć na twoje przebaczenie! Odrąciłem cię, przeklinałem cię, słyszysz, Naci, tak, przeklinałem, ja mogłem to robić!... A ty, a ty, Naci, czy mogłaś wierzyć, że ja cię przekląłem! Uwierzyłaś — prawda, uwierzyłaś? Nie trzeba było wierzyć. Poprostu nie trzeba było wierzyć. Okrutne serduszko! Dlaczegoś nie przyszła do mnie? Przecież wiedziałaś, jak cię przyjmę! O, Naci, pamiętasz przecież, jak cię dawniej kochałem, no, a teraz i przez ten cały czas ja cię dwa razy, tysiąc razy więcej kochałem niż dawniej! Kochałem cię z całego serca! Wydobyłbym z siebie duszę razem z krwią, rozprułem własne serce i u stóp twych położył!... O, moja radości!

— Ależ pocałuj mnie, ojczu, okrutny człowieku, w twarz, w usta, jak mama całuje! — wykrzyknęła Nacia chorym, osłabionym, pełnym radosnych łez głosem.

— W oczęta również! I w oczęta! Pamiętaj, jak dawniej? — powtórzył starzec po długim, słodkim uścisku z córką. — O, Naci! Czy ci się śniło kiedy o nas? A tyś mi się śniła prawie co noc i co noc do mnie przychodziłaś, a ja płakałem nad tobą, raz przyszałaś jako malutka, pamiętasz, kiedy miałaś dziesięć lat i dopiero co zaczęłaś się uczyć grać na fortepianie — przyszałaś w króciutkiej sukience, ładniutkich trzewieczkach, z czerwonymi rączkami... miała wtedy ręce takie czerwoniutkie, pamiętasz, Anusiu? Przyszałaś do mnie, siadłaś na kolana i objęłaś mnie... Jesteś niedobra, niedobra dziewczynka! I ty mogłaś myśleć, że cię przekląłem, że cię nie przyjmę, gdy przyjdiesz!... Przecież ja, słuchaj, słuchaj, Naci, chodziłem często do ciebie, matka nie wiedziała, nikt nie wiedział: to stoję pod twojimi oknami, to znów czekam, nieraz pół dnia czekałem przed twoją bramą, czy nie wyjdiesz, żeby choć zdaleka na ciebie popatrzeć! Wieczorami u ciebie często paliła się świeca; ileż razy, Naci, chodziłem do ciebie wieczorem, by chociaż świecę twoją w oknie zobaczyć, ujrzeć chociaż twój cień, pobłogosławić cię na noc. A ty, czyś mnie na noc błogosławiła? Czy twoje serduszko słyszało, że jestem tu pod oknem? O, ileż razy w zimie wejść na twoje schody nocą i stoję w ciemnej sieni, słucham, czy przez drzwi nie usłyszę twego głosiku? Czy się nie roześmiesz? Przekląłem? Przecież ja tego wieczora do ciebie szedłem, chciałem ci przebaczyć, tylko wróciłem od samych drzwi... O, Naci!

Wstał, uniósł ją z fotelu i mocno, mocno przycisnął do serca.

— Ona znów tutaj, przy mem sercu! — zawołał — o, dzięki ci, Boże, za wszystko, i za Twój gniew, i za Twą łaskę!... I za słońce Twe, które zajaśniało teraz po tej burzy nad nami. Dziękuję Ci za tę chwilę! O, bądźmyż poniżeni, bądźmyż skrzywdzeni, lecz jesteśmy znowu razem i niech teraz triumfują ci dumni i pyszni, którzy nas skrzywdzili i poniżyli... Niech oni rzucą w nas kamieniem. Nie bój się, Naci! Pójdziemy razem, ręka w rękę, i ja im powiem: to jest moja droga, moja ukochana córka, to moja niewinna córka, którą wyście skrzywdzili i poniżyli, lecz którą ja kocham, którą błogosławię na wieki wieków!...

— Janku, Janku!... powiedziała Nacia słabym głosem, wyciągając do mnie rękę z objęć ojca.

O, nie zapomnę tego nigdy, że w tej chwili przypomniła sobie o mnie i że mnie przywołała.

— A gdzie Nelly? — zapytał starzec, oglądając się.

— Ach, gdzie ona? — zawołała staruszka — kochanie moje. Opuściliśmy ją tak nagle.

Lecz w pokoju jej nie było. Nieznacznie prześlizgnęła się do sypialni. Wszyscyśmy tam poszli. Nelly stała w kącie za drzwiami i trwożnie przed nami się chowała.

— Nelly, co się z tobą dzieje, moje dziecko! — wykrzyknął starzec, chcąc ją wziąć w objęcia. Lecz ona jakoś dziwnie popatrzyła na niego...

— Mamusia, gdzie mamusia? — powiedziała nieprzytomnie — gdzie moja mamusia? — krzyknęła raz jeszcze, wyciągając ku nam swe drżące ręce, i nagle straszny, przerażający krzyk wydobył się z jej piersi, dreszcz przebiegł po jej twarzy i upadła na podłogę w strasznym ataku...

Tłum. Władysław Broniewski.

IDIOTA

(wyjętek)

— ...W Petersburgu o sądownictwie teraz dużo mówią.

— Hm... Sądy! Sądy, to tam prawda, że sądy. A co, jak tam, sprawiedliwiej w sądach, czy nie?

— Nie wiem. O naszych dużo dobrego słyszałem. U nas znów kara śmierci zniesiona.

— A tam jest?

— Jest. We Francji widziałem, w Lyonie. Schneider mnie tam z sobą wziął.

— Wieszają?

— Nie, we Francji zawsze głowy ścinają.

— I co, krzyczą?

— Gdzie! Jedna chwila. Człowieka kładą, i spada taki szeroki nóż z maszyny gilotyna się nazywa, ciężko, silnie... Głowa odskoczy, tak że i okiem nie zdążysz mrugnąć. Przygotowania ciężkie. Kiedy czytają wyrok, przebierają, wiążą, na szafot wprowadzają, to właśnie straszne! Narodu się zbiegnie, kobiety też, choć tam nie lubią, żeby kobiety patrzyły.

— Nie ich rzecz.

— Pewnie! Pewnie! Taką mękę... Przestępca był to człowiek rozumny, silny, dojrzały, Legro się nazywał. No i mówię wam, wierzcie nie wierzcie, na szafot wchodził — płakał, biały, jak papier. Czy tak wolno? Czy nie straszne? Któż ze strachu płacze? Nie przyszło mi na myśl, żeby ze strachu mógł płakać, jak dziecko, człowiek, który nigdy nie płakał, człowiek czterdziestopięcioletni. Cóż się z duszą w takiej chwili dzieje, do jakich konwulsyj ją doprowadzają? Gwałt nad duszą, nic więcej! Powiedziano: «nie zabijaj», a dlaczego za to, że on zabił, i jego zabijają? Nie, tak nie wolno. Przecież już miesiąc minął, jak to widziałem, a dotąd stoi mi przed oczyma. Pięć razy się śniło.

Książ się ożywił, mówiąc, lekki rumieniec wystąpił na jego bladą twarz, chociaż głos był cichy, jak poprzednio. Kamerdyner z przyjaznym zainteresowaniem śledził za nim, tak jakgdyby oderwać się nie chciał, być może był też człowiekiem z wyobraźnią i chciwy myśli.

— Dobrze jeszcze, że męki niewiele — zauważył — jak głowa odpada.

— Wiecie co? — gorąco podchwycił książ — wy tak myślicie i wszyscy tak samo myślą, jak wy, i maszyna dlatego zbudowana, gilotyna. A mnie zaraz przyszła do głowy jedna myśl: a co, jeżeli to jeszcze gorzej? Dla was to śmieszne, wam się to dzikie wydaje, a przy pewnej wyobraźni taka myśl przychodzi do głowy. Pomyślcie: jeżeli, na przykład, tortury; przytem cierpienie i rany, męka cielesna i tym sposobem wszystko to od duchowego cierpienia odrywa, tak że tylko ranami się męczysz, póki nie umrzesz. A przecież główne, najsilniejsze cierpienie może nie w ranach, a w tem, że to wiesz z pewnością, że za godzinę, potem za dziesięć minut, potem za pół minuty, potem zaraz, już — dusza z ciała uleci i że człowiekiem już dłużej nie będziesz, i że to już bezwątpienia; główne to, że bezwątpienia. I kiedy głowę kładziesz pod sam nóż i słyszysz, jak on się zsuwa nad głową, wtedy ta jedna czwarta sekundy najstraszniejsza ze wszystkiego. Wiecie wy, że to nie moja fantazja, a że tak wielu mówiło? Ja do tego stopnia w to wierzę, że otwarcie wam powiem moje zdanie: zabijać za zabójstwo, to bezporównania większa wina, niż samo przestępstwo. Zabójstwo podług wyroku wstrętniejsze, niż zabójstwo rozbójnicze. Ten, kogo mordują rozbójnicy, zakłuwają nocą, w lesie, czy gdzie bądź, z pewnością jeszcze się spodziewa ratunku do ostatniej chwili. Przykłady bywały, że już gardło podezrnięte, a człowiek jeszcze ma nadzieję uciec albo się wyprosić. A tam całą tę ostatnią nadzieję, z którą umierać dziesięć razy łżej, odbierają całkowicie; tam wyrok i w tem, że z pewnością nie ujdiesz, cała najstraszliwsza męka się mieści i większej od niej niema na świecie. Sprowadźcie i postawcie żołnierza nawprost armaty w czasie bitwy i strzelajcie do niego, a jeszcze ciągle będzie miał nadzieję; a przeczytajcie temu samemu żołnierzowi wyrok pewny, a rozum straci albo zapłacze. Kto powiedział, że ludzka natura może to znieść bez obłąkania? Poco taka przemoc bezużyteczna, nadaremna? Być może, że jest taki człowiek, któremu przeczytali wyrok, kazali się pomęczyć, a potem powiedzieli: «idź — ulaskawiono cię». O takiej męce i o takiej trwodze i Chrystus mówił. Nie, z człowiekiem tak nie wolno postępować!

Tłum. A. Maryńska.

MICHAŁ SAŁTYKOW (N. SZCZEDRIN)

(1826—1889)

BIEDNY WILK

(Wyjątek)

...Powiadają, że wilk chłopą krzywdzi, ale przecie i chłop, jak się rozzłości, bywa bardzo srogi! Dębczakiem wilka bije, ze strzelby do niego pali, wilcze doły rozkopuje,

żelaza na niego zastawia i urządzi obławy. «Morderca! Rozbójnik!» — słycać tylko po wsiach o wilku — «ostatnią krowinę zadusił! Ostatnią owcę porwał!» A cóż on temu winien, że nie może inaczej wyżyć na świecie?

Zabijesz go, to i tak żadnej korzyści z niego nie masz. Mięso nieprzydatne, skóra twarda — nie grzeje. Tyle tylko pociechy, że się nad nim, przeklętym, napomstujesz i żywcem go na widłach wgórze podniesiesz: niech, gadzina, kropla po kropli posokę traci i zdechnie!

Nie może wilk, nie pozabawiając żywota, wyżyć na świecie — ot, w czem jego nieszczęście! A on przecie tego nie rozumie. Nazywają go złoczyńcą, to i on nazywa złoczyńcami tych, co go ścigają, kaleczą, zabijają. Pojął kiedy, że swoim życiem innym życiom szkodzi? Wie, że żyje — i na tem koniec. Koń — wozi ciężary, krowa — mleko daje, owca — wełnę, a on — trudni się rozbojem, morduje. Koń, krowa, owca i wilk — wszystkie żyją, każde po swojemu! Znalazł się raz śród wilków jeden, co przez długie lata zabijał i rozbijał, a nagle na starość zaczął myśleć, że z jego życiem coś niedobrze. Żył ten wilk zamlodu bardzo hucznie i był jednym z tych niewielu drapiezców, któremu głód prawie nigdy nie dokuczał. Rozbijał we dnie i w nocy, a wszystko mu uchodziło bezkarnie. Pastuchom porywał barany z przed nosa; zakradał się na podwórka po wsiach; krowy dusił; raz nawet gajowego na śmierć zagryzł; chłopaka małego, w oczach wszystkich, z drogi do lasu zaniósł. Słyszał wilk, że go wszyscy za to nienawidzą i przeklinają, i był coraz okrutniejszy.

— Niechby posłuchali, co się w lesie dzieje — mówił — minuta nie przejdzie, żeby jakie zwierzę nie skrzeczało, rozstając się z życiem, czy podobna baczyć na to?

W ten sposób, wśród rozbojów, dożył on takiego wieku, w którym wilk zwie się już «gnuśnym». Ocieężał trochę, ale rozboju się nie wyrzekł, przeciwnie — stał się może nawet okrutniejszy. Aż tu, niespodzianie jakoś, dostał się w łapy niedźwiedzia. Niedźwiedzie wilków nie lubią, bo i na nie wilki gromadnie napadają; często chodzą po lesie wieści, że tam a tam Michajło Iwanycz¹ się nie dopilnował: szare wrogi podarły mu futro na strzępy.

Trzyma tedy niedźwiedź wilka w łapach i myśli: «Cóż ja mam z nim, łajdakiem, począć? Jakbym go zjadł — dusza moja go nie zniesie i odrzuci; uduszę go i tak zostawię — to cały las padliną zakazi. Ano, zobaczą: może on też ma sumienie...

— Wilku, hej, wilku! — mówi Toptygin¹ — czy podobna, żebyś ty nie miał sumienia?

— Ach, co też wasza stateczność mówi! — odpowiada wilk. Można to przeżyć na świecie choć jeden dzień bez sumienia!

— Widać można, kiedy ty żyjesz. Zastanów się: codzień przecie tylko takie wieści o tobie chodzą, żeś albo z kogo skórę zdarł, albo kogo zarznął — gdzie tu sumienie?

— Wasza stateczność! Pozwól sobie przedstawić! Mam ja jeść i pić, żywić moją wilczycę i chować wilczęta? Jakąż rezolucję wydać raczysz?

Pomyślał — pomyślał Michajło Iwanycz — zrozumiał: skoro wilkowi przeznaczono żyć na świecie, ma prawo się żywić.

— Tak jest — powiada.

— A ja, prócz mięsnych pokarmów — ani rusz! Ot, choćby waszą stateczność wziąć za przykład: malinki ci smakują, miodku sobie od pszczoł pożyczysz, owsa poemokasz, a dla mnie to wszystko nie istnieje! Ma też wasza stateczność prócz tego jeszcze jedną ulgę; w zimie, jak się ułożysz w barłogu, nic ci, prócz własnej łapy, nie trzeba. Dla mnie w zimie i w lecie niema chwili bez myśli o pożywieniu! I wciąż o mięsku! A w jaki sposób zdobędę to pożywienie, jak nie zarznę i nie uduszę?

Zadumał się niedźwiedź nad temi wilczemi słowami, ale jeszcze chciał poprobować.

— Ale mógłbyś — powiada — trochę delikatniej jakoś...

— Ja, wasza stateczność, o ile mogę, staram się delikatnie. Lis — ten się znęca;

¹ Michajło Iwanycz i Toptygin — ludowe przezwiska niedźwiedzia.

szarpnie raz — i odskoczy, znowu skubnie — i znowu odskoczy... Ja tam odrazu za gardło łapię — i kwita!

— Najnieszczęśliwszy z ciebie zwierz — ot, co ci powiem! — przemówił niedźwiedź do wilka. — Nie mogę ja cię sądzić, choć wiem, że wielki grzech na duszę biorę, wracając ci wolność. Jedno dodać mogę: na twojem miejscu nie tylko życia-bym nie cenił, lecz uważałbym śmierć dla siebie za dobrodziejstwo! Rozważ moje słowa.

I puścił wilka na cztery wiatry.

Tłum. G. W.

LEW HR. TOŁSTOJ

(1828—1910)

KOZACY — OPOWIEŚĆ KAUKASKA

(Wyjątek)

Piszą do mnie z Rosji listy z wyrazami współczucia, gdyż, zdaniem moich moskiewskich znajomych, ginę na tem pustkowiu. Mówią o mnie: on tam schamieje, rozpije się i ostatecznie ożeni się z kozaczką. Nie napróżno mawiał Jermołow: kto służy dziesięć lat na Kaukazie, ten albo rozpije się, albo ożeni się z rozpustną kobietą. Okropność! Istotnie trzeba się mieć na baczności, abym nie zgubił się, kiedy mogło mi przypaść w udziale wielkie szczęście w ożenku z hrabiną W. i mogłem zostać kamerherem lub przewodniczącym szlachty. Jacy jesteście wszyscy wstrętni i godni litości! Nie wiecie, co to szczęście i co to życie! Trzeba raz doświadczyć życia w całym jego prostym pięknie. Trzeba widzieć i rozumieć, że codziennie widzę wiecznie niedostępne śniegi górskie i majestatyczną kobietę w jej pierwotnym pięknie, w blasku którego przyszła na świat z rąk Stwórcy pierwsza kobieta. Wtedy dopiero zrozumiecie, kto ginie, a kto żyje naprawdę — ja czy wy. Gdybyście wiedzieli, jakim wstrętem przejmują mnie wasze pokusy! Zaledwie tylko wyobrażę sobie, zamiast mej chaty, mojego lasu i mej miłości, wasze salony, wasze kobiety z upomadowanymi włosami, te nienaturalnie poruszające się usteczka, te ukryte i zniekształcone słabe ciała — natychmiast ogarnia mnie wstręt. Wyobrażam sobie te tępe twarze, te bogate narzeczzone z wyrazem twarzy, mówiącym: «Chociaż jestem bogatą narzeczoną, jednak możesz podejść!» to wieczne stręczenie par i te wieczne plotki i kłamstwa; te kanony — temu rękę, temu ukłon i t. d., i wreszcie tę wieczną nudę, krążącą we krwi i przechodzącą z pokolenia na pokolenie. Zrozumcie jedno i uwierzcie w jedno: trzeba widzieć i rozumieć, co to prawda i piękno, wtedy wszystkie wasze pseudoprawdy rozlecają się w proch. Szczęście — to obcować z naturą, widzieć ją i mówić z nią. «Broni Boże, ożeni się jeszcze ze zwyczajną kozaczką i zginie zupełnie dla świata», tak na pewno mówią o mnie ze szczerem politowaniem moi znajomi. Ja zaś tylko jednego pragnę: zginąć zupełnie, według waszych pojęć, i ożenić się ze zwyczajną kozaczką, lecz nie śmiem tego uczynić, gdyż byłoby to dla mnie szczytem szczęścia, na które nie zasłużyłem.

Tłum. Włodzimierz Słobodnik.

WOJNA I POKÓJ

(Wyjątki)

Pierre wysiadł z powozu i, idąc mimo pracujących zaciężnych, wszedł na kurhan, z którego widać było pole bitwy.

Była godzina 11 rano. Słońce stało na niebie cokolwiek w lewo i z tyłu jaskrawo oświecało przez czyste, przeźrocze powietrze ogromny, amfiteatralnie wznoszący się teren odkrywającej się przed nim panoramy.

Wgórze i na lewo tego amfiteatru, rozcinając go, wita się duża Smoleńska

droga, prowadząc przez wioskę z białą cerkwią, leżącą o 500 kroków przed kurhanem, u jego podnóża (było to Borodino).

Droga przechodziła za wsią przez most, przez doliny i wzgórza, wijąc się coraz wyżej i wyżej ku widniejącej w odległości sześciu wiorst osadzie Wałujewo (stał w niej teraz Napoleon). Za Wałujewem kryła się droga w żółknącym lesie na linii horyzontu. W lesie tym, brzoźowo-świerkowym, w prawo od kierunku drogi błyszczał w słońcu daleki krzyż i dzwonnica Kołockiego monasteru. Po tej całej sinej dali, w prawo i w lewo od lasu i drogi, w różnych miejscach widniały dymiące ogniska i niezliczone gromady wojsk naszych i nieprzyjacielskich. Na prawo wzdłuż biegu rzeki Kaloczy i Moskwy teren był pełen rozpadlin i wzgórz. Między wąwozami, wdali, widniały wsie Bezubowo, Zacharewo. Na lewo miejscowość była równiejsza, leżały pola żytne i widniała dymiąca, spalona wioska — Siemieniowskaja.

Wszystko, co widział Pierre, było tak nieokreślone, że ani lewa, ani prawa strona pola nie wyrażała wcale jego przeznaczenia. Wszędzie widniało nie pole bitwy, które spodziewał się ujrzeć, lecz niwy, polany, wojska, lasy, dymy ognisk, wsie, kurhany, potoki; i jakkolwiek wypatrywał Pierre, na tej żywej przestrzeni nie mógł odnaleźć pozycyj i nie mógł odróżnić naszych wojsk od nieprzyjacielskich.

— To oni! Niosą, idą... Matka Boża... Już nadchodzą... rozległy się nagle głosy, i oficerowie, żołnierze i zaciężni pobiegli przed siebie drogą.

Z pod góry, od Borodina, wspinała się procesja.

Na czele, po zapyłonej drodze, szeregiem szła piechota bez hełmów i z karabinami, opuszczonemi wdół. Za piechotą słychać było cerkiewne pieśni.

Wyprzedzając Pierra, bez czapek biegli naprzeciw idących żołnierze i zaciężni.

— Matkę Bożą niosą! Obronicielkę... Iwerska!...

— Smoleńska — poprawił drugi.

Zaciężni i ci, którzy byli we wsi, i ci, którzy pracowali przy baterji, rzuciwszy łopaty, pobiegli na spotkanie procesji.

Za bataljonem, idącym po białej drodze, szli w ornatach kapłani: jeden starszek w kapłurze z duchowieństwem i śpiewakami. Za nimi żołnierze i oficerowie niesli dużą, o ciemnym licu, strojną ikonę. Była to ikona, wywieziona ze Smoleńska i odtąd wożona za armją. Za ikoną, wkoło niej, przed nią, ze wszystkich stron szły, biegly i były pokłony obnażonemi głowami tłumy wojska.

Wszedłszy na górę, procesja się zatrzymała. Ludzie, niosący ikonę na drewnianej podstawie, zmienili się, diaczki rozpały na nowo kadzidła i zaczęła się litanja. Gorące promienie słońca padały pionowo z góry; słaby świeży wiaterek igrał włosami odkrytych głów i wstęgami, zdobiącemi ikonę, śpiew niezbyt głośno rozlegał się pod odkrytym niebem.

Za popem i diaczkiem na wolnym miejscu stali dowódcy. Jeden łysy generał z orderem Jerzego na szyi stał tuż za plecami popa i, nie żegnając się (oczywiście Niemiec), cierpliwie czekał końca nabożeństwa, które uważał za stosowne wysłuchać, prawdopodobnie dla rozbudzenia patryjotyzmu rosyjskiego narodu. Drugi generał stał w wojskowej pozycji i potrząsał ręką na piersiach, rozglądając się wokoło siebie. W tym oficerskim kole Pierre, stojący w tłumie chłopów, poznał niektórych znajomych, lecz nie patrzył na nich: cała jego uwaga była pochłonięta surowym wyrazem twarzy żołnierzy i pospolitaków, jednakowo gorąco wpatrzonych w ikonę. Jak tylko zmęczone diaczki zaczynały leniwo i przewlekłe śpiewać: «Chroń od nieszczęść niewolników twych, Bogarodzico», a pop i diakon podchwytywali: «jako wszyscy po Bogu ku Tobie przybiegamy, jako ku ścianie niezłomnej i Orędowniczce», na wszystkich twarzach występował wyraz poznania nadchodzących uroczystych chwil.

Nad Kaloczą, w Borodynie i po obu jego stronach, a głównie z lewej, tam, gdzie o błotnistych brzegach Wojna wpada do Kaloczy, stała mgła, która, rzednąc, rozplywa się i prześwieca przy wschodzie jarzącego słońca, cudownie malując i zacierając wszystko, widniejące skrós niej. Z tą mgłą łączył się dym wystrzałów, przez mgłę i dym wszędzie lśniły błyski rannego słońca, to po wodzie, to po rosie, to po bagnie-

tach wojsk, gromadzących się wzdłuż brzegów i w Borodinie. Przez mgłę widniała biała cerkiew, tu i tam dachy Borodina, gdzie niegdzie zbite masy żołnierstwa, a jeszcze dalej zielone wozy amunicyjne, armaty. A wszystko to poruszało się czy zdawało się poruszać wskutek tego, że mgła i dym rozciągały się nad całą tą przestrzenią. Jak tam, na nizinie około Borodina, pokrytej mgłą, tak i poza nią, wyżej, a zwłaszcza zlewa po całej linii, po lasach, po polach, w dolinach, na szczytach wzniesień, rozdziły się bezustannie same z siebie, z niczego, to pojedyncze, to gromadne, to rzadkie, to częste kłęby dymów, które, rozszerzając się, rozrastając, kłębiąc, łącząc, widniały na całym terenie.

Te dymy wystrzałów i, dziwnie to mówić, dźwięki ich stanowiły główne piękno widoku.

«Puff!» — nagle ukazywał się okrągły, gęsty, lyskający liljowym, szarym i mleczno-białym kolorem dym i «bumm!» — rozlegał się po sekundzie głos tego dymu.

«Puf-puf» — wzniosły się dwa dymy, potrącając się i łącząc, i «bum-bum» — potwierdziły dźwięki to, na co patrzyły oczy.

Pierre spojrzął na pierwszy dym, który pamiętał jako okrągłą — ścisłą piłkę, i już na jego miejscu ujrzał dymy kuliste, rozciągające się w strony; puf... (z przestankiem) puf-puf, powstały jeszcze trzy, jeszcze cztery, i każdemu z temiż przestankami: bum... bum-bum — odpowiadały piękne, twarde, wierne dźwięki. Zdawało się, to — że dymy te biegną, to — że stoją, a mimo nich biegną pola, lasy i lśniące bagnety. Z lewej strony z pól i krzewów bezustannie wybuchały te wielkie dymy ze swemi zwycięskimi dźwiękami, a bliżej jeszcze z nizin i lasów wyskakiwały maleńkie, nie zdążające zaokrąglić się dymki karabinów i tak samo szły za nimi słabe oddźwięki. Trach-ta-tach trzaskały karabiny, choć często, jednak nierówno i biednie w porównaniu z armatnimi strzałami.

Pierre zapragnął być tam, gdzie były te dymy, te lyskające bagnety, ten ruch, te dźwięki. Spojrzął na Kutuzowa i jego świtę, chcąc porównać swoje wrażenia z innymi. Na wszystkich twarzach świeciło to skryte ciepło uczucia.

— Jedź, mój drogi, niech cię Bóg strzeże! — mówił Kutuzow, nie odrywając oczu od pola bitwy, stojącemu obok niego generałowi.

Wysłuchawszy rozkazu, generał ten przeszedł mimo Pierra ku zejściu z kurhanu.

— Do przeprawy! — chłodno i surowo wyrzekł w odpowiedzi na pytanie jednego z oficerów sztabu, dokąd jedzie.

«I ja, i ja» — pomyślał Pierre i poszedł w kierunku, obranym przez generała. Generał wsiadł na konia, którego podał mu kozak.

Pierre podszedł do swego berajtera, trzymającego konie. Zapytawszy, który spokojny, wlaź na siodło, chwytając się grzywy, przycisnął ostrogi wykrzywionych nóg do brzucha konia i, czując, że binokle mu spadają i że nie ma sił odjąć rąk od grzywy i lejc, pogalopował za generałem, pobudzając do uśmiechów sztab, spoglądający za nim z kurhanu.

Tłum. A. Maryńska.

Z «WIATRONOGIEGO»

...Ranek był jasny i cichy. Tabun poszedł na paszę, a Wiatronogi pozostał w stajni. Wkrótce zjawił się jakiś dziwny człowiek, chudy, czarny, brudny, w zbrzydzanym krwią kaftanie. Był to hycel. Ujął kantar i wyprowadził srokacza. Wałach szedł spokojnie, bez oporu, jak zwykle, włócząc po słomie nogami. Za wrotami zawrócił w kierunku stadniny, ale hycel szarpnął uzdę, wrzeszcząc: — Nie trzeba!

Hycel wraz z Wasylem, który szedł z tyłu, skierowali się do dolinki, znajdującej się za szopą z cegłą, jakby owo miejsce posiadało jakąś szczególną własność. Zatrzymali się nagle.

Hycel oddał Wasylowi uzdę, zdjął kaftan i, zawinawszy rękawy, wydobyl z za cholewy nóż i osetkę.

Wałach próbował dla zabicia czasu uszczypnąć trochę trawy, ale była za daleko — westchnął więc i zmrużył oczy. Po chwili obwisła mu dolna warga, ukazując

spiłowane żółte zęby; wałach zaczął zasypiać przy dźwiękach ostrzonego noża — tylko mu chora noga drgała odruchowo.

Raptem poczuł, że go biorą za szczękę i podnoszą mu głowę do góry. Otworzył oczy i ujrzał przed sobą dwa psy. Jeden weszyl w kierunku hycła, drugi siedział i wpatrywał się w wałacha, jakby czegoś oczekiwał od niego właśnie; srokacz popatrzał na nich i zaczął trzeć szczękę o trzymające go ręce.

— Pewno chcą mnie leczyć — pomyślał — a niech leczą; i rzeczywiście poczuł, że mu coś robią z gardłem. Uczuł ból. Drgnął, ruszył nogą, ale się pohamował, czekając, co będzie dalej...

Potem poczuł, że ciepła ciecz polala się szeroką strugą po szyi i piersiach. Wałach westchnął obydwoma bokami i poczuł znaczną ulgę; zrobiło mu się lżej o cały ciężar życia. Zamknął oczy, opuścił głowę, nikt go nie trzymał. Zadrżały pod nim nogi, zaczął się chwiać całym ciałem. Nietyle się przeraził, ile zdziwił. Wszystko wydawało mu się tak nowe i niezwykle, rzucił się naprzód, w górę. Ale zamiast skoku, splątały mu się nogi i upadł na kolana, a później zwałił się na lewy bok. Hycel czekał, aż się skończą drgawki, poczem odpędził zbliżające się psy, wziął wałacha za nogi i skwrócił go na grzbiet. Wasylowi polecił trzymać nogi, a sam zaczął zdzierać skórę.

— I to był koń — rzekł Wasyl.

— Żeby był bardziej tłusty, lepsza byłaby skóra — odparł hycel.

Wieczorem wracający tabun dostrzegł z góry w dolinie, z lewej strony drogi, jakąś czerwoną plamę, wokół której kręciły się psy, latały wrony i jastrzębie.

Jeden z psów, opierając się łapami o ścierwo, trzęsąc pyskiem, odrywał kawały mięsa.

Bura klaczka zatrzymała się i, wyciągnawszy szyję, wciągała w chrapy powietrze — ledwo ją zdołano z tego miejsca odpędzić.

O świcie w gęstwinie starego lasu wyły radośnie wilczęta. Było ich pięć. Cztery prawie jednakowe, a piąte małe, z głową większą od tułowia.

Chuda wyliniała wilczyca, włócząc po ziemi pełny brzuch i obwisłe wymiona, wyszła z krzaków i siadła naprzeciwko swego potomstwa.

Wilczęta skupiły się wokół matki, ona zaś, zbliżywszy się do najmniejszego i opuściwszy głowę i ogon, zrobiła kilka kuczowych ruchów i wyrzuciła z paszczy wielki kawał koniny. Większe wilczęta zbliżyły się do wilczątka, ale matka odpędziła je groźbą, oddając wszystko małemu. Malec, jakby rozgniewany, wyjął, zagarnął pod siebie ścierwo i jął je szarpać. W ten sposób matka wyrzuciła po kawałku mięsa każdemu z pięciorga swych dzieci, poczem położyła się i jąła odpoczywać.

Po tygodniu około szopy widniał tylko czerep i dwa piszczele; reszta się ulotniła.

W lecie kościarka zabrała i te resztki i zużytkowała je w odpowiedni sposób.

Błąkające się po świecie, żadne jada i napoju martwe cielsko Sierpińskiego znalazło się w ziemi znacznie później.

Ani jego mięso, ani kości, ani skóra nie przydały się na nic nikomu. Od dwudziestu lat to włóczące się po świecie ciało było dla wszystkich jedynie zawadą. Pogrzeb jego również nabawił ludzi zbytecznego kłopotu, bo pomimo to, że oddawna nie było nikomu potrzebne, jako bezużyteczny ciężar, żalobnicy, chowając zmarłego, uważali za niezbędne ubrać rozkładającego się trupa w nowy mundur, piękne buty, włożyć go w nową ładną trumnę z sutemi kutasami po czterech rogach, umieścić pierwszą trumnę w drugiej metalowej, zawieźć do stolicy, poruszyć stare kości umarłych i koniecznie w tem właśnie miejscu pogrzebać to zgniłe, pełne robaków ciało w nowym mundurze i wyczyszczonych butach i — wszystko ziemią zasypać.

Tłum. Gustaw Daniłowski.

WSIEWOŁOD GARSZIN

(1855—1888)

ATTALEA PRINCEPS

(W skróceniu)

W pewnym wielkiem mieście był ogród botaniczny, a w nim olbrzymia oranżerja z żelaza i szkła. Była ona bardzo piękna: wysmukłe wijące się kolumny stanowiły podstawę gmachu, na nich wspierały się lekkie wzorzyste łuki, posplatane z sobą siatką pajęczą ram żelaznych ze wstawionymi szybami. Zwłaszcza ślicznie wyglądała oranżerja w chwili, gdy zachodzące słońce oblewało ją światłem różowym. Wtedy bowiem cała płonęła, a czerwone błyski iskrzyły się i mieniły, niby w jakimś ogromnym, drobno szlifowanym brylancie.

Poprzez grube przezroczyste szkła widać było uwięzione rośliny. Pomimo ogromu cieplarni, ciasno im w niej było. Poplątane korzenie odkradały sobie wzajemnie wilgoć i pokarm. Gałęzie drzew, zmieszane z ogromnemi liśćmi palm, gięły je i łamały, a i same również gięły się i łamały, cisnąc się do ram żelaznych. Ogrodnicy bezustannie obcinali gałęzie, podwiązywali drutem liście, ażeby nie mogły rosnąć, tak jak chcieli; ale to wszystko nie na wiele się zdało. Roślinom brakowało szerokiej przestrzeni, kraju rodzinnego i swobody. — — —

Była pomiędzy roślinami jedna palma, wyższa i piękniejsza nad inne. Dyrektor, siedzący w budce, nazwał ją po łacinie Attalea. Lecz nazwa ta nie była jej mianem rodzinnem — wymyślili ją botanicy. Rodzinnego zaś jej imienia nie znali botanicy i nie wypisali go sadzami na białej deszczulce, przybitej do pnia palmy. — — —

Attalea rosła wciąż, poświęcając wszystkie soki na wznoszenie się wgórę, z krzywdą korzeni i liści. Chwilami wydawało się jej, że odległość do sklepienia wcale się nie zmniejsza. Wtedy wyteęzała wszystkie siły. Do ram było coraz bliżej i bliżej, aż wreszcie młody listek dotknął się zimnego szkła i żelaza.

— Patrzcie-no, patrzcie — zaczęły mówić rośliny — gdzie się to wgramoliła! Miałażby się odważyć?

— Jakże strasznie wyrosła! — rzekła paproć drzewiasta.

— I cóż, że wyrosła? Wielkie rzeczy! Niechby spróbowała zgrubieć, tak jak ja — rzekła pękata cykada o pniu, podobnym do beczki. — I czego się to pnie? Czy tak, czy owak, nic nie robi: ramy są mocne, a szkła grube.

Znowu miesiąc upłynął. Attalea wzrastała bez przerwy, aż wreszcie szczerlnie już oparła się o ramę. Nie było gdzie rosnąć dalej. Wtedy pień począł się garbić, korona z liści się zmięła; zimne pręty ramy, wpijając się w delikatne młode pędy, pokaleczyły je i wykoszławiły, ale drzewo było uparte, litość nad liśćmi nie miało i, na nic nie zważając, parło na ramy, które, choć z twardego zrobione żelaza, zaczęły już się uginać.

Mała trawka śledziła walkę, omdlewając ze wzruszenia.

— Powiedz mi, czyż to ciebie nie boli? Skoro ramy są tak mocne, czy nie lepiej byłoby dać pokój? — zapytała.

— Czy mnie to boli? A cóż znaczy ból, jeżeli pragnę wydostać się na wolność? Wszakże ty sama zachęcałaś mnie do tego — odpowiedziała palma.

— Tak, zachęcałam, ponieważ nie wiedziałam, że to tak trudno. Żal mi ciebie. Tak strasznie cierpisz.

— Zamilknij, słaba roślino! Nie lituj się nade mną! Umrę lub zdobędę wolność!

— I w tej samej chwili rozległ się huk silny. To pękła gruba listwa żelazna. Kawalki stłuczonych szyb z brzękiem posypały się na ziemię. Jeden z nich trafił w kapelusz wychodzącego z oranżerji dyrektora.

— Co to ma znaczyć? — krzyknął, wzdrygnawszy się, gdy ujrzał kawalki szkła, lecące w powietrzu. Odbiegł od oranżerji i spojrzał na dach. Tam nad sklepieniem szklanem dumnie wznosiła się wyprostowana zielona korona palmy.

— Więc to tylko to? — myślała. — Więc to poto przez tak długi czas męczyłam się i cierpiałam? Więc to jest ów cel najwyższy moich usiłowań?

Była jesień późna, gdy Attalea wyprostowała swój wierzchołek przez wybity otwór w dachu. Mżył drobny deszcz nawpół ze śniegiem; wichur pędził nisko szare kłębiaste chmury, i palmie się zdało, że one ją zewsząd obejmują. Drzewa potraciły już liście i stały na podobieństwo potwornych jakichś upiorów. Tylko na sosnach i jodłach zieleniły się ciemne igły. Ponuro spoglądały drzewa na palmę; zdawało się, że przemawiają do niej: «Zmarzniesz! Ty nie wiesz, co to mróz, nie umiesz cierpieć. Pocos ty wyszła ze swej cieplarni?»

I Attalea rozumiała, że dla niej wszystko stracone. Zaczynała drętwieć. Wrócić znowu pod dach? Ale nie mogła już wrócić. Musiała stać na zimnym wicherze, znosić jego szarpanie i szorstkie dotknięcia płatków śniegu, patrzeć na chmurne niebo, na nędzną przyrodę, na brudny dziedziniec ogrodu botanicznego, na posępne wielkie miasto, widniejące wśród mgieł, i oczekiwać, aż tam nadole w cieplarni ludzie postanowią o jej losie.

Dyrektor rozkazał ściąć drzewo. — — —

Palnę skrępowano powrozami, ażeby, padając, nie zrujnowała ścian oranżerji, i przepiłowano ją nisko, przy samych korzeniach. Mała trawka, wijąca się dokoła pnia drzewa, nie chciała opuścić przyjaciółki i również dostała się pod piłę. Gy palmę wyciągnięto z oranżerji, na świątym pniu leżały zmiażdżone piłą i poszarpane łodyżki i liście.

— Wyrwać to brzydactwo i wyrzucić! — rzekł dyrektor. — Zżółkła już, a przyszem piła bardzo ją popsowała. Posadzić na tem miejscu co innego! — Jeden z ogrodników zręcznym ruchem rydla wykopał całą kępkę trawy. Cisnął ją do kosza, wyniósł i wyrzucił na dziedziniec: prosto na martwą palmę, która leżała w błocie już nawpół zasypiana śniegiem.

Thum. Józef Czekalski.

SZYMON NADSON

(1862—1887)

ŻYCIE

Mieniając z biegiem chwil swą postać nieujętą,
Kapryśny jako cień i złudny jako mgła,
Mknie wszędzie życia prąd nadziei falą wzdętą,
Zmieszawszy wzniosłe łyż z szyderczym śmiechem zła.

Co za niezgodny dźwięk! jak chaos przypomina!
Tu drżał miłości szept — tam nagle błysnął nóż;
Tu chrypiły wydał brzęk dzwoneczek arlekina,
A tam — proroka głos wśród wichru słyhać burz.

Gdzie słońce — tam i cień! Gdzie płyną łyż modlitwy,
Tam głodu słyhać jęk, i żebrak wznosi dłoń;
Tu wczoraj huczał grom roznamiętnionej bitwy,
A jutro z łańców tych powieje kwiatów woń.

O! perła ciepłych mórz przez tłum zdeptana w błocie;
A tu owocu rdzeń przegryza nędzny gad;
Ty wczoraj mogłeś sam podeptać wrogów krocie,
A dziś ty bladej tchórz, dziś wstydu żre cię jad!

To — życie, to — ów sfinks! A prawo jego — chwila,
I nie powstanie z ciżb wielkiego mędrca duch,
Co mógłby ludziom rzec, gdzie bieg się życia schyla
I dokąd wszystko rwie pośpieszny jego ruch.

To ono burzy grom, to cichy szept poranka,
To wszystko w niem jest blask, to wszystko — hańby szczyt;
Życie — to anioł-stróż i w orgiji bachantka,
To — oceanu szmer i głuchy kajdan zgrzyt!

NAD ŚWIEŻĄ MOGIŁĄ

Znowu sam jestem — i znów wokoło	Naco mi życie z walką i trwogą?
Noc, owinięta ponurą mgłą...	Naco mi praca? świat naco mnie? —
Oto w zadumie pochylam czoło	Ja nie mam dzisiaj już kochać kogo,
Nad świeżym grobem — nadzieją mą:	Nie mam do kogo już modlić się!...

Tłum. Marjusz Zaruski.

[JUŻ CZAS! PROROKU, PRZYJDŹ!]

Już czas! proroku, przyjdź! Na ból mej duszy smutnej,
 Na całą miłość mą zaklinam cię, przyjdź już!
 Patrz, jaka niemoc w nas, a jaki szal okrutny,
 Jaka swawola ciał obok niedoli dusz.

Ach, przyjdź, proroku, wraz! Potem za późno będzie,
 Gdyż prawdy coraz mniej, a fałszu wzrasta kłos;
 Gdyż z sumień znika wstyd, i ciemno, ciemno wszędzie,
 I tylko dzwoni wciąż samej miernoty głos...

Tłum. Ad. Pog.

[MÓJ BRACIE ZNUŻONY...]

Mój bracie znużony, cierpiący mój bracie,
 Nie padaj na duchu bezsilnie!
 Niech kłamstwo ohydne w odświętnej swej szacie
 Króluje nad światem omylnie,
 Niech złość przenajświętsze ołtarze obala,
 Niech szczęście rozpaczą się króci:
 Wierz — w gruzy upadnie świątynia Baala,
 miłość na ziemię powróci!
 Nie w cierni koronie, nie w pocie i pyle,
 Nie z krzyżem na plecach zgarbionych, —
 W świat ona przyjdzie w potędze i sile,
 Z pochodnią w swych dłoniach wzniesionych.
 Nie będzie na świecie już kajdan niewoli
 Ni mogił bezkrzyżnych przekleństwa,
 Ni nędzy potwornej, ni jęków niedoli,
 Ni miecza, ni łez, ni męczeństwa.
 O, bracie! To przyjdzie — nie czcze to marzenie,
 Nie płonna nadzieja to marna;
 Spójrz tylko naokół: rozterka, cierpienie,
 I noc ta — bezbrzeżna i czarna!
 Świat cały osłabnie od walki i złości,
 Krwią bratnią w szaleństwie się zboczy, —
 I wtedy, ach, wtedy do świętej miłości
 Błagalnie podniesie swe oczy!...

NIE MÓWCIE MI...

O, nie!... nie mówcie mi: on umarł — żyje on!
 Choć ołtarz w gruzy padł, lecz płomień jeszcze tli,
 Choć różę zerwał wiatr — lśni jeszcze na niej szron,
 Choć struna pękła już, lecz akord jeszcze brzmi!...

Tłum. Marjusz Zaruski.

WŁODZIMIERZ SOŁOWJOW

(1853—1900)

POLSKI KOŚCIÓŁ NARODOWY

(Wyjątek)

Dziś Kościół prawosławny świętuje objawienie cudownego obrazu Najświętszej Bogarodzicy Częstochowskiej. Ten prastary obraz w stylu bizantyńskim, czczony pobożnie przez Rosjan, jest jednocześnie świątynią narodową Polski, Królową Niebieską kraju polskiego, uosobieniem jego przyszłości dla wierzących patriotów, z których największy idealista, hrabia Krasieński, poświęcił Bogarodzicy Częstochowskiej przepiękne wiersze swego «Przedświtu». Niema wątpliwości, że wynalazcy «polskiego kościoła narodowego» zapomnieli o drobnostce: o Bogarodzicy Częstochowskiej. Jest to zrozumiałe: bo jakież stanowisko wobec Najświętszej Panny może zająć apoteoza żonatych księży? Pozostaje jednak zagadnienie praktyczne: co zrobić z Częstochową? Czy pod przymusem oddać ją nowej sekcje, która odpadła od Kościoła katolickiego? Propozycja takiego posunięcia z powodu nieuniknionych następstw byłaby równoznaczna ze zdradą państwa; nie można więc o tem mówić na serjo. Jeżeli zaś Częstochowę bądź co bądź należy zostawić w spokoju, nowa sekta żonatych księży, która nie może być uważana za kościół zgodnie ze swem pochodzeniem i swą podstawą, nie będzie miała znaczenia narodowego, jako pozbawiona głównej świątyni narodowej. Cóż pozostanie wtenczas z tej sekty oprócz bezsensownej pretensji — w słowach i jeszcze jednego narzędzia rokoszu i rozkładu wiary narodowej — w rzeczywistości?... —

Wśród różnorodnych poglądów na stosunki rosyjsko-polskie całkowicie się zatracił pogląd, który, zdaje się, jest jedynie właściwy dla patriotów («Świętej Rusi») — pogląd, baczący na wiarę i pobożność. Dla takiego poglądu główne znaczenie ma ten oto czynnik: jak widzi stosunki rosyjsko-polskie Ta, Czyj prastary obraz na Jasnej Górze z roku na rok przyciąga do Siebie i jednoczy w jednym uczuciu niezliczone tłumy prawosławnych Rosjan i katolików Polaków? To pytanie jest śmieszne dla niewierzącego i gorszące dla obłudnika, ale każdy, dla kogo świątynia religijna jest żywą rzeczywistością, wie, że to właśnie śmieszne i gorszące pytanie jest jedynie poważne w tej sprawie. Postawienie tego pytania jest zarazem jego rozstrzygnięciem; gdyby nawet w całym społeczeństwie rosyjskim nie znalazł się ani jeden człowiek, któryby stał na stanowisku Jasnej Góry, nie straci ona przez to swego własnego znaczenia; wszakże zagadnienie o stosunkach rosyjsko-polskich zostanie rozstrzygnięte ostatecznie przez historję tylko z tego jedynie słusznego punktu widzenia. Jeśli wspomnimy o tem, że dziewicza lilja chrześcijaństwa ma ziemskie swe korzenie w narodzie, który woła Opatrzności jest skupiony przeważnie na sąsiadujących ze sobą obszarach narodowości rosyjskiej i polskiej, zrodzi się w nas nadzieja, że i drugie, głębsze zagadnienie — dotyczące stosunków chrześcijańsko-żydowskich — rozstrzygnie się nie na niskim poziomie nienawiści, lecz na tej samej Jasnej Górze odwiecznie — dziewiczego Bogoczłowieczeństwa — i jeszcze raz się powtórzy cud, który trwa przez całą historję: kamień, którym pogardzali budowniczo, jest właśnie kamieniem węgielnym. (6 marca r. 1897).

Thum. Sergjusz Kutakowski.

WŁODZIMIERZ KOROLENKO

(1853—1921)

Z «DZIWNEJ WYGNANKI»

— Prędko tam stacja, człowieku?

— Gdzieżby zaś! wątpliwe, czy przed śnieżycą dojedziem; patrz-no tylko, jaka kurzawa idzie, i to z północy.

Istotnie, gdzież tu dojechać przed burzą! Ku wieczorowi zaczyna być coraz chłodniej. Słychać, jak skrzypi śnieg pod płozami; ziąb staje się coraz to większy i wiatr północny coraz to bardziej huczy w boru ciemnym, a gałęzie jedlin wyciągają

się ku wąskiej leśnej ścieżynie, groźnie kołysząc się w zapadającym mroku wczesnego wieczora.

Zimno i niewygodnie. Kibitka, zbyt wąska, bokami ciśnie, a jeszcze do tego przeszkadzają nam szable i rewolwery konwojowych żandarmów. Dzwonek zawodzi jakąś pieśń długą i monotonna, zlewającą się z jękiem rozplakanej zawiei.

Na szczęście — widać już samotny ognik stacji, położonej na skraju luczącego boru.

Moi «przewodnicy», pobrzękując całym arsenałem broni, otrząsają śnieg w izbie parnej i gorącej, chociaż ciemnej i pełnej kopci. Ubogo tu i niegościnnie. Gospodyni rozpała nad knotem dymiące się luczywo. — — —

W izbie wszystko umilkło. Nawet gospodyni porzuciła kądziel i przędę i, zagasiwszy luczywo, ułożyła się do snu. Zapanował mrok i milczenie, niekiedy tylko przerywane hukami nadbiegającej fali gwałtownego wiatru. Nie spałem. W głowie mojej, wśród szumu burzy, powstawały ciężkie myśli i biegły jedna za drugą.

— Jak widzę, nie śpi się panu — odezwał się jeden z przewodników, «starszy», człeczyna dość sympatyczny, roztropny, o twarzy milej, rzekłbyś, niemal inteligentnej, tego znający swe funkcje, przeto nie pedant. Nie zwykł on w drodze krępować się lub też stosować do niepotrzebnych formalności.

— Rzeczywiście, jakoś się nie śpi.

Czas pewien mija w milczeniu, ale słyszę, że i mój sąsiad również nie śpi — widocznie i w jego głowie kothują się myśli przykre. Drugi przewodnik śpi snem zdrowego, lecz mocno utrudzonego człowieka; tylko od czasu do czasu niewyraźnie jakos mamrocze.

— Dziwię się panom — rozlega się znowu płynący z pełnej piersi głos «starszego» — ludzie wy młodzi, dobrze wychowani, wykształceni, rzecz można, a ot jak wy swoje życie marnujecie.

— Jakże to?

— Ech, panie. Czyżbyśmy już i tego nawet nie pojmovali?... Dobrze my rozumiemy, że nie do takiego życia wyście stworzeni i nie do takiego z małości przyzwyczajali się...

— Napróżno wy tak myślicie; otóż nie na tem rzecz polega, do czego się z małości nawykło, mieliśmy już czas odzwyczaić się...

— Czyżby wam, panie, doprawdy wesoło było? — przemówił tonem zwątpienia.

— Niekoniecznie, to pewna. A wam to wesoło?

Milczenie. Gawryłow (takie było jego nazwisko), jak się zdaje, o czemś rozmyśla.

— Nie, panie, muszę ci coś powiedzieć... Wierz mi na słowo, czasem przyjdzie taka chwila, że ot wprost nie chciałbyś na świat patrzeć... Z czego to przychodzi, nie wiem, tylko jak czasem nadejdzie, no wprost niby nóż ostry w serce, ot i wszystko.

— Czyżby służba ciężka?

— Służba służbą... Zapewne nie spacer, władze też, powiedzmy, ostre, a jednak nie z tego.

— Z czegoż więc?

— Kto to wie?...

Znowu milczenie.

— Jeszcze teraz, przecierpiawszy już tyle, zżyłem się. No i władze też mię nie pominęły, na podoficera awansowałem, nijakich kar nie zdarzało się i nawet wkrótce do domu pójdę — w dymisję...

— Cóż więc takiego?...

— A ot ja ci, panie, opowiem, jaki wypadek był ze mną... Wstąpiłem do służby w r. 1874 do szwadronu, wprost z rekrutów wyszedłszy. Obowiązki spełniałem, że tak powiem, dobrze, wszystko z niezwykłą gorliwością, przeważnie wedle nakazu: czyto gdzie naród rozpędzać, czyto pod teatr, ot jak sami wiecie. Piśmienności nieźle wyczony, więc i władze miały na oku. Nasz major był mi rodakiem, a widząc moje zachowanie, wzywa mię pewnego razu do siebie i tak powiada: «Ciebie, Gawryłowie, przedstawię jako kandydata na podoficera; czy w poruczeniach nigdy jeszcze nie byłeś?» — «Nie byłem — mówię — wasze wysokorodje». «Otóż — powiada — na przy-

szły raz przeznaczą cię do podręcznych; rozejrzysz się: nie święci garnki lepią». — A w ekspedycjach w samej rzeczy jeszcze nigdy nie byłem, to jest, nie przymierzając, jakby z wami, panowie. Aczkolwiek, powiedzmy, nie filozofja to żadna, a przecież instrukcje trzeba sobie przyswoić i roztropność też pożądana. No, dobrze... Po tygodniu, żeby nie skłamać, wzywa mię dyżurny do naczelnika i podoficera też przywołuje. Przyszliśmy. «Wam — zwraca się do niego naczelnik — w ekspedycję trzeba wyruszyć. To jest twój — wskazuje na mnie — podręczny. Ten jeszcze ani razu nie był. Pamiętajcie — powiada — nie gapić się, pokażcie, dzieci, żeście zuchy; trafia się wam panienkę z pałacu wywozić. Masz tu — mówi — instrukcje i z Bogiem». Podoficer Iwanow za «starszego» ze mną jechał, ja zaś jako «podręczny» — o! jak ze mną drugi żandarm. — — — Przyszliśmy do tego «pałacu» i, jak należy, papier doręczyli, stoimy, czekamy...

Ciekawość mnie bierze, jaką to też panienkę wywozić wypadnie, a podług marszruty wieść mamy bardzo daleko, gdyż nie do miasta przeznaczona była, ale do włości. To też niezmiernie byłem ciekawy przy pierwszym razie, ledwo wystoję, ledwo wycekam... Przeczekaaliśmy w ten sposób prawie godzinę, dopóki jej rzeczy nie pozbierano, a wszystkich rzeczy był jeno węzelek maleńki — sukienka jakaś i jeszcze coś, razem nic, sami wiecie. Książki tylko jakoweś były i więcej nic już nie miała... Aż naraz wyprowadzają; spojrzę na nią, taka młoda, dzieckiem prawie wydała mi się, blond włosy w długi warkocz miała splecione, na policzkach rumieńce jak ogień wtedy pały, a później, widziałem — blada niezmiernie przez całą drogę siedziała. To taka żalność mię wzięła, tak mi się żal jej zrobiło, wprost myślę no... — Poczęła palto nakładać, kalosze... Rozkazano nam rzeczy obejrzyć; taka zasada przyjęta. «Są jakie przy was pieniądze?» — pytamy. — Rubel i dwadzieścia kopiejek znalazły się. — Starszy do siebie zabrał. «Ciebie — mówi — panienko, obrewidować muszę». Jak nie wybuchnie tu ona! Oczy jej rozgorzały, rumieniec jeszcze większy wystąpił, a usta cienkie, gniewne. Jak nie spojrzę na nas — uwierzysz, panie, kroku postąpić nie mogłem. No, a starszy, wiadomo, wstawiony, wprost do niej lezie. «Obowiązany jestem — powiada — instrukcję — mówię — mam». Jak tu ona nie krzyknie, nawet Iwanow, i ten od niej się cofnął. Patrzą na nią, na twarz blada cała, ani kropelki krwi, a oczy całkiem stały się czarne, a zła taka, okrutecznie zła... Nóżką tupie, mówi tak prędko, tylko że ja, przyznam się, nie słuchałem bardzo, co mówiła. Nadzorca też przeląkł się, wody jej przyniósł w szklaneczce. «Uspokójcie się — prosi — bądźcie — mówi — laskawi, sami nad sobą ulitujcie się». A ona jak nie napadnie na niego! «Mongoly — woła — draby jesteście». No i wiele jeszcze zuchwałych mu słów nagadała. Jak chcecie — wszelako przeciw władzy zawsze to niedobrze. — — — Przejeżdżamy przez miasto, ona wciąż z okna karety wygląda, powiedziałbyś: żegna się czy też znajomych chce ujrzyć. A Iwanow wziął i firankę opuścił, okno zasłonił. Ukryła się w kącie, przytuliła do ściany, patrzy na nas. A ja, przyznam się, jednak nie wytrzymałem: wziąłem firankę, nibyło sam chcę popatrzeć, odsłoniłem... Tylko, że ona już więcej nie patrzyła przez okno, a wciąż taka gniewna w kącie siedzi, wargi zagryza, do krwi, myślę, pokąsa. — — —

Wiele ja od niej, wiele wtedy udręczeń zaznałem. W drodze, jak wiecie, w nocy wciąż deszcz pada, pogoda zła... Jedziemy lasem, las jękiem rozlega. Jadę, z nie widzę jej, bo noc była ciemna, nie widać nic a nic, a dacie wiarę, teraz to ciągle przed oczyma mi stoi, do tego stopnia, że i w dzień, i w nocy zawsze ją widzę i oczy jej widzę, i twarz jej bladą i pełną gniewu, i widzę, jak zziębnięta siedzi i cała kędyś wdał zapatrzona, jakby jej jakaś myśl w głowie utkwiała. Gdyśmy odjeżdżali ze stacji, chciałem ją nakryć kożuchem. «Włóżcie — mówię — ten kożuch, zawsze to ciepłej». Cisnęła kożuch od siebie. «Wasz — mówi — kożuch, to sobie możecie nakładać». — Trzy doby tak jechaliśmy, nigdzie nie nocując. Pierwszą rzeczą, powiedziano w instrukcji, na noclegi nie zatrzymywać się, a w razie wielkiego znużenia, nie inaczej, jak w miastach, gdzie warta stoi. No, a przecież wiecie, jakie tu miasta. I sama też wciąż nagli, prędzej chce się na miejsce dostać. Przyjechalśmy jednak do celu; niby ciężar spadł mi z ramion, jakeśmy zdala miasto dojrzeli. Także i to muszę powiedzieć: przy końcu to już prawie na moich rękach dojechała. Widzę, leży na wozie

bez czucia — trząśnie wozem na wyboju, to ona głową o poręcz uderzy. — — — Gdyśmy do miasta dojeżdżali, przyszła do siebie, uniosła się. Pogoda piękna nastąpiła, słońce wyjrzało, więc i ona rozweseliła się. — Ale wkrótce dalej ją wyprawiono, niedługi był jej tu pobyt, i znów mnie ją wieź wypadło... Gdy przyszła pora odjazdu — patrzę: do policji naród zewsząd napływa, młode panny i panowie studenci, wszyscy pewno zesłańcy. I wszyscy, niby znajomi, z nią rozmawiają, za rękę się witalają, rozpytują. Pieniądzy jej też coś przynieśli, chusteczkę na drogę. Odprowadzili. — Wesóło jechała, jeno często pokaszliwała i nie patrzyła na nas, jakby nas wcale nie było. Zajechalismy do powiatowej mieściny, gdzie jej mieszkać przeznaczono. Gdy ją notowano w urzędzie, zaraz o jakieś nazwisko pyta. «Mieszka tu — mówi — taki a taki?» «Jest» — odpowiadają. Przyjechał naczelnik. «Gdzie — powiada — mieszkać będziecie?» «Nie wiem — rzece — ale narazie do Rozanowa pójdę». Pokiwał głową, a ona zebrała się i poszła, nie pożegnawszy się z nami...

— I cóż, więc nie widzieliście jej już nigdy?

— Widziałem, ale już lepiej mi było nie widzieć więcej... I nawet wkrótce ją zobaczyłem. Jakaśmy z ekspedycji wrócili, przyszedł nowy rozkaz i znów nas w tę drogę wysłano. Teraz już studenta wieźliśmy. Wesóło był, pieśni tego śpiewał i nieźle lyknać umiał. Tego jeszcze dalej zesłano. Ot, przejeżdżamy przez to samo miasto, gdzieśmy ją zostawili i ciekawość mię wzięła dowiedzieć się, jak się jej żyje. — — — Poszedłem, dobrzy ludzie drogę wskazali; a mieszkali oni na krańcu miasta. Stoi domek niewielki, drzwi niziutkie. Wszedłem do tego zesłańca, patrzę: czysto u niego, pokoik jasny, w kącie łóżko stoi i parawanem kął odgradzony. A obok pracownia, warsztat tam stoi maleńki, a na ławeczce druga pościel złożona... Kiedy wszedłem, ona siedziała na posłaniu, w szal zawinięta, nóżki pod siebie skuliła, szyje coś. A zesłańiec przy niej na ławeczce siedzi, z książki jej coś wyczytuje. Szyje ona i słucha. Gdy mię ujrzała, chwyciła go za rękę i aż zamarła ze strachu. Oczy jej rozszerzyły się, pociemniały, takie straszne... «Co wam jest? — mówi on — uspokójcie się». A nie widzi mię wcale. Potem wypuściła jego rękę, chce się z pościeli podnieść. «Żegnaj! — mówi — żal im widać mojej śmierci spokojnej. Bądź zdrow!» Tu i on się obrócił, dojrzał mię — jak nie skoczy na nogi... Myślałem, że mię zabije, doprawdy. Wiecie, oni myśleli, że znowu przyjechałem ją brać; ale widzi on, że stoję nito żywy, ni martwy, wylękniony i sam jeden... Obrócił się do niej, za rękę ją wziął i zaśmiał się. «Ależ uspokójcie się! — mówi — a wam — zwraca się do mnie — czego potrzeba?» Bardzo mi gorzko się zrobiło, żem ich przestraszył. Mówię mu, że odwiedzić ją przyszedłem, i ona też mię poznała. Widzę zagniewana, jak dawniej. Gniewa się i wszystko w niej się burzy. A zdaje się, ot z całej duszy chciałbyś usłyszeć, a tu patrzy na ciebie, jakbyś ty podłym gadem był dla niej. Wreszcie zrozumiał on, o co chodzi, uśmiechnął się i począł mówić coś do niej. Nie wszystko mogłem zrozumieć, przecież wy, panowie, przedziwnie z sobą gadacie. On tak spokojnie mówi, tak cicho, a ona gniewnie i szorsko. Zesłańiec powiada: «Zastanówcie się, wszakże to człowiek do was przyszedł, a nie żandarm...» A ona do niego: «A czemu służy?» — Jezus! myślę sobie, azaliż nie człowiek ja dla niej? Czyliż z własnej woli jej co złego zrobiłem? Taka mię gorycz naszła! — — —

...Umarła wkrótce. Kiedy chowano ją, nie widziałem, bo naczelnik mię wezwał. Ale na drugi dzień zesłańca spotkałem. Podchodzę do niego, patrzę: Boże, jakże zmieniony!... Wzrostu był wysokiego, rysy twarzy poważne i dawniej tak jakoś życzliwie patrzył, a teraz prawie jak zwierz na mnie spojrział. Podał mi rękę, a potem naraz moją rękę wypuścił i sam się odwrócił. «Nie mogę — mówi — widzieć cię teraz. Oddal się, bracie... na litość, oddal się!... Później, jeżeli zostaniesz w mieście, zajdź sobie, proszę». Opuścił głowę i poszedł, a ja skierowałem się na kwaterę i tak mię wszystko znękało, żem przez dwa dni prawie jadła do ust nie przyjmował. Żal!... — — —

...Ot, jak się rzecz miała!... A dozorca widocznie zawiadomił władze, że do zesłańców chodziłem, i jarosławski pułkownik również doniósł — jedno z drugim — przebrała się miarka. Nie chciał mię już naczelnik do awansu przedstawić. «Jaki z ciebie podoficer? — powiada. — Baba jesteś! Do karceru cię, durniu, wsadzić!» Alem ja wtędy w zobojetnieniu znajdował się i niczego bynajmniej nie żałowałem!... Tylko

tej zagniewanej panienki zapomnieć nie mogłem, a i teraz to samo: wciąż stoi mi przed oczyma. Coby to mogło znaczyć? Kłoby mi to wyjaśnił? A nie śpisz ty, panie?...

Nie mogłem zasnąć... Tajemny zmrok porzuconej w lesie chalupki dręczył mi duszę, a żaloszna postać zmarłej dziewczyny zrywała się w niej wśród głuchych szlochań wichury...

Przekł. bezim. w t. V «Czytelni robotniczej».

ANTONI CZECHOW

(1860—1904)

PODOFICER PRISZIBIEJEW

— Podoficer Priszibiejew! Pan jest oskarżony o obrazę słowną i czynną uradnika Żygina, wójta Alapowa, sołtysa Jefimowa, świadków Iwanowa i Gawriłowa oraz sześciu włościan, przyczem pierwszych trzech znieważył pan przy spełnianiu obowiązków służbowych. Czy oskarżony przyznaje się do winy?

Priszibiejew, zmarszczony podoficer z kłującą twarzą, staje na baczność i odpowiada ochryplym, przyduszonym głosem, wybijając każde słowo, jak w komendzie:

— Wasze wysokorodje, panie sędzio! Znaczy się, według wszystkich artykułów prawa istnieje przyczyna atestować każdą okoliczność wzajemnie. Ja nie jestem winien, lecz wszyscy inni. Cała sprawa powstała z powodu martwego trupa, Panie świeć nad jego duszą. Idę ja sobie trzeciego września z żoną Anfiżą powoli, godnie, patrzę — stoi na brzegu kupa ludzi rozmaitego narodu. Według jakiego prawa ludzie zgromadzili się tutaj? — pytam. — Dlaczego? Czy w prawach powiedziano, żeby naród stadem chodził? Krzyczę: — Rozejść się! Zacząłem rozpychać chłopstwo, żeby rozchodziło się do domu, kazałem sołtysowi walić po karku...

— Przepraszam, oskarżony nie jest przecież uradnikiem ani sołtysem, przecież to nie wasza sprawa rozpraszać tłum.

— Nie jegol Nie jegol — słychać głosy z różnych kątów sali. — Spokoju przez niego nie mamy, wasze wysokorodje! Piętnaście lat już przez niego cierpimy. Jak przyszedł z wojska, tak od tej pory choć ze wsi uciekaj. Zamęczył wszystkich!

— Właśnie tak, panie sędzio — mówi świadek-sołtys. — Całą gromadą skarżymy się. Życ ludziom nie daje. Czy procesja idzie, wesele czy coś innego, on zawsze krzyczy, hałasuje, ciągle porządki wprowadza. Dzieci drze za uszy, baby podgląda, żeby czego nie było, jakby teść jaki... Niedawno chodził po izbach, przykazywał, żeby nie śpiewać i światel nie zapalać. Prawa, mówi, takiego niema, żeby pieśni śpiewać.

— Proszę poczekać, świadek jeszcze zdaży złożyć zeznanie — mówi sędzia — a teraz niech oskarżony mówi.

— Rozkaz! — chrypie Priszibiejew. — Pan sędzia raczy mówić, że nie moja sprawa ludzi rozganiać. Dobrze! A jeżeli są nieporządki? Czyż można pozwolić, aby chłopstwo rozhułało się? Gdzie w prawach napisane, żeby chłopstwu swobodę dawać? Ja nie mogę pozwolić. Jeżeli ja nie będę ich rozpędzał i karał, to kto będzie? Nikt porządków prawdziwych nie zna, w całej wsi tylko ja jeden, można powiedzieć, panie sędzio, wiem, jak postępować z prostym narodem i ja wszystko rozumiem, wasze wysokorodje! Ja nie chłop, ja byłem podoficerem, w Warszawie służyłem w sztabie, a potem, jak do cywila poszedłem, byłem strażakiem, a potem ze względu na słabe zdrowie rzuciłem straż i przez dwa lata w męskim klasycznym progimnazjum woźnym byłem. Wszystkie porządki znam. A chłop — prosty człowiek, nic nie rozumie i powinien mnie słuchać, bo ja dla jego dobra przecież. Wziąwszy chociaż tę sprawę na ten przykład. Rozganiam ja chłopstwo, a na brzegu na piaseczku leży utonięty trup martwego człowieka. Na jakiej podstawie on tutaj leży? — pytam. — Czy to porządek? Dlaczego uradnik nie patrzy? Dlaczego ty — mówię — uradniku, nie dasz znać władzom? Może ten topielec sam utonął, a może to Sybirem pachnie. Może tutaj zbrodnia zabójstwa... A uradnik Żygina nic, żadnej uwagi, tylko papierosa pali. «Co to za jeden — mówi — od rozkazów, skąd się u was taki znalazł? Cóż to, albo to my

bez niego — mówi — nie wiemy, co robić?» Znaczy się — mówię — ty nie wiesz, durniu jeden, jeżeli tu stoisz i uwagi nie zwracasz. «Ja — mówi — dałem już wczoraj znać komisarzowi policji». Dlaczego — pytam — komisarzowi? Z jakiego artykułu prawa? Czyż w takich sprawach, jak utonięci albo powieszoni i inni temu podobni, czyż w takich sprawach komisarz da radę? Tutaj — mówię — sprawa karna, publiczna. Tutaj trzeba dać znać czem prędzej sędziemu śledczemu i sądowi. A przede wszystkim — mówię — tyś powinien napisać akt i posłać panu sędziemu pokoju. A on, uriadnik, słucha i śmieje się wciąż. I chłopci też. Wszyscy się śmieją, panie sędzio! Pod przysięgą mogę zeznać. I ten się śmiał, i ten, i Żygin. Czego — mówię — zęby szczerzysz? Uriadnik zaś odpowiada: «Takie sprawy nie podlegają sędziemu pokoju». Krew mnie załata na te słowa. Uriadniku, przecież ty to mówiłeś? — zwraca się Priszibiejew do Żygina.

— Mówilem.

— Wszyscy słyszeli, kiedyś ty to samo przy prostym narodzie mówił: «Takie sprawy nie podlegają sędziemu pokoju». Wszyscy słyszeli, jakieś to mówił. Pot zimny na mnie wystąpił, osłupiałem. Powtórz — mówię — powtórz, ty taki owaki, coś powiedział! On znowu te same słowa... Ja do niego. Jakżesz ty możesz tak mówić o panu sędzim pokoju? Tyś uriadnik, a przeciwko władzy? Co? A czy ty wiesz, mówię, dokąd za takie polityczne słowa może cię wysłać pan sędzia pokoju? Wójt zaś mówi: «Sędzia pokoju poza granicami swej władzy nic nie może robić. Tylko małe sprawy do niego należą». Tak powiedział, wszyscy słyszeli... Jakże, krzyczę, ty śmiesz władzę poniewierać? Ty ze mną nie igraj, bo będzie źle. Bywało w Warszawie albo kiedy byłem woźnym w męskim klasycznym progimnazjum, jak tylko usłyszę jakie nieodpowiednie słowa, to patrzę na ulicę, czy nie widać żandarma; pójdź tutaj, kochanku — mówię — i wszystko mu opowiadam. A tu na wsi komu powiedzieć?... Zgniewało mnie to. Przykro było, że terażniejszy naród tonie w swawoli i nieposłuszeństwie, zamierzyłem się i... ma się rozumieć, nie mocno, ale tak sprawiedliwie, pomalutku, żeby nie śmiał o waszem wysokorodji tak mówić... Uriadnik ujął się za wójt. Więc ja i uriadnika... Zakotłowało się... Rozgorączkowałem się, wasze wysokorodje, no ale przecież bez tego nie można, żeby nie pobić. Jeśli głupiego człowieka nie bijesz, to wzięłeś grzech na swoją duszę. Osobliwie, jeżeli za sprawę... jeżeli nieporządek...

— Przepraszam! Porządku jest komu pilnować. Nato są uriadnik, wójt, soltys.

— Uriadnik wszystkiego nie upilnuje, przytem i uriadnik nie rozumie tego, co ja rozumiem...

— Lecz proszę zrozumieć, że to nie wasza sprawa!

— Co? Jakże nie moja? Dziwne... Ludzie swawolą, a nie moja sprawa! Cóż ja mam chwalić ich, czy co? Oto oni skarżą się, że ja im śpiewać zabraniam... A cóż dobrego w tych pieśniach? Zamiast tego, by pracą się zając, im się pieśni zachciało... Teraz zaś znowu modę zaprowadzili, żeby wieczorami przy świetle siedzieć. Spać trzeba się kłaść, a u nich rozmowy i śmiechy. Ja mam zapisane!

— Co oskarżony ma zapisane?

— Kto światło pali.

Priszibiejew wyjmuje z kieszeni zatuszczoną kartkę, nakłada okulary i czyta:

— Którzy włościanie siedzą przy świetle: Iwan Prohorow, Sawwa Nikoforow, Piotr Pietrow, żołdatka Szustrowa, wdowa, żyje w rozpustnem bezprawiu z Siemionem Kisłowem. Ignat Swierczkow zajmuje się czarami, a żona jego Mawra jest wiedźmą, po nocach chodzi doić cudze krowy.

— Dosyć! — mówi sędzia i zaczyna badać świadków.

Były podoficer Priszibiejew zsuwa okulary na czoło i ze zdumieniem patrzy na sędziego, który jakoś nie jest po jego stronie. Wytrzeszczone oczy jego błyszczą, nos staje się szkarłatny. Patrzy na sędziego, na świadków i w żaden sposób nie może zrozumieć, dlaczego sędzia jest wzburzony i dlaczego ze wszystkich kątów sali słychać bądź pomruki, bądź też przyduszony śmiech. Niezrozumiały jest dla niego i wyrok: miesiąc aresztu!

— Za col? — mówi, rozkładając ze zdziwieniem ręce. — Jakiem prawem?

Jasne jest dla niego, że świat się zmienił i że żyć na świecie niepodobna. Czarne, ciężkie myśli ośladnęły nim. Lecz wychodząc z izby i zobaczywszy tłoczących się i rozmawiających głośno chłopów, Priszibiejew z przyzyczenia, którego już opanować nie może, staje na baczność i krzyczy głosem ochryplym i gniewnym:

— Ludzie, rozejść się! Nie gromadzić się! Do domu!

Tłum. S. L.

MAKSYM GORKIJ (ALEKSY PIESZKOW)

(ur. 1868)

FOMA GORDIEJEW

(Wyjątek)

Tomasz, piękny i kształtny, stał w krótkiej marynarce i w długich butach, oparty plecami o maszt i, skubiąc bródkę drżącą ręką, przyglądał się radośnie różnej pracy chłopów. Rozlegający się dokoła hałas budził w nim pragnienie krzyczenia, mozolenia się wraz z chłopami, rąbania drzewa, dźwigania ciężarów, rozkazywania — zwrócenia w ten sposób na siebie uwagi wszystkich i pokazania swej siły i zręczności. Hamowa się jednak i nieruchomo stał w milczeniu: obawiał się i wstydził czegoś. Krępowało go to, że jest panem, że gdy weźmie się sam do pracy, to nikt chyba nie uwierzy, iż robi to wprost z ochoty, a nie dlatego, żeby ich zachęcić, dać im przykład. I możliwe, że chłopci śmiać się zeń będą jeszcze...

Rudy, kędzierzawy parobek, z rozpiętym kołnierzem u koszuli, przebiegał raz wraz koło niego, to z deską na plecach, to z siekierą w rękę; podskakiwał w biegu, jak rozbawiony kozioł, śmiał się dźwięcznie, wesoło, żartował na wszystkie strony, nie-miłosiernie łajał i pracował niezmordowanie, pomagając bądź jednemu, bądź drugiemu i biegając szybko i zręcznie po pokładzie, zawalonym trzaskami i drzewem. Tomasz nie spuszczał go z oczu i zazdrościł temu wesołemu chłopakowi, od którego biło zdrowie, energia i siła.

«Szczęśliwy pewnie»... — myślał Tomasz, i myśl ta wywołała w nim ostrą, palącą żądę dokuczenia mu w jakikolwiek sposób, zdetonowania go. Wszystkich naokół ogarniał zapal gorączkowej pracy, wszyscy zgodnie i śpiesznie umacniali rusztowanie, urządzali bloki, przygotowując się do wyciągania barki, zatopionej na dnie rzeki, i wszyscy byli rześcy, weseli i — znać było, że żyli. A on stał zdala od nich, nie wiedząc, co ma robić, nic nie umiejąc, czując się zbyt cennym w tym wiekiem mrowisku pracy. Doznawał uczucia krzywdy, widząc, jak jest odosobniony, im dłużej przyglądał się tym ludziom, tem silniej wzmagało się w nim to poczucie krzywdy. Najwięcej bolała go myśl, że przecież to wszystko — robi się dla niego, a jednak on w tem nie bierze udziału...

«Gdzież jest moje miejsce? — myślał z goryczą. — Gdzież moja praca?... Czy jestem wyrodkiem? Nie mniej mam siły, niż pierwszy lepszy... A naco mi ona?»

Dzwoniły łańcuchy, jęczały bloki, nad rzeką rozlegał się huk siekier, a barki kołysały się pod naciskiem fal... Tomaszowi zdawało się jednak, że buja się nie wskutek kołysania się pokładu pod jego nogami, lecz dlatego, że nie umie na niczem oprzeć się mocno...

Przedsiębiorca, niski chłop ze śpiczastą siwą bródką, wąziutkimi oczyma i szarą pomarszczoną twarzą, podszedł do niego i powiedział zcicha, ale jakimś szczególnym, uroczystym tonem:

— Wszystko gotowe, Tomaszu Ignatjewiczu, teraz już wszystko w porządku... Zaczniemy z Boską pomocą...

— A zaczynaj... — odrzekł łagodnie Tomasz, odwracając się od przenikliwego spojrzenia wąskich oczu chłopca.

— Ot i chwała Bogu! — rzekł przedsiębiorca, zapinając bez pośpiechu kurtkę i przybierając poważną minę. Potem, powoli obracając głowę, obejrzał rusztowania na barkach i krzyknął donośnym głosem:

— Na swoje miejsca, dziatki!

Chłopi rozbiegli się po barkach, w zwartych gromadkach stanęli przy kołowrotach i zaprzestali rozmowy. Niektórzy powdrapywali się zrećcznie na rusztowanie, skąd spoglądali w milczeniu, trzymając się za liny.

— Baczość, bracia! — rozlegał się dźwięczny i spokojny głos przedsiębiorcy. — Czy wszystko w porządku? Gdy przyjdzie na babę pora rodzić — nie czas jej wtedy koszule szyć... A teraz... pomódlmy się do Boga!

I cisnąwszy czapkę na pokład, przedsiębiorca wznosił twarz ku niebu i jał żegnać się siarczyście. Za nim wszyscy chłopi, podniósłszy głowy ku chmurom, zaczęli również szeroko wymachiwać rękami, kładąc znak krzyża na piersi. Inni modlili się głośno, i głuchy, przytłumiony szept zlewał się z szumem fal:

— Boże pobłogosław!... Przenajświętsza Bogarodzico... Święty Mikołaju, patronie...

Tomasz słuchał tych okrzyków, i padały one kamieniem na jego duszę. Wszyscy stali z obnażonymi głowami, on tylko jeden zapomniał był zdjąć czapkę. Przedsiębiorca po skończeniu modlitwy rzekł doń z wyrzutem:

— Należało i panu westchnąć do Pana Boga...

— Pilnuj swego nosa... a mnie nie ucz! — odrzekł Tomasz, rzucając nań gniewne spojrzenie. — Im dalej postępowała praca, tem ciężej i boleśniej odczuwał, że jest zbyt ciężki wśród tych spokojnych i ufnych w swoje siły ludzi, gotowych do podniesienia z dna rzeki na jego rozkaz kilkudziesięciu pudów. Pragnął, żeby doznali niepowodzenia, żeby skompromitowali się wszyscy wobec niego — i w głowie jego zabłysła zła myśl:

«Może łańcuchy się zerwą»...

— Baczość, chłopcy! — krzyczał przedsiębiorca. — Zaczynajcie wszyscy jednocześnie... W imię Boże! — I nagle, klasnąwszy w dłonie, wrzasnął przeraźliwie:

— Za-czy-naj!

Robotnicy podchwycili jego okrzyk i wszyscy w jeden głos krzyknęli:

— Za-czy-naj!

Zagrzytały i skrzypnęły bloki, zabrzęczały łańcuchy, wyprężając się od zawieszono-ego na nich ciężaru; robotnicy, oparłszy się piersiami o ramiona kołowrotu, ryczeli i ciężko tupali po pokładzie. Fale z szumem pluskały między barkami, jakby nie chcąc ludziom dać wydrzeć swej zdobyczy. Wszędzie dokoła Tomasza wyciągały się łańcuchy i liny drżały od napięcia, jak ogromne szare robaki pełzały po pokładzie, mimo jego nóg, niewiadomo dokąd, podnosiły się do góry, ogniwo za ogniwo, potem spadały z łoskotem — wszystkie jednak dźwięki tłumił ogłuszający ryk robotników.

— Wszy-scy razem, razem, razem... — śpiewali zgodnie triumfująco. A w potężną falę ich głosów wbijał się, jak ostrze noża, dźwięczny głos przedsiębiorcy.

— Starajcie się, działkil!... — razem... razem...

Dziwne wzruszenie opanowało Tomasza: porywała go nieprzeczwyciężona chęć wzmieszania się w ten gwar podnieconych głosów, szeroki i potężny, jak rzeka, w ten denerwujący hałas, zgrzyt i szcęk żelaza i głuchy szum fal. Walcząc z tem pragnieniem, drżał cały, a pot oblewał mu czoło; nagle oderwał się od masztu i jednym skokiem dopadł do kołowrotu, błady ze wzruszenia.

— Ra-zem! ra-zem... — wołał dzikim głosem. Z impetem uderzył piersią o ramię kołowrotu i, nie czując bólu, jał z rykiem chodzić dokoła, opierając się silnie nogami o pokład. Coś potężnego, gorącego wlewało mu się do piersi, zastępując te siły, które zużywał na obracanie dźwigni. Opanowała go radość niewysłowiona, która wylewała się na zewnątrz w formie podniesionego krzyku. Doznawał wrażenia, jakgdyby sam jeden, własną siłą obracał dźwignię, podnosił ciężar i jakgdyby siła ta wciąż wzrastała. Pochylony naprzód, z głową spuszczoną, siedł jak byk na spotkanie siły ciężenia, odpychającej go wtył, a jednak mu ustępującej. Każdy krok naprzód podniecał go jeszcze więcej, każdy zużyty wysiłek wnet zastępowało palące uczucie dumy, w głowie mu się kręciło, oczy krwią nabiegły, nie widział nic, czuł tylko, że wszystko mu ustępuje, że on zwycięży, że zaraz oto obali własną siłą coś ogromnego, coś zastępującego mu drogę — obali, zwalczy, a wtedy odetchnie lekko, swobodnie, pełen dumnej radości. Po raz pierwszy w życiu doznał tak podniosłego, potężnego uczucia, i całą mocą swej chciwej, zgłodniałej duszy wchłaniał je, upajał się niem i głośniami, pełnemi radości okrzykami wyrażał swą radość, wołając wraz z robotnikami:

— No, ra-żem, no, razem, razem...

— Stój! Trzymać! Stój!

Coś trąciło Tomasza w piersi i odrzuciło wtył...

— Winszuję pomyślnego ukończenia, Tomaszu Ignatjewiczu! — mówił doń przedsięwiorca, i zmarszczki na jego twarzy drżały radośnie. — Chwała Bogu! Ale zmęczył się pan, co?

Chłodny wiatr dął w twarz Tomaszowi. Szmer zadowolenia rozlegał się dokoła niego; przekomarzając się żartobliwie, rozweseleni chłopcy zbliżali się do niego z uśmiechem na spoconych twarzach i otaczali go zwartem kołem. W rozlargnieniu uśmiechał się: podniecenie, z którego jeszcze nie ochłonął, nie pozwalało mu zrozumieć, co się stało i czemu wszyscy naokół tak są uradowani i zadowoleni.

— Sto siedemdziesiąt tysięcy pudów niby rzodkiew z grzędy wyrwaliśmy — odezwał się ktoś.

— Powinienby właściciel za to przynajmniej wiaderko wódki wystawić...

Stojąc na zwojach lin, Tomasz patrzył przez głowy robotników i oto ujrzał, że między barkami, tuż przy nich, wynurzyła się z wody trzecia barka, czarna, śliska, rozbita, łańcuchami oplątana. Pognieciona cała, jakgdyby spuchnięta wskutek jakiejś strasznej choroby, bezradna i niedołączna, zawisała nad wodą między towarzyszkami swemi, opierając się o nie. Pośrodku niej sterczał rozpaczliwie złamany maszt: po okrytym plamami rdzy pokładzie sączyły się czerwone strugi wody, do krwi podobne. Tu i ówdzie na pokładzie leżały rozrzucone kupy żelastwa, czarne, mokre odłamki drzewa, sznurury...

Tłum. Edward Chwalewik.

O SZARYM

Na ziemi — tak rozpoczyna się powiastka — spór toczą ze sobą Czerwony i Czarny. Nienasycona żądza władzy nad ludźmi stanowi siłę Czarnego.

Czerwony zaś gorąco pragnie widzieć życie wolnem, rozzumnem i pięknem. W tem życzeniu jego siła.

Jego myśl, zawsze drżąca od wzruszenia, oświetla ciemność życia gorącym płomieniem piękna, groźną luną prawdy, cichem światłem miłości. Jego myśl zapaliła wszędzie potężny płomień wolności i ten ogień radośnie i gorąco obejmuje naszą ciemną, ślepą ziemię wielkiem marzeniem o szczęściu dla wszystkich.

Powiada on:

«Wszystko — dla wszystkich! Wszyscy są równi, w sercu każdego jest ukryty cały świat piękna, nie można kaleczyć istoty ludzkiej, zamieniając ją na tępe narzędzie bezmyślnej siły. Nikt nie powinien ulegać, nikt nie ma prawa zmuszać do uległości, władza dla władzy jest występkiem».

Pomiędzy Czarnym a Czerwonym nieśmiało i prędiutko szwędą się malutki jednostajny Szary. On lubi tylko ciepło syte, wygod pełne życie i dla swego zamiłowania strzepi swą duszę, jak zgłodniała kobieta uliczna swe znikome ciało. Gotów jest on służyć niewolniczo wszelkiej sile, aby tylko zapewniła mu dostatek i spokój. Całe życie jest dla niego lustrem, w którym widzi on tylko siebie. Jest bardzo żywotny, gdyż posiada wszystkie talenta pasorzyta, wszystko mu jedno, od kogo otrzymuje jado — od człowieka czy zwierzęcia, geniusza lub idjoty. Jego dusza jest tronem śliskiej żaby, która zwie się podłością, jego serce jest rezerwuarem tchórzliwej ostrożności. On chce używać rozkoszy, i zarazem niepokoi go obawa — to go robi fałszywym i podwójnym.

Jeżeli w walce o władzę zwycięża Czarny, Szary ostrożnie podjudza Czerwonego: «Patrz, jak rośnie reakcja». Jeżeli zwycięstwo odnosi rycerz wolności i prawdy, Szary donosi Czarnemu: «Strzeż się — rozwija się anarchja!» Jego cielcem jest zawsze jedno: spokój i porządek — dla siebie. I bodaj za cenę duchowej śmierci całego kraju. Gdy czuje on, że Czarny zmęczył się walką, miesza się do sporu, który toczą pomiędzy sobą Czarny i Czerwony, i zawsze oszukuje obydwu. Z uszanowaniem, ostrożnie powiada on Czarnemu: «Ma się rozumieć, ludzie — to bydło, i pastuch jest dla nich niezbędny, ale zdaje mi się, już pora zwiększyć obszar pastwiska. Jeśli do tego, co mają,

dodać jeszcze troszeczkę, to chociaż mniej będą mieli, aniżeli to, czego sobie życzą, ale zawsze więcej, niż teraz. To ich uspokoi, i Czerwony przestanie być niebezpiecznym — przecież cała siła jego polega na tem ich niezadowoleniu. Proszę mi pozwolić, ja pomogę to urządzić».

Pozwalają mu, i on urządza dla siebie życie dostatnie, ciepłe, pełne zadowolenia.

Czarny, zlewając się z Szarym, staje się jakgdyby mniej okrutny, ale bardziej głupi i podły. Czerwony rozpala się goręcej.

Wówczas Szary przemawia pouczająco do Czerwonego: «Naturalnie, już czas życie zastosować do ideału, ale odrazu nie można przecież zadowolić wszystkich! Troszeczkę dziś, troszkę jutro, koniec końców ludzie będą mieli wszystko. Rachunek — to entuzjazm mędrca... Czarny ustąpi, jeżeli będziemy działać ostrożnie... pozwólcie, ja pomówię z nim szczerze...»

I pozwalają mu czy też odmawiają — on urządza dla siebie życie ciepłe, wygodne, zaciszne...

Czerwony staje się coraz bledszy. Czarny szerzej rozłacza skrzydła swej władzy, życie staje się ciemniejsze, oddech życia wolniej... Szary napawa się szczęściem spokoju. Może on zdradzić i sprzedać, zdolny jest do wszystkiego, ale nigdy nie działa uczciwie i nigdy piękny nie jest.

Ta mała, dwuduszna gadzina zajmuje zawsze środek pomiędzy ostatecznościami, przeszkadzając im swoją samolubną krzątaniną — rozwinąć się do końca, do absurdu, do ideału. Rozpływając się pośrodku, bezkarnie miesza on dwa zasadnicze kolory życia w jeden kolor bezbarwny, nudny, brudny...

Szary zatrzymuje śmierć tego, co już żyć przestało, utrudnia rośnięcie tego, co żywotne; on to jest wściecznym wrogiem wszystkiego, co jaskrawe i śmiałe.

Przekł. bezim. w t. V «Czytelnia robotniczej» (Kraków 1906).

LEONID ANDREJEW

(1871—1919)

OPOWIEŚĆ O SIEDMIU POWIESZONYCH

(Wyjątek)

Straszliwa samotność

Przy tym samym dźwięku zegara, oddzielony od Sergjusza i Musi kilkoma pustymi celami, lecz tak straszliwie samotny, jakgdyby na całym świecie istniał tylko on jeden, w trwodze i udręce kończył swe życie nieszczęsny Wasyl Kaszyrin.

Spocony, w przyklepionej do ciała mokrej koszuli, z pomierzwionemi, dawniej kędzierzawemi włosami, kurczowo i beznadziejnie rzucał się po celi, jak człowiek, cierpiący na nieznośny ból zębów. Przysiadał, to znowu biegał, przyciskał czoło do ściany, zatrzymywał się i szukał czegoś oczyma — jakgdyby szukał lekarstwa. Tak się zmienił, jakby posiadał dwie twarze — i ta dawna, młoda, gdzieś odeszła, a zamiast niej zjawiała się nowa, straszna, wyloniona z ciemności.

Obawa śmierci zjawiała się u niego odrazu i owładnęła nim niepodzielnie. Jeszcze rano, idąc na pewną śmierć, spoufalął się z nią, a już pod wieczór, zamknięty w pojedynczej celi, został porwany i zachłysnął się falą wściekłego strachu. Dopóki sam, z własnej woli szedł na niebezpieczeństwo i śmierć, dopóki swą śmierć, choćby najstraszniejszą, trzymał we własnych rękach, było mu lekko, a nawet wesoło: w poczuciu bezgranicznej swobody, śmiało i twardego opanowania swej zuchwałej i nieustraszonej woli tonął bez śladu maleńki, pomarszczony, jakgdyby starczy straszek. Opasany maszyną piekielną, sam jakgdyby zamienił się w maszynę piekielną, wchłonał w siebie okrutną mądrość dynamitu, przyswoił sobie jego ogniową, śmiercionośną moc. I idąc ulicami, pełnemi śpieszących się, zwyczajnych, zajętych swemi sprawami ludzi, uciekających przed końmi dorożkarskimi i tramwajami, sam sobie wydawał się przybysem z innego, nieznanego świata, gdzie nie znają ani śmierci, ani strachu.

I nagle, odrazu, ostra, dzika, oszalamiająca zmiana. Już nie idzie, dokąd sam chce, lecz wiozą go — dokąd chcą. Już nie wybiera sobie miejsca, lecz wsadzają go do kamiennej klatki i zamykają na klucz, jak rzecz. Nie może już wybierać swobodnie życia lub śmierci, jak wszyscy ludzie, lecz na pewno i niechybnie go usmiercą. Przed chwilą jeszcze będąc wcieleniem woli, życia i siły, staje się żalosnym przykładem jedynej na świecie bezsilności, zamienia się w zwierzę, oczekujące rzezi, w głuchą i niemą rzecz, którą można przestawiać, palić, łamać. Cokolwiekby mówił, słów jego słuchać nie będą, a jeżeli zacznie krzyczeć, zatkną mu usta szmatą i, czy będzie sam poruszał nogami, czy nie, pociągną go i powieszą; i choćby się opierał, choćby się położył na ziemi — przełamią jego opór, podniosą go, zwiążą i związanego zaniosą pod szubienicę. I to, że tę mechaniczną pracę nad nim spełnią tacy sami ludzie, jak on, nadaje tym ludziom nowy, niezwykły i złowieszczy wygląd: jakby jakichś widm, czegoś zamaskowanego, co się tylko tak umyślnie zjawilo, albo mechanicznych lalek na sprężynie: biorą, chwytają, prowadzą, wieszają, ciągną za nogi. Odcinają powróż, kładą, wiozą, zakopują.

I od pierwszego dnia więzienia ludzie i życie zamieniły się dla niego w niezrozumiale okropny świat widm i lalek mechanicznych. Prawie oszalały z przerażenia, starał się sobie wyobrazić, że ludzie posiadają język i mówią, i nie mógł — ludzie wydawali mu się niemi; starał się przypomnieć sobie ich mowę, znaczenie słów, których używają w stosunkach ze sobą — i nie mógł. Usta się otwierają, coś dźwięczy, potem się rozchodzą, przebierając nogami, i nic niema.

Tak samo czułby się człowiek, gdyby w nocy, kiedy jest sam jeden w domu, wszystkie przedmioty ożyły, zaczęły się poruszać i zdobyły nad nim, człowiekiem, nieograniczoną władzę. Nagle zaczęłyby go sądzić: szafa, krzesło, biurko i kanapa. Krzyczałby i rzucił się, błagał, wzywał na pomoc, a oneby coś do siebie mówiły, a potem poprowadziłyby na powieszenie: szafa, krzesło, biurko i kanapa. I reszta rzeczy patrzyłaby na to.

I wszystko zaczęło się wydawać zabawkowem Wasylowi Kaszyrinowi, skazanemu na śmierć przez powieszenie: jego cela, drzwi z okienkiem, dźwięk nakręconego zegara, sumiennie otynkowana twierdza, a w szczególności ta mechaniczna lalka z karabinem, która stuka nogami na korytarzu, i te inne, które, strasząc go, zaglądają przez okienko i w milczeniu podają jadło. I to, czego doznawał, nie było strachem przed śmiercią; on raczej pragnął śmierci: ta, przy całej swej odwiecznej zagadkowości i tajemniczości, była bardziej dostępna dla rozumu, niż ten tak dziko i fantastycznie odmieniony świat. Co więcej, śmierć jakby zupełnie zniknęła w tym obłądnym świecie widm i lalek, traciła swą wielką i zagadkową treść, stawała się tak samo czemś mechanicznym i tylko dlatego straszniejszym. Biorą, chwytają, prowadzą, wieszają, ciągną za nogi. Odcinają powróż, kładą, wiozą, zakopują.

Człowiek zniknął ze świata.

Na sądzie obecność towarzyszy wróciła Kaszyrinowi władzę nad sobą i znowu, na chwilę, zobaczył ludzi: siedzą i sądzą go, i mówią coś w ludzkim języku, słuchają i jakgdyby rozumieją. Ale już podczas widzenia się z matką poczuł wyraźnie, z przerażeniem człowieka, który zaczyna dostawać pomieszania zmysłów i zdaje sobie z tego sprawę, że ta stara kobieta w czarnej chustce — jest poprostu sztucznie zrobioną lalką mechaniczną z rodzaju tych, które mówią: — «pa-pa», «ma-ma» — tylko lepiej zrobioną. Starał się z nią mówić, a równocześnie, wzdrygając się, myślał:

«Boże! Przecież to lalka. Lalka-matka. A ta oto lalka-żołnierz, a tam w domu lalka-ojciec, a to—to lalka-Wasył Kaszyrin».

Zdawało mu się, że jeszcze trochę, a usłyszy trzask mechanizmu, skrzyp nieposmarowanych kółek. Kiedy matka zaczęła płakać, na chwilę znów dojrzał coś ludzkiego, lecz znikło to po pierwszych jej słowach i zaczęło być ciekawe i straszne, iż z oczu lalki płynie woda.

Potem, w swej celi, kiedy przerażenie stało się nieznośne, Wasyl Kaszyrin spróbował się modlić. Ze wszystkiego tego, co jako religja otaczało jego młodzieńcze życie w ojcowskim kupieckim domu, pozostał tylko wstrętny, gorzki i drażniący osad — i wiary nie było. Ale kiedyś — być może, jeszcze we wczesnym dzieciństwie — usłyszał

dwa słowa i te napęłniły go drżącym wzruszeniem, a potem na całe życie pozostały owiane cichą poezją. Były to słowa:

— Pocieszycielko strapionych.

Zdarzało się, że w ciężkich chwilach szepnie do siebie, bez modlitwy, nie zdając sobie dokładnie sprawy: «Pocieszycielko strapionych» — i nagle robi mu się lżej i przyjdzie ochota pójść do kogoś miłego i skarżyć mu się cicho:

— Nasze życie... czyż to życie!? Ech, moja miła, czyż to życie?

A potem nagle i na śmiech mu się zbierze, i zechce mu się targać włosy, wyrzucać kolanami, podstawić pierś pod czyjeś uderzenia: — «Masz, bij!»

Nikomu, nawet najbliższemu towarzyszom, nie mówił o swojej «Pocieszycielce strapionych», i nawet sam jakgdyby o niej nie wiedział — tak głęboko była ukryta w jego duszy. I wspominał o niej rzadko, ostrożnie.

I teraz, gdy strach wobec nierozwiązanej, stojącej przed nim tajemnicy pokrył go wraz z głową, jak podczas powodzi fala pokrywa nadbrzeżną łąkę — zapragnął się pomodlić. Chciał ukłęknać, ale zawstydził się żołnierza i, skrzyżowawszy ręce na piersiach, szepnął cicho:

— Pocieszycielko strapionych!

I z udręką, wymawiając błagalnie, powtórzył:

— Pocieszycielko strapionych, przyjdź do mnie, dopomóż Waśce Kaszyrinowi.

Dawno już, jeszcze kiedy był na pierwszym kursie uniwersytetu i hulał, przed poznaniem Wernera i wstąpieniem do organizacji, nazywał sam siebie z odcieniem dumy i politowania: «Wąską Kaszyrinem» — teraz, niewiedomo dlaczego, zachciało mu się tak samo się nazwać. Lecz martwo i bez echa zabrzmiały słowa:

— Pocieszycielko strapionych!

Coś się zakółsało. Jakgdyby przepłynęło w oddaleniu czyjeś ciche i bolesne oblicze i cicho zagasło, nie rozjaśnwszy przedśmiertnego mroku. Na dzwonnicy szedł zegar. Zastukał czemś, szabłą czy też karabinem, żołnierz na korytarzu i przeciągle, z przestankami ziewnął.

— Pocieszycielko strapionych! Milczysz! Nic nie chcesz powiedzieć Waśce Kaszyrinowi?

Uśmiechał się błagalnie i czekał. Lecz pusto było i w duszy, i wokół. I nie ukazało się ciche i bolesne oblicze. Niepotrzebnie i męcząco przypominały się woskowe, gorejące świece, pop w sutannie, obraz, namalowany na ścianie, i jak ojciec, schylając się i podnosząc, modli się i bije pokłony, patrząc zpodelba, czy Waska też się modli i czy czasem nie zajmuje się figlami. I zrobiło mu się jeszcze straszniej, niż przed modlitwą.

Wszystko znikło.

Zwolna nadpełzało szaleństwo. Świadomość gasła, jak wypalone i rozrzucone ognisko, oziębiała się, jak trup dopiero co zmarłego człowieka, który ma jeszcze ciepło w sercu, choć ręce i nogi skostniały. Raz jeszcze, błysnąwszy krwawo, powiedziała gasnąca myśl, że on, Wasyl Kaszyrin, może tu zwarjować, doznać męczarni, dla których niema nazwy, dojsć do takiego bólu i cierpień, do jakich nie dochodziła żadna żywa istota; że może bić głową o ścianę, wylupić sobie palcem oczy, mówić i krzyczeć, co mu się podoba, przekonywać ze łzami, że więcej nie może wytrzymać — i nic. Będzie nic.

I to nic nastąpiło. Nogi, które posiadają swą własną świadomość i własne życie, w dalszym ciągu chodziły i nosiły drżące, mokre ciało. Ręce, które posiadają swą własną świadomość, nadaremnie starały się zapiąć odchylający się na piersi kaftan i ogrzać drżące, mokre ciało. Ciało trzęsło się i ziębło. Oczy patrzyły. Był to już prawie spokój.

Jednakże była jeszcze jedna chwila dzikiego przerażenia. To, kiedy weszli ludzie. Nawet nie pomyślał, że to znaczy — czas jechać na egzekucję, lecz poprostu zobaczył ludzi i przestraszył się prawie po dziecinnemu.

— Już nie będę! Nie będę! — szeptał niedosłyszalnie zmartwiałymi wargami i cicho odsuwał się w głąb celi, jak w dzieciństwie, kiedy ojciec podnosił rękę.

— Trzeba jechać.

Mówią, chodzą wkoło, coś podają. Zamknął oczy, zachwiał się — i z trudem zaczął się zbierać. Widocznie świadomość poczęła wracać: nagle poprosił urzędnika o papierosa. I ten uprzejmie otworzył srebrną papierošnicę z dekadencjnym rysunkiem.

Tłum. Władysław Broniewski.

BEN-TOWIT

Tego strasznego dnia, kiedy się stała największa niesprawiedliwość świata, kiedy na Golgocie pomiędzy zbrojcami ukrzyżowany został Jezus Chrystus — tego dnia od rana szalenie rozboleły zęby jerozolimskiego kupca Ben-Towita. Zaczęło się to jeszcze w przeddzień wieczorem: lekkie rwanie w prawej szczęce i ząb — ten ostatni przed zębem mądrości, jakgdyby podniósł się trochę, a kiedy dotknął go język, dawał lekkie wrażenie bólu. Po jedzeniu jednak ból ustal zupełnie, i Ben-Towit zapomniał o nim — tego dnia korzystnie zamienił swego starego osła na młodego i silnego, więc był wesoly i nie przywiązywał wielkiej wagi do złych przepowiedni.

Spał dobrze i mocno, ale przed wschodem słońca uczuł jakąś dziwną trwoę, jakgdyby ktoś wzywał go w jakiejś bardzo ważnej sprawie, i gdy się obudził zagniewany — boleły go zęby, boleły już wyraźnie i zawzięcie, całą pełnią ostrego, świdrującego bólu. I już nie można było zrozumieć, czy boli tylko wczorajszy ząb, czy też dołączyły się do niego inne; całe usta i głowa pełne były okropnego bólu, jakgdyby Ben-Towitowi kazali żuć tysiące rozpalonych do czerwoności, ostrych gwoździ. Wziął do ust wody z glinianego dzbanka — na chwilę siła bólu zmniejszyła się, zęby drgnęły, niby rozkołysane, i to wrażenie było wprost przyjemne w porównaniu z poprzednim. Ben-Towit położył się znowu, przypomniał sobie nowego osła, pomyślał, jak bardzo czulby się szczęśliwy, gdyby nie te zęby, i chciał zasnąć. Ale woda była ciepła — w przeciągu pięciu minut ból wrócił z większym jeszcze okrucieństwem niż dotąd, i Ben-Towit znowu siedział na łóżku, kiwając się jak wahadło. Cała skóra na twarzy zmarszczyła się i zebrała koło dużego nosa, a na nosie, bladym z bólu, zastygła kropelka zimnego potu. Tak kołyszając się i jęcząc z bólu, powitał pierwsze promienie słońca, któremu było przeznaczone widzieć Golgotę z trzema krzyżami i zagasnąć z przerażenia i smutku.

Ben-Towit był dobrym człowiekiem, nie lubiącym niesprawiedliwości, ale, kiedy się obudziła żona jego, on, z wysiłkiem otwierając usta, nagadał jej dużo nieprzyjemnych rzeczy i uskarżał się, że go zostawili samego, jak szakala, wyjącego i żymającego się w okropnej męce. Żona cierpliwie przyjęła niezastużone zarzuty, bo wiedziała, że nie ze złego serca idą, i przyniosła dużo dobrych lekarstw: czystego pomiotu mysiego, którym należy okładać twarz, ostrej esencji skorpionowej i autentyczny kawałek kamienia z rozbitej przez Mojżesza tablicy przykazań. Mysi pomiot pomógł trochę, ale nie na długo, tak samo esencja i kamyk, ale za każdym razem, po krótkim polepszeniu, ból wracał z nową siłą. I w krótkich chwilach wytchnienia Ben-Towit pocieszał się myślą o osiolku i marzył o nim, a gdy znowu robiło się gorzej, jęczał, gniewał się na żonę i groził, że rozbije sobie głowę o kamień, jeśli ból nie ustanie. I przez cały czas chodził z kąta w kąt po płaskim dachu swego domu, wstydzając się podejść blisko do zewnętrznego brzegu, bo całą głowę miał obwiązaną chustką, jak kobieta. Kilka razy przybiegały doń dzieci i opowiadały coś przerywanymi głosami o Jezusie z Nazaretu. Ben-Towit zatrzymywał się na chwilę, słuchał ich, ściągawszy skórę na twarzy, ale potem gniewnie tupał nogą i przepędzał: był dobrym człowiekiem i kochał dzieci, ale teraz gniewał się, że przychodzą do niego z takim głupstwem.

Przykre było i to, że na ulicy i na pobliskich dachach zebrało się dużo ludzi, którzy nie nie robili i ciekawie patrzyli na Ben-Towita, okręconego chustką, jak kobieta. I chciał już zejść nadół, kiedy żona powiedziała mu:

— Spójrz, oto prowadzą zbrojców. Może cię to rozerwie.

— Daj spokój, na Boga. Czyż nie widzisz, jak bardzo cierpię? — odpowiedział podrażniony Ben-Towit. Ale w słowach żony brzmiała niepewna obietnica, że ból może ustać, więc mimowoli podszedł do poręczy. Pochylając głowę nabok i przymykając jedno oko, podparł ręką chory policzek i z pogardliwie płaczącym wyrazem twarzy patrzył nadół.

W wąskiej uliczce, podnoszącej się wgórę, w nieładzie posuwał się ogromny tłum, owiany kurzem i niemilknącym krzykiem. Wpośrodku, pochyleni pod ciężarem krzyżów, szli przestępcy, a nad nimi zwijały się, jak czarne węże, biecze rzymskich żołnierzy. Jeden z nich — ten z długimi jasnymi włosami, w rozdartym skrwawionym chitonie, potknął się o rzucony pod nogi kamień i upadł. Krzyki stały się głośniejsze, i tłum, niby różnokolorowa woda morską, zwał się nad padającym. Ben-Towit drgnął nagle z bólu — zdawało się, że w ząb wetknął ktoś rozpaloną igłę i pokręcił ją; Ben-Towit jęknął: u-u-u — i odszedł od poręczy, pogardliwie obojętny i zły.

— Jak oni krzyczą! — powiedział z zazdrością, wyobrażając sobie szeroko rozwarte usta z mocnymi niebolącymi zębami, i to, jak krzyczałby sam, gdyby był zdrow. I od tej myśli ból wzmógł się tak bardzo, że począł prędko kręcić owiniętą głową i ryczeć m-u-u.

— Opowiadają, że On uzdrawia ślepych — powiedziała żona, stając na samym brzegu dachu i rzucając kamyczek w tym kierunku, skąd powoli dźwigał się podniesiony biczami Jezus.

— Naturalnie! Niechno uzdrowi mój ból zębów — ironicznie odpowiedział Ben-Towit i, podrażniony, dodał z goryczą: Jaki kurz robią! zupełnie jak stado? Należałoby ich wszystkich rozpędzić kijami! Odprowadź mię nadół, Saro!

Żona miała rację: widowisko rozerwało trochę Ben-Towita albo może to pomógł wreszcie pomiot mysi, bo udało mu się nareszcie usnąć. A gdy się przebudził, ból zniknął prawie zupełnie, i tylko na prawej szczęce zjawił się mały guzik fluksji, tak mały, że go ledwie można było zauważyć. Żona mówiła, że zupełnie nie znać, ale Ben-Towit uśmiechał się znacząco: wiedział jaką dobrą ma żonę, lubiącą zawsze powiedzieć coś przyjemnego.

Przyszła sasiad, garbarz Samuel, i Ben-Towit poprowadził go do nowego osiołka i z dumą wysłuchał pochwały dla siebie i zwierzęcia.

Potem, stosując się do próśb ciekawej Sary, wszyscy troje poszli na Golgotę popatrzeć na ukrzyżowanych. Po drodze Ben-Towit opowiadał Samuelowi od samego początku, jak wczoraj poczuł darcie w prawej szczęce i jak potem w nocy obudził go straszny ból. Żeby było dokładnie i obrazowo, robił cierpiącą twarz, zamykał oczy, kręcił głową i jęczał, a siwobrody Samuel współczująco kiwał głową i mówił:

— Aj-aj-aj! Jak boli!

Ben-Towitowi podobała się zachęta, więc powtórzył opowiadanie, a potem sięgnął wspomnieniem tych czasów, kiedy mu się zepsuł tylko jeden pierwszy ząb — wdole, z lewej strony. W tak ożywionej rozmowie przyszli na Golgotę. Słońce, skazane na to, by przyświecało ziemi w ten straszny dzień, szło już za dalekie wzgórza i na zachodzie paliło się, jak krwawy ślad, wąskim purpurowym pasem.

Na tem tle niewyraźnie ciemniały krzyże, i u stóp środkowego niejasno bieleły jakieś kłęzące postacie.

Tłumy rozeszły się dawno; robiło się zimno, i przelotnie spojrzawszy na ukrzyżowanych, Ben-Towit wziął Samuela pod rękę i ostrożnie zawrócił go do domu. Poczul się bardzo wymownym i chciał dokończyć opowiadania o bólu zębów. Tak wracali, i Ben-Towit przy współczujących skinieniach i wykrzykniach Samuela robił cierpiącą twarz, kręcił głową i jęczał sztucznie, a z głębokich wąwozów, z dalekich opalonych równin podnosiła się czarna noc: jakgdyby chciała ukryć od spojrzeń nieba wielką zbrodnię ziemi.

Tłum. Idalja Badowska.

TEODOR SOŁOGUB (TIETIERNIKOW)

(1863—1927)

CZARCIA HUŚTAWA

Nad rzeką gdzieś kołlawe
Chojary w cieniu drżą,
Rozhuśtał czart huśtawę
Kosmatą łapą swą.

Hej, czarci śmiech ją niesie,
To wprost, to wspak,
To wprost, to wspak,
A deska skrzypi, gnie się,

Sznur naprężony trze się
O twardy sęk, o hak.

Przeciągle skrzypi, stęka
Rozchwianej deski ruch,
A czart ze śmiechu pęka,
Trzymając się za brzuch.

Ja huśtam się i zmagam,
To wprost, to wstecz,
To wprost, to wstecz,
Podnoszę się, opadam,
Omdlałym wzrokiem błagam:
O, czarciel idź-że precz!

Błękitny bies nad jodłą
Chichocze, stroi żart:
— Gdy tu cię licho zwiódło,
To hulaj, pal cię czart!

Pod jodłą piszcza żwawe
Czeready czarcich wart:
— Gdy wpadłeś na huśtawę,
To hulaj, pal cię czart!

Wiem, czart tak długo będzie
Huśtawę huślać, nieść,
Aż skusi mnie w rozpędzie
Zamachem groźna pięść.

Aż pęknie sznur z konopi,
Podnosząc mnie pod strop,
Aż mi pod chwiejne stopy
Podwinie się mój glob.

Przez jodłę fiknę nagle
I łbem o ziemię trach!
Więc huśtaj, huśtaj, djable,
Wciąż wyżej, wyżej... ach!

ANIOŁOWE LICA

Aniołowe lica,
Jasnej chwały pienie,
Kadzidlane dymy,
U Stwórcy-Rodzica
Wieczne ukojenie
Mąk, które cierpimy.

Anioł tak zaczyna:
— Chłopcze blade, czemu tobie
Ziemskie zbrzydły już granice?
Mówi mu chłopczyzna:
— Ach, źle było mi, chudobie,
Zamęczyli mnie rodzice.

A u Stwórcy-Rodzica
Wieczne ukojenie
Mąk, które cierpimy,
Aniołowe lica,
Jasnej chwały pienie,
Kadzidlane dymy.

Cały dzień mnie klęli,
Nocą mi związali ręce,
Tłukli mnie po nagiem ciełe,
Potem na strych wzięli,
Różgami ćwiczili w męce,
Więc umarłem, mój aniele!

Aniołowe lica,
Jasnej chwały pienie,
Kadzidlane dymy,
U Stwórcy-Rodzica
Wieczne ukojenie
Mąk, które cierpimy.

[WYJDŹ PRZED DOM...]

Wyjdź przed dom jeszcze raz
I zagrodę swą obejdz dokoła,
Niespokojny jest czas:
Może ktoś cię zdaleka zawoła.

Czekaj, nie kładź się... Wiedz,
Że ktoś może cię wzywać dziś nocą,
Wtedy wdał trzeba bieć!
Czyż nie pójdziesz natychmiast z pomocą?

Czyżbyś mógł zresztą spać?
Pomyśl jeno, że z mroku z za ściany
Zacznie wołać ktoś, lkać,
Może chory, samotny, znękany.

Wyjdź przed wrota — i tam
Stań z latarką, słuch wyteż wśród nocy,
Choćbyś zginąć miał sam,
Ratuj tego, kto wzywa pomocy.

Thum. Julian Tuwim.

DYMITR MEREŻKOWSKI

(ur. 1865)

MICHAŁ ANIOŁ

(Wyjątek)

Michał Anioł wszedł do obszernej, półmrocznej sali, która służyła papieżowi za salę jadalną. Na sklepieniu freski Giotta błyszczały starem złotem. Ściany były obwieszane drogocennymi tkaninami z Flandrii, o tonach nikłych, wybladłych, przedstawiającymi mity pogańskie, porwanie Europy, śmierć Adonisa i inne. Niżej, wzdłuż ścian, ustawiono ławy z ciemnego drzewa, o wysokich rzeźbionych oparciach. Papież skończył śniadanie i zajmował się interesami. Sekretarz czytał mu depesze, otrzymane z Bolonji. Żadnego szmeru — kardynałowie i kilku dworzan, siedzących przy stole, rozmawiali przyciszonymi głosami. W dusznym powietrzu unosił się jeszcze delikatny aromat korzeni. Służba, wchodząc i wychodząc na znak mistrza ceremonji, sunęła cicho, niby cienie. Pierwszy lekarz dworu wlewał do szklanki wina, przygotowanej dla papieża, krople, które liczył starannie. U stóp Jego Świątobliwości na jedwabnej, haftowanej złotem poduszce siedział dziwny młodzieniec niezwykle piękności, ni błazen, ni pan, w szatach pół dziecinnych, pół niewieścich. Miał długie jasne kędziory i piękne złośliwe oczy. Pocichutku, by nie przeszkadzać czytaniu, dotykał niedbale strun lutni. Był to wszechmocny faworyt straszego Juljusza II., Ganimed tego Jowisza, serenissime camerier Accorsio. I to dziecko siedemnastoletnie posiadało klucze do papieskiego serca, jak papież posiadał klucze do nieba.

Na stole promień słońca pełzał i rozszczepiał się w kryształowym kubku z niedopitem winem, igrał na majolikowych misach, czepiał się białej brody papieża, odcinającej się ostro na karmazynie szerokiej aksamitnej stuły, połyskiwał w wielkim rubinie pierścienia na szczupłej i białej ręce starca.

On — siedział trochę zgarbiony, oba łokcie oparłszy o poręczę fotelu, odsuniętego od stołu. Aksamitna czapeczka (scufia), również karmazynowej barwy, nasunięta na czoło, pokrywała nagą czaszkę.

Choroby zostawiły ślady na tej znużonej twarzy o zapadniętych policzkach. Ale jego wąskie zaciśnięte wargi wyrażały jeszcze nieposkromiony upór i pewność władzy; pod krzaczastymi brwiami, w głębokich oczach błyszczał płomień woli, niepokonanej chorobą. — A kiedy oczy te zapalały się gniewem, spojrzenie ich — przerażało. Michał Anioł wchodził do sali jadalnej, gdy sekretarz skończył odczytywanie depesz. Juljusz II spostrzegł Buonarottiego i rzucił nań szybkie niezadowolone spojrzenie.

Artysta rozumiał, że przybył nie wporę. Nic do nikogo nie mówiąc, zatrzymał się samotnie pod oknem, oczekując swej kolei.

Jakiś starzec o brudnych rękach, rozgadany, ruchliwy, tłusty, okrągły, jak kula, zbliżył się do papieża; był to jubiler dworu. Mówił o zakupie drogich kamieni, przeznaczonych do ozdoby krzyża, zamówionego przez Juljusza II, do kaplicy Sykstyńskiej.

Papież, nie słuchając go, przymknął znużone powieki. Jubiler, sądząc, że śpi, przestał gadać. Lecz Juljusz II otwarł oczy i rzucił gniewnie: Pieniądze zostały?

— Nie, Wasza Świątobliwość, wydałem wszystko, co mi było przeznaczone. Pozwalam sobie upraszać Waszą Świątobliwość o dodatek. Ormianin Dżem proponuje mi za bezcen dwa karbunkuly i szmaragd. Jeżeli Wasza Świątobliwość...

— Dość — rzekł papież z gestem zniecierpliwienia — mówię ci, dość, odejź!

Jubiler chciał coś odrzec, ale Juljusz II krzyknął:

— Idź do djabła i pamiętaj, że nie dam ci więcej ani solda ni na duże, ni na małe kamienie...

Michał Anioł pojął, co znaczy przymówka o «dużych kamieniach» i zrozumiał zwróconą do niego aluzję. — Skoro przyszła jego kolej, zbliżył się do Juljusza II ze swemi szkicami, planami i rachunkami. Papież rzucił nań pogardliwe spojrzenie.

— Nie mam czasu — rzekł i niecierpliwie poruszył się na fotelu. Przyjźdź w poniedziałek.

— Ojcie Święty — odrzekł Michał Anioł głosem spokojnym, lecz stanowczym —

proszę, racz przejrzeć te rachunki. Robotnicy żądają słusznej zapłaty i nie można dłużej zwlekać. Zechciej rozkazać skarbnikowi, by wydał mi należną sumę; w przeciwnym razie będę zmuszony zapłacić z własnych funduszków za marmur na Wasze mauzoleum.

Juljusz II uważnie, jakby zdziwiony, spojrział na Michała Anioła. Artysta wytrzymał to spojrzenie bez spuszczenia oczu.— Wszyscy zamarli w oczekiwaniu. Accorsio, poniechawszy mandoliny, podniósł głowę z wesołą, przebiegłą ciekawością.

Juljusz nie odpowiedział nic, lecz odsunął od siebie papiery i rachunki, tak iż upadły na podłogę. Potem, nie zwracając na Buonarottiego najmniejszej uwagi, jakby o nim zapomniał, podniósł się z fotelu. Dwóch młodych pralatów podbiegło ku niemu i podtrzymało pod ramiona, trzeci podał mu laskę i papież, opierając się na niej, krokiem szybkim i jeszcze rażnym zwrócił się ku drzwiom, prowadzącym do dalszych apartamentów, by wypocząć po śniadaniu.

Buonarotti zblił, skurez wściekłości skrzywił jego wargi. Czując na sobie sztycherze spojrzenia paziów, lokajów i giermków, musiał jeszcze schylić się, aby pozbiierać spadłe na ziemię papiery.

Wrócił do siebie i natychmiast napisał do swego starego druha, messer Baltazara Balducci, który prowadził rzymski bank messera Galli, prosząc go o pożyczanie dwustu dukatów. Poczem oczekiwał z niepokojem odpowiedzi.

Pelen goryczy, rozmyślał o możliwości odmowy i o nowych upokorzeniach. Gdyby nawet Balducci zgodził się na pożyczkę, Michał Anioł był zrujnowany — będzie musiał na zapłacenie długów sprzedać swój dom we Florencji, dom, w którym mieszkał stary ojciec i bracia. Naraz uprzytomnił sobie długie lata niedostatku, znoszonego dobrowolnie z jedynym celem zapewnienia dobrobytu swoim; przypomniał sobie osiem ostatnich miesięcy, spędzonych w kopalniach marmuru w Carrarze. Gorączka i wyczerpująca praca, bądź na pałacem słońcu, to znów wśród lodowatych deszczów, cudem tylko nie zniszczyły mu zdrowia. Mając dwóch służących i konia, w ciągu tego czasu otrzymywał od papieża płacę, zaledwie wystarczającą na kawałek chleba. Michał Anioł nie był skąpy, lecz, jak każdy Florentyńczyk, oszczędny, pieniądze szanował, odmawiając sobie niejednego, by tylko wywalczyć sobie w przyszłości pewną niezależność. Wychowany był w dobrej i prawej rodzinie, szanującej, niby świętość, cudze i własne mienie.

Wreszcie przybył posłaniec z odpowiedzią. Baltazar Balducci w krótkich i uprzejmych słowach przyrzekał pieniądze na jutro rano.

Michał Anioł, uspokojony, wszedł na rusztowanie i ujął dłóto. Powoli dał się porwać pracy. Rzeźbił jednego z «jeńców spętanych», mających wznosić się na czterech występach grobowca.

Rzeźbą swą chciał artysta wyrazić, iż śmierć, zabierając Juljusza II, spętała rozwój sztuki, odbierając nadzieję, by miała kiedyś podobnego opiekuna. Obecnie artysta nie mógł bez goryczy myśleć o tej alegorji. Czyż to jednak nie wszystko jedno? Przeczując, że mauzoleum nie zostanie nigdy skończone, pracował dla siebie, bez celu, nie myśląc o papieżu. Zapomniał o wszystkim. Uderzenia młota dzwoniły tak gwałtownie, iż zdawało się, że posąg rozleci się w drzazgi. Odlamki marmuru padały, jak deszcz. Weszła służąca, prosząc go na wieczerzę. Nie poszedł; w pośpiechu zjadł kawałek chleba, nie schodząc nawet z rusztowania, i znów podjął swą pracę.

Twardy marmur stawał się coraz miększy i topniał, jak wosk. Rzeźbiarz oswobadzał kształt, ukryty pod kamienną powłoką. Młody niewolnik przechylał rozpozcliwie głowę; wszystkie jego mięskuly, wszystkie członki naciągały się w najwyższym wysiłku, aby zerwać więzy, krepujące ciało.

Gdy nastał zmrok, artysta, zmuszony opuścić pracę, zapalił światło i dopóżna w noc przesiedział nad swą uwielbianą księgą «Boskiej Komedji», która nie opuszczała go nigdy — narówni z biblją. Tej właśnie nocy napisał owe wzniosłe strofy ku czci Dantego:

Dal mondo seese ai ciechi abissi...

Z niebiosów zstąpił i w śmiertelnem cielesie
Zszedł, gdzie przez piekło i przez czyściec droga.
Skąd wrócił żywy, by oglądać Boga,
W prawdy nam świetle ukazując cele¹.

¹ Tłum. L. Staff.

Noc zaczynała blednąć, gdy Michał Anioł legł na swe twarde i ubogie posłanie dla krótkiego spoczynku, nie rozbierając się ani nie zdejmując obuwia, jak to często zwykł czynić.

Zrana Buonarotti wezwał wszystkich przewoźników, cieślów i kamieniarzy i wszystko, co im był winien, wypłacił do ostatniego solda.

Tłum. H. W.

WIACZESŁAW IWANOW

(ur. 1866)

Z DALEKICH DALI

Pustynnie i słodko wśród leśnych tych wnętrz
Fujarka samotna zawodzi i łka —
Płynie w dalach dalekich... Spowiadaj się, dźwięcz,
Fujarko, ty głosie ciemnego dna!

Czy noc to się męczy, czy szepcze to krew?
(O, serce, ty źródło bezsensnych wód!)
Ach, woła mnie, woła fujarki tej śpiew
Sybilińskim swym czarem, jak dawniej, jak wprzód.

I smutny chwytałem na śpiewu jej dnie
Jej jęk, i owiał prastary mnie las,
I duch, jak lunatyk, mój błąkał się w śnie
Poomacku, i lichtarz mój konał i gasł.

Teraz morze przede mną, i morze, i dal,
Cyt, syrena mnie woła: «O, przyjdź tu, o, patrz!
I pamiętaj, pamiętaj niepokój tych fal,
Brzegi dni tych minionych i cieniów tych płacz!»

Tłum. Włodzimierz Słobodnik.

KONSTANTY BALMONT

(ur. 1867)

[W SŁOWACH MOICH...]

W słowach moich powolna mowa Rosjan się kwieci,
Zwiastunami mojemu byli dawni poeci,
Jam przedziwne w niej odkrył uchylenia i dźwięki,
Ton rozśpiewny i gniewny, przeczulony i miękki.

Jam grający jest grom,
Nagły zygzak lub złom,
Jam przejrzysty jest zdrój,
Wszystkich, niczyj i swój.

Jednolite pluskania, wielopienne i zmienne,
Czystej wody kamienie i klejnoty bezcenne,
Echa wołań majowych, leśnych zabaw gestwinnych,
Zbierać będę, posiędę, co dostrzegę u innych.

Jak sen, młody, jak kwiat,
Kocham siebie i świat,
Kochający, kochany,
Jam jest wiersz wyszukany!

SZTYLETOWE SŁOWA

Już mam dość tych zwiewnych śnień, Dość tych godów harmonijnych, Dość zachwyków wzniosłych, drzeń, Kołysanek melodyjnych! Chcę rozedrzeć blaski zórz I błękity snów gasnących! Teraz — gmachów chcę płonących, Teraz — chcę ryczących burz!	Upojenie, sen głęboki, Myśl przytępia złudą mar, Niech więc drgną w mem sercu mroki, Niechaj z mórz wybuchnie żar! Dziś chcę nowych strun rozdzwonnych Dla mych nowych uczt i snów! Sztyletowych pragnę słów I okrzyków chcę przedzgonnych!
--	--

[W OGRODZIE MYM...]

W ogrodzie mym zakwitły róże białe, Zakwitły róże białe i czerwone, W mej duszy drżą namiętne sny nieśmiałe, Nieśmiałe, zawstyżone.	Lica twe widzę cudne i pobladle I włosów spłot, jak tkanie marzeń jasne, I w oczach twych — wyznanie nieodgadłe, I usta, usta krasne.
Raz tylko cię widziałem, moja miła, Lecz tylko raz się sen ze snem spotyka. Miłość się we mnie słodka obudziła I płonie, i nie znika.	Raz tylko poznał z tobą szal bezkresny, Jaskrawy cud — to szczęście przeogromne! O, cieniu mój, o cieniu bezcielesny! Miłości — nie zapomnę!...

Sen mój pijany jest, jak grona żrzale,
W mej duszy brzmią okrzyki żądź zmysłowe!
W ogrodzie mym lśnią róże śnieżno-białe
I krwawo - purpurowe!

ZŁOTA RYBKA

W zamku był wesóły bal I muzyka brzmiąca, Kołysaniem lekkich fal Wiatr huśtawki trącał.	I choć nikt nie widział jej, Goście ani grajki, Lecz przez rybkę, wierzyć chciej, Brzmiała nuta z bajki.
Drżała, niby senny cud, Rzewna nuta skrzypka, A w głębinie srebrnych wód Była złota rybka.	Ledwo zmilknie wokół szmer, Mała złota rybka Błyśnie w stawie lśnieniem skier I znów słyhać skrzypka.
Zwiewny płaś taneczny swój, Wiosną upojony, Wiódł motyli nocnych rój, Księżycem omglony.	Znów brzmi piosnką śpiewność słów, Uśmiech znów widnieje, W sercach miłość szemrze znów I wiosna się śmieje.
Wietrzyk giał lodygi traw I kołysał gibko, Tulił gwiazdę srebrny staw Z małą złotą rybka.	«Czekam»... «Przyjdź»... I wszystko śni, Ogień w oczach pała, Bo tam w głębi stawu lśni Złota rybka mała.

Tłum. Juljan Tuwim.

ZAMEK

Z płomieni blasku i płatków czerwonych,
Z iskiek od skoku prężnych końskich nóg,
Z bojów, na których bije róg o róg,
Z ryku wichury — i odgłosów dzwonych —

Z błękitnych dymów od kadzidel wonnych,
 Z słów, które Twórca jeden rzechy mógł,
 Wieść otrzymałem — i dźwignąłem próg
 Zamku z tych wszystkich wieści rozżarzonych.

W zamku, gdzie moje marzenie nie przędzie,
 Splata się komnat niezliczona moc.
 W aluzje się w nim krzyżują krawędzie.

Ogniami błyska jego wieczna noc.
 W kątach naczyń, gdzie kipią bezgłośnie
 Fermenty bajki i aloes roślinie.

Tłum. Mieczysław Giergielewicz.

ALEKSANDER KUPRIN

(ur. 1870)

Z «PODKAPITANA RYBNIKOWA»

Tego dnia, w którym zbliżał się do końca straszliwy pogrom floty rosyjskiej pod Cuszimą i ledwie zaczęły przelatywać nad Europą pierwsze głuche, niepokojące wieści o krwawym triumfie Japończyków — tego właśnie dnia podkapitan Rybnikow, zamieszkały w zaułku bez nazwy na Piaskach, otrzymał z Irkucka taką depezę:

«Arkusze wysłać natychmiast uważać na chorego wydatki zapłacić».

Podkapitan Rybnikow uprzedził natychmiast swą gospodynię, żeby nieobecność jego nie sprawiła jej niepokoju, gdyż interesy zmuszają go do wyjazdu z Petersburga na jeden lub dwa dni. Potem ubrał się, wyszedł z domu i nigdy już tam nie wrócił.

I dopiero po pięciu dniach policja zawezwała gospodynię w celu przesłuchania jej w sprawie zaginionego lokatora. Uczciwa, otyła, czterdziestopięcioletnia kobieta, wdowa po urzędniku konsystorza, opowiedziała najrzetelniej wszystko, co wiedziała: lokator jej był człowiekiem cichym, biednym, nieco głupawym, umiarkowanym w jedzeniu, uprzejmym; nie pił, nie palił, rzadko wychodził z domu i nikogo u siebie nie przyjmował.

Nie więcej powiedzieć nie mogła, pomimo całego należytego respektu, jaki w niej wzbudzał rotmistrz żandarmerji, poruszający w sposób straszliwy wspaniałami bokobrodami i sypiący najbrzydszemi wyrazami jak z rękawa.

W ciągu tych pięciu dni podkapitan Rybnikow biegał i jeździł po całym Petersburgu. Był wszędzie: na ulicach, w restauracjach, w teatrach, w wagonach tramwajów, na dworcach; wszędzie zjawiał się ten mały, czarniawy, ułomny oficer, dziwnie gadaliwy, rozlagniony i nienazbyt trzeźwy, ubrany w mundur wojskowy z czerwonym kocherzem — najidealniejszy typ szczenia szpitalnego, kancelaryjnego lub intendenckiego. Zjawiał się również kilkakrotnie w sztabie generalnym, w komitecie pomocy dla rannych, w policyjnych cyrkulach, w komendanturze, w dowództwie wojsk kozackich i we wszelkich możliwych urzędach i zarządach, denerwując urzędników swemi bezsensownymi skargami i pretensjami, swemi uniżonemi prośbami, wojskowem chamstwem i krzykliwym patryjotyzmem. Wszyscy wiedzieli już napamięć, że pełnił służbę w taborze korpusu, że pod Laojanem został kontuzjonowany w głowę, a w czasie odwrotu z pod Mukdenu był ranny w nogę...

Szczawinskij — zarówno ze względu na swój rodzaj pracy, jak i na wrodzone zamiłowanie — był zbieraczem ludzkich dokumentów, kolekcjonalistą rzadkich i dziwnych przejawów ducha ludzkiego. Często w ciągu tygodni, czasem miesięcy całych obserwował jakiegoś interesującego osobnika, śledząc go z uporem namiętnego myśliciela lub dobrowolnego detektywa. Zdarzało się, że taką zdobyczą był, według jego słów własnych, jakiś «rycerz z pod ciemnej gwiazdy» — szuler, znany plagiator, stręczyciel, alfons, grafoman — udręka wszystkich redakcyj, kasjer lub członek arteli po popełnieniu nadużycia, trwoniący pieniądze skarbowe po restauracjach, wyścigach i salach gry z szaleństwem człowieka, dążącego ku przepaści; jednakże przedmiotem jego

namiętności sportowej bywały również znakomitości sezonu — pianiści, śpiewacy, literaci, nazbyt już szczęśliwi gracze, dżokeje, atleci, modne kokoty. Nawiazawszy za wszelką cenę znajomość, Szczawinskij miękko i miłośnie, w jakiś osnuwająco-pajęczy sposób opanowywał swą ofiarę. Tu gotów był już na wszystko: przepędzał noce bezsenne w towarzystwie małych, ograniczonych ludzi, których cały bagaż umysłowy polegał — jak u buszmenów — na dziesięciu czy dwudziestu zoologicznych pojęciach i szablonowych powiedzeniach; upajał po restauracjach zdeklarowanych bałwanów i lotrów, cierpliwie oczekując, aż po pijanemu ukażą się w całej okazałości swej wewnętrznej ohydy, pochlebiał najbezczelniej ludziom, wierząc mocno, że pochlebstwo stanowi klucz do wszystkich zamków; hojnie rozpożyczał pieniądze, wiedząc zgóry, że nigdy ich zpowrotem nie otrzyma. Na usprawiedliwienie tego śliskiego sportu mógłby powiedzieć, że wewnętrzne zainteresowanie psychologiczne przewyższało niepomiernie te sukcesy, które odnosił w następstwie jako pisarz obyczajowy. Dziwną, niejasną dla niego samego rozkosz dawało mu spojrzenie w tajemne, niedostępne labirynty duszy ludzkiej, przejrzenie skrytych, czasem błahych, niekiedy haniebnych, częściej śmiesznych, niż wzruszających, sprężyn działań zewnętrznych — takie jakoby trzymanie w rękach ludzkiego serca i czucie jego żywego tętna...

Nigdy jednak jeszcze nikt go nie zainteresował tak głęboko, tak przejmująco, jak ten niezrównoważony, ochrypnięty, nietrzeźwy podkapitan. Szczawinskij nie puszczał go cały dzień. Niekiedy, siedząc koło niego w dorożce i obserwując go niepostrzeżenie, Szczawinskij myślał kategorycznie:

«Niemożliwe, abym się mylił — ta twarz żółta, kosooka, o wystających kościach policzkowych, te ustawiczne krótkie ukłony i zacieranie rąk, a jednocześnie napreżona, nerwowa, trwożna bezczelność... Ale jeśli to wszystko jest prawdą i podkapitan Rybnikow jest naprawdę szpiegiem japońskim, to jaką nieskończoną przytomność umysłu musi posiadać ten człowiek, robiący ze wspianiałem zuchwałstwem w biały dzień taką złośliwą i podobną karykaturę rosyjskiego oficera! Jakie wstrząsające wrażenia musi przeżywać, balansując codziennie, co chwila nad prawie nieuniknioną śmiercią».

Tu kryła się zupełnie dla Szczawinskiego niezrozumiała, czarująca, szalona a jednocześnie zimna odwaga, może najwyższa postać patryjotycznego heroizmu. I ostra ciekawość łącznie z pełnym czci przerażeniem coraz mocniej przyciągały myśl feljtonisty do duszy tego przedziwnego podkapitana. Czasem jednak powściągał się w myśli:

«A jeśli sam sobie narzuciłem myśl śmieszna, powzięta zgóry? Jeśli ja sam, uparty badacz serc ludzkich, głupio przejąłem się zwyczajnym pijanicą, kapitanem Kopiejkinem z Gogola? Przecież na Uralu i wśród kozaków orenburskich jest wiele takich właśnie mongolskich twarzy koloru szafranu». — I wtedy baczniej przyglądał się każdemu gestowi i wyrazowi twarzy podkapitana, uważniej wsłuchiwał się w dźwięk jego głosu. Rybnikow nie przepuszczał żadnego salutującego mu żołnierza i podnosił rękę do daszka czapki ze szczególnie długą, afektowaną starannością. Gdy przejeżdżali koło cerkwi, zawsze zdejmował czapkę i żegnał się szeroko i dokładnie, a prztem ledwie dostrzegalnie zezował ku sąsiadowi, badając, czy ten zauważył. Raz Szczawinskij nie wytrzymał i powiedział:

— Ależ pan jest pobożny, kapitanie!

Rybnikow rozpostarł ręce, komicznie wtulił głowę w podniesione ramiona i zakrzeczał:

— Niema rady, braciszku. W bitwach przywykłem. Kto nie był na wojnie, ten się prawdziwie nie modlił. Wie pan? cudowne rosyjskie przysłowie. Tam, bracie, chcesz czy nie chcesz, nauczysz się modlić. Naprzykład, idzie się na pozycję — kule świszcza, szrapnele, granaty... te przekłete szimozy... trudna rada — obowiązek, przysięga — człowiek idzie! Ale szepcze: «Ojciec nasz, któryś jest w niebie, święć się imię Twoje, przyjdź królestwo Twoje, bądź wola Twoja, jako w niebie...» — I dokończył całą modlitwę, starannie wymawiając każdy wyraz.

— Szpieg! — zdecydował Szczawinskij.

Pragnął jednak doprowadzić do końca swe spostrzeżenia. Przez kilka godzin badał i męczył w dalszym ciągu podkapitana. W oddzielnym gabinecie, w czasie obiadu, mówił, przechylając się przez stół ze szklanką wina i patrząc w źrenice Rybnikowa:

— Niechno pan posłucha, kapitanie, nikt nas teraz nie słyszy i... nie wiem, jak panu zaręczyć, że nikt w całym świecie nie dowie się o naszej rozmowie. Jestem bezwzględnie, głęboko przekonany, że jest pan Japończykiem.

Rybnikow uderzył się w pierś pięścią.

— Jestem pod...

— Nie, nie, dajmy temu pokój. Mimo cały pański rozum, twarzy swej pan nie schowa. Zarys policzków, kolor skóry, rzadki i ostry zarost na twarzy, wszystko, wszystko wskazuje bez żadnej wątpliwości na pańską przynależność do rasy żółtej. Ale niech pan będzie spokojny. Nie wydam pana, choćby mi za to Bóg wie co obiecano, choćby mi nie wiem czem grożono za milczenie. I choćby dlatego nie zrobię panu krzywdy, że jestem pełen najgłębszego szacunku dla pańskiej zdumiewającej odwagi — więcej powiem: pełen czci — przerażenia, jeśli pan chce. Jestem przecie pisarzem, a więc człowiekiem z rozwiniętą wyobraźnią — a przecież nie mogę sobie wyobrazić, jak można się na to zdecydować: o dziesiątki tysięcy wiorst od ojczyzny, w mieście, pełnem nienawistnych wrogów, w każdej chwili ryzykując życie — przecież powieszają pana bez żadnego sądu, jeśli się pan zdradzi, czyż nie prawda? — i nagle paradować w mundurze oficera, wchodzić bez wyboru do wszelkich możliwych towarzystw, prowadzić najbardziej ryzykowne rozmowy! Przecież najmniejszy błąd, onylka może pana zgubić każdej chwili. — — Czego nie mogę zrozumieć, to tego nieustannego naprężenia myśli i woli, tego djabelskiego wydatkowania sił duchowych. Oduczyć się myśleć po japońsku, zapomnieć najzupełniej o swem nazwisku, utożsamić się z inną osobowością! Nie — to stanowczo jest wyższe od wszystkich bohaterstw, o których nam mówiono w szkołach. Mój drogi panie, niech pan nie udaje przede mną. Słowo honoru, nie jestem pańskim wrogiem.

Mówił to zupełnie szczerze, rozpalony i wzruszony heroniecznym obrazem, jaki mu rysowała fantazja. Ale podkapitan nie dał się złapać na pochlebstwo. Słuchał — patrząc zlekka przymrużonemi oczyma w kieliszek, którym powoli poruszał po obrusie, i kąciki jego niebieskawych warg kurczyły się nerwowo. A w twarzy jego Szczawin-skiej poznawał wciąż tę samą skrytą ironję, tę samą upartą, głęboką, nieugaszoną nienawiść, szczególniejszą, być może, niezrozumiałą dla Europejczyka, nienawiść mądrego, uczłowieczonego, kulturalnego, uprzejmego zwierza do istoty innego gatunku.

— E, daj pan temu pokój, drogi panie! — odrzekł lekceważąco Rybnikow. — Tam do djabła! Już w pulku przezywano mnie Japończykiem. Co tam! Jestem podkapitan Rybnikow. Wie pan, jest rosyjskie przysłowie: pysk barani, a dusza ludzka. — — —

Tłum. Janusz Jędrzejewicz.

JAN BUNIN

(ur. 1870)

POŻEGNANIE

Pagórki pereł kipią, wrą na wodzie
Pod ciężkim sterem. Słychać ryk syreny,
Ziemia płynie. Oddziela się, odchodzi
Wysoka burta. My nazad płyniemy.

Na brzegu pusto. Tam na resztkach żyta
Siadły gołębie i gruchają. Tutaj
Drży mocny statek, wiatr go wolny wita
I dal w niebiesko-szarą mgłę osnuta.

Oto się okrył żaglem i kominem
I coraz dalej, coraz dalej płynie.
Już widzi morze. Nad bezdrożem płynnem
Kotwicę podniósł całą w rudej glinie.

O, żegnaj, żegnaj! Obcy i znajomi
Tam na pokładzie stoją zamyśleni,
Codziennie za żywiołem będą gonić,
Codziennie będą patrzeć w twarz przestrzeni,

A ja?... Jest marzec, wieczór i niezmiernie
Jest smutno mi, jam wiosną jest wezbrany.
W perele dzwonią. Tam ognik lśni w tawernie,
Lecz nie! Do domu, bom i tak pijany.

Tłum. Włodzimierz Słobodnik.

WALERY BRIUSOW

(1873—1924)

HUNNY PRZYSZŁOŚCI

Gdzie jesteście, o Hunny przyszłości,
Co nad światem, jak chmura, ciężycie?
Słyszę, słyszę, jak w dzikiej wściekłości
Po nieznanych Pamirach tętnicie!

Hejże, hordy pijane, potężne,
Z stannic na nas ponurych wdół ruńcie!
Ciała nasze, co mra niedołężne,
Skapcie w krwi gorejącej i buncie!

Raby własnej wolności! Na miasta!
Przy pałacach szalasy rozłóćcie!
Niechaj zhoże wesole zarasta
Złote sale! Hej, niszczyście je, burzcie!

Niech stos książek zapłonie olbrzymi,
Niechaj ogień do tańca wam świeci!
Cudzołóźcie, zbrodniarze, w świątyni!
Wyście przecie niewinni jak dzieci!

Tedy, patrząc na gwałty i zbrodnie,
My, piastuny mądrości tajemnych,
Zaniesiemy płonące pochodnie
Do katakumb i jaskiń podziemnych.

I cóż z świętej zdobyczy los zbawi?
Czego ręka zbrodnicza nie zniszczy?
Cóż nam ślepy przypadek zostawi
Pośród gruzów, pogromu i zgłiszczy?

Wszystko, trudem zdobyte wiekowym,
Zniknie może bez śladu na świecie?
Jednak — hymnem was sławię surmowym,
Niszczyciele, co mnie stratujecie!

PÓLNOCA

- «Tyś mój, jak niegdyś?» — «Twój, jak niegdyś!»
— «Szczęśliwy?» — «Tak». — «Wszystko, jak niegdyś».
 Północ puka w okna chat,
 Noc obchodzi senny świat.
— «Całuj mnie! Całuj, tak jak niegdyś!»
— «Całuję ciebie, tak jak niegdyś!»
 Słychać rydła głuchy stuk,
 Chodzi noc wśród ciemnych dróg.
— «Samiśmy w świecie, tak jak niegdyś?»
— «Tak, sami, sami, tak jak niegdyś...»
 Trumnę niosą? Ktoś dał znak...
 Zegar szepce: tik-tak-tak...
— «A szczęście gdzie, co było niegdyś?»
— «Ach, szczęście było niegdyś, niegdyś!»
 Cicho!... Słychać szelest grud.
 Noc zastygła gdzieś u wrót.
— «Czyśmy w mogile znów, jak niegdyś?»
— «Tak, znów w mogile-śmy, jak niegdyś».
 Suche trawy pomiał wiatr.
 Noc obchodzi senny świat.

ZADUMA DZIEWCZYNY

Tak bezwstydnie dotknął mego ciała...
Było to o zmroku ciemnej porze.
Tak bezwstydnie dotknął mego ciała...
Serce łatwiej wierzy o wieczorze.

Śniłam nocą słodycz pieszczot męskich
Na niewinnej swej pościeli białej...
Śniłam nocą słodycz pieszczot męskich
I kolana mi z rozkoszy mdlały.

Obudziłam się zmęczona, słaba	Prosił, bym wieczorem przyszła znowu
Od tych słodkich spotkań przeczuwanych...	(Wszędzie, wszędzie głos ten dzisiaj słyszę!)
Obudziłam się zmęczona, słaba	Prosił, bym wieczorem przyszła znowu
Z mgłą na oczach cicho zadumanych.	Tam, nad strumień, w lip kwitnących cisze...

Może znów tak dziwnie, jak i wczoraj,
 Będzie się twarz jego do mnie śmiała?
 Może znów tak dziwnie, jak i wczoraj,
 Dotknie się bezwstydnie mego ciała?

Tłum. Julian Tuwim.

MURARZ

— Hej ty, murarzu, w fartuchu swym białym,
 Poco, dla kogo murujesz ten gmach? —
 — Idź sobie z Bogiem, my z trudem niemałym
 Mocne więzienie wznosimy pod dach... —

— Hola, murarzu, któż pójdzie za kraty
 W celach tych mrocznych umierać i gnić? —
 — Pewnie nie ty i nie brat twój bogaty:
 I bez kradzieży wszak dobrze wam żyć! —

— Hejże, murarzu, któż będzie tam głodny
 Robił po nocach rachunek swych win? —
 — A może nawet mój syn pierworodny,
 Takież, jak ojciec, robotnik, mój syn... —

— Ale, murarzu, w te noce widmowe
 On wspomni tego, co cegły te kładł... —
 — Patrz, by ci która nie spadła na głowę,
 I milcz... ja wszystko wiem sam... jam to zgadł!...

Tłum. Edward Słoński.

ALEKSANDER BŁOK

(1880—1921)

WYSOKO GDZIEŚ...

Wysoko gdzieś z ciemnością zlewają się ściany.
 Tam — okno oświetlone promieniem miłczenia,
 Nie słyhać żadnych dźwięków, wciąż ciemność bez zmiany,
 I błąka się po kątach nieustanne drżenie.

W drzwiach światła drżące blaski, mroczny sen bezruchu.
 Zgiełkliwa miasta pieśń tej ciszy nie poruszy,
 Milczę i czekam cię, mój biedny, późny druhu,
 Ostatni śnie spóźniony gasnącej mojej duszy.

Tłum. Salomea Galewska.

JESIENNA MIŁOŚĆ

Gdy w gąszczu mokrych rdzawych liści	Gdy nad ołowiem wód płaszczyzny,
Jarzębin owoc już zapłonie, —	W wilgotnym, szaro-mglistym wyżu,
Gdy kat rękoma nienawiści	W obliczu srogiej swej ojczyzny
Ostatni gwóźdź mi wbije w dłonie, —	Znów zakołyszę się na krzyżu, —

A wtedy — patrzę w krąg, daleko W spojrzaniu Jego — też nadzieja,
Przez łąki, w przedśmiertnej tej godzinie, Na ciele wiszą też łachmany,
I widzę: hen szeroką rzeką I tak żałośnie z nich bieleje
W swem czólnie Chrystus do mnie płynie. Dłoń Jego z krwawym kwiatem rany.

O, Chryste! Smutno w mej krainie,
Na krzyżu konam ze słabości,
I czólnie Twoje czyż zawinie
Do mej męczeńskiej wysokości.

Tłum. Leonard Podhorski-Okotów.

WENECJA

Cisza, chłodny wiatr i laguny,
Gondole, jak trumienne dna,
Wśród nocy leżą w blasku luny
U stóp tajemniczego lwa.

Na baszcie północ mi nad głową
Giganty biją, jakby w śnie,
Marek widmową swą ikonę
Utopił w księżycowej mgle.

Poprzez galerje w pół widome,
Łęklawie spozierając w krąg,
Przechodzi, kryjąc się, Salome
Z mą krwawą głową w splecie rąk.

I wszystko śpi — noc bezcelowa,
Tylko widziadła chwiejny krok,
Tylko upiorna moja głowa
Z tęsknotą patrzy z nudy w zmrok.

Tłum. Kazimierz Wierzyński.

POETA

Siedzę z tatusem przy oknie.
Krzyczą mewy. A wdali lśni morze.

Przyjdź, deszczyku! Ziemia zmoknie,
A ja parasolkę otworzę...

Hen — gdzieś jest wiosna. A tyś w jasyrze u zimy,
Biedna dziewczynko w kapturku różowym...

— Chcesz, córuchno, za morze z tobą polecimy,
Pieni się morze mętym bursztynowym...

A za morzem jest mama?
— Nie, dziecię...

A gdzie jest?
— Umarła...

A co to znaczy?

— To znaczy, że się chce płakać głupiemu poccie,
Co tam przechodzi...

A czemu on płacze?

— Chce mieć kapturek różowy...

A czy on nie ma mamy?

— Ma. Lecz go to nic nie obchodzi.

Chce jechać za morze — w świat nowy,
Do swojej Cudownej Damy...

A czy ta Dama jest dobra?

— Tak, dziecię... Nikomu nie robi krzywdy...

To dlaczego tu nie przychodzi?

— Ta Dama nie przyjdzie nigdy,
Bowiem nie jeździ na statku ni na łodzi...

Nocka nastąpi.
Rozmowa ojca z córką się urwała.

Tłum. Julian Tuwim.

DWUNASTU

(Wyjątek)

Czarny wieczór.
 Biały śnieg.
 Wicher, wicher!
 Z trudem na nogach trzyma się człek.
 Wicher, wicher —
 Na całym bożym świecie.
 Kręci wichura śniegiem
 I micie.
 Pod śniegiem — lód.
 Ślisko, mordęga —
 Ślizga się wszelki łazęga,
 Biedaczek!
 Od domu do domu
 Rozpięta lina
 Plakat na wietrze rozpina:
 «Cała władza Konstytuancie!»
 Staruszka trapi się i płacze —
 Mój Boże!
 Ani rusz zrozumieć nie może,
 Co to takiego,
 Te słowa rozciągnięte,
 Taka płachta olbrzymia?
 Ileżby dzieci porciat miały z tego,
 A każde hose, zziębnięte.
 Staruszka, niby kwoka,
 Jakoś tam przebrnęła przez zaspę ulicy,
 — Oh, Matko-Opiekunko z wysoka!
 — Oh, do grobu zapędzą bolszewicy!
 Wicher smagający!
 Stróż nieustający!
 Burzuj na ulic skrzyżowaniu
 Nos siny chowa w ubraniu.
 A to kto? — z długim włosom
 Mruczy półgłosem:
 — Zdrajcy!
 Rosję sprzedali! —
 Chyba literat
 — Skryba!
 A oto długopoły,
 Boczkem, ledwie go zauważysz,
 Niebardzo jakoś wesoły
 Pop-towarzysz.
 Pamiętasz, jak bywało —
 Brzuch nosiłeś z trudem,

A brzucha grzeszne ciało
 Krzyż nosiło przed ludem?
 O! pani w karakulach,
 I druga —
 Podeszły blisko
 — A takeśmy płakali, płakali...
 Ślisko —
 Bęc! — leży jak długa.
 Oj, ojoj!
 Podnoś, trzymaj!
 Wiatr wesoly
 I zły, i psolny
 Targa poły,
 Przechodniów kosi,
 Rwie, szarpie i ponosi
 Olbrzymią płachtę:
 «Cała władza Konstytuancie!»
 Słowa przynosi
 Pokryjomu —
 ...I myśmy zebranie miały...
 ...W tym domu...
 ...Uradzono —
 Uchwalono:
 Raz — dziesięć, noc — dwadzieścia pięć,
 A mniej niech żadna nie śmie brać.
 ...Chodźmy spać...
 Późno.
 Ulica pustoszeje.
 Kuli się tylko włóczęga,
 I wiatr wieje...
 — E, biedaku!
 Chodź-no bliżej,
 Pocałujmy się...
 — Chleba-by dali!
 — No, jakże będzie?
 — Wędruj dalej!
 Niebo czarne, bez miesiąca.
 Męka, męka gryząca —
 Pierś od niej pęka...
 Mrok...
 Ponura, święta męka.
 Towarzyszul
 Wyteżaj wzrok!

Tłum. Wacław Denhoff-Czarnocki.

ANDRZEJ BIEŁYJ (BORYS BUGAJEW)

(ur. 1880)

W OKNA WAGONU

Pociąg płacze. W dale ojczyście
 Telegrafu ciągnie się sieć,

Lecą pola wilgotne, mgliste,
 Lecą w śmierć i w tej dali miedź

Lecą, lecą — tak pusto i goło!
 Lecą, lecą — i tutaj, i tam!
 Lecą, lecą — za siołem mknie sioło!
 Lecą, lecą — o, smutek ich znam!
 I traktjernia, i płot, i dziecko —
 Wszystko mija, przemija, jak czad,
 Stada chałup w otchłań niebieską
 Lecą — ludzkich piastunki stad.

Matko Rosjo! Tobie te pieśni
 Dziś poświęcam, ty przyjąć je racz!
 Pozwól tu mi płakać bezkresniej,
 Niech oczyści mnie oszysty płacz.
 Pociąg płacze. W dale surowe
 Telegrafu ciągnie się sieć —
 Lecę w dale twoje lodowe
 Z twoim wiatrem jesiennym grzmieć.

Tłum. Włodzimierz Stobodnik.

PAJAC

Kiedys
 W dolinie
 Marząco
 Dla was
 Ja —
 — Stary dureń! —
 Grywałem
 Na mandolinie
 O miłości
 I o Bogu.
 Słuchaliście uważnie
 Wy
 I Zodjak
 Odwieczny.

Jakoś
 Potłukli mnie
 I z cyrku
 Wygnali
 We krwi
 I w łachmanach,
 Wyjącego
 O Bogu, Bogu, Bogu!

I o Miłości
 Odwiecznej.

Przypadkiem
 Spotkaliście
 Śpiewającego pajaca,
 Przystanęliście,
 Posłuchaliście
 Śpiewu.
 Zauważyliście:
 — Czapka błazeńska...
 Zauważyliście
 Czapkę błazeńską.
 Rzekliście,
 Pełni namaszczenia:
 — To
 «Droga poświęcenia».
 Stanęliście
 Rozmarzeni,
 Zapatrzeni
 W kształt —
 — Zodzjaku.

Tłum. Wacław Denhoff-Czarnocki.

SERGIUSZ GORODIECKI

(ur. 1884)

SYN

Mama spuszcza rolety.
 Będą goście. Niestety,
 Mnie nie puszcza do gości.
 Będzie widno — a potem
 Śmiać się będą — a potem
 Będą milczeć w ciemności.
 Kto dziś przyjdzie? Czy zgodnę?
 Brunet? Blondyn? A ładny?
 Wczoraj rudy się bawił!

A był stary niedawno,
 Zdjął perukę zabawną
 I na haku zostawił!
 Pewnie chora jest mama...
 Zawsze smutna i sama...
 Mówi — milknie, pobladłszy...
 Czasem tylko mnie woła,
 Włosy zgarnia mi z czoła
 I tak patrzy, tak patrzy...

Tłum. Julian Tuwim.

ALEKSY REMIZOW

(ur. 1877)

ROSJA ROZWICHRZONA

(wyjątek)

Gwiazda serca

Po dniach pochmurnych, zasłaniających skrzydlaty Besztau i dymnego, zatrutego Maszuka, po dniach tęsknoty, dniach mglistych, które zrównały z dzikim bezbrzeżnym stepem biały, śniegiem zaniesiony łańcuch gór z dalekim ośnieżonym Elborusem, wśród nocy zobaczyłem gwiazdy Lermontowa. Słów nie pamiętam, które komuś i o czymś mówiłem, nie pamiętam też, jak się modliłem; widziałem gwiazdy, blisko — do bólu, jak coś swego, rodzimego, co zawsze jest ze mną; przeżywałem wspomnienia szerokie, jak gwiazdy, od gwiazdy ku gwieździe i po gwiazdach przez mgłę — drogę...

«poprzez mgłę krzemieni płynie blask»...

Po nocy wcześniej się obudziłem. Biały, śnieżno-biały łańcuch górski z Elborusem ochładzał poranek. Besztau cały — czarny rozpostarł lekkie skrzydła, patrzył tajemniczo ze swoją wiekową tęsknotą demoniczną. Lekko dymił zatruty Maszuk. Był dzień święta Gruzińskiej Matki Boskiej; przypomniało się święto kościelne w Moskwie i ogrodnik Jegor: na nieszpory przynosił Jegor z oranżerji Najdionowych girlandę astrów, georginij, czerwonych i białych floksów i kładł przed obraz Matki Bożej. Podczas nieszpórów kwiaty więdły, jednakże te ostatnie kwiaty jesieni zachowywały świeżość i woń pachnącego oleju, którym ksiądz błogosławił ludzi, podchodzących do świętego obrazu; zachowały one woń wosku świec — to wspomnienie przesłoniło mi demoniczny Besztau i biały Elborus; byłem daleko w ukochanej naszej cerkwi na polu Woroncowskim przy tej girlandzie kwiatów.

Raptem usłyszałem: gdzieś na dole przy drodze śpiewała uliczna śpiewaczka; słów zrozumieć nie można: nowa pieśń uliczna. To był taki głos, jak ta girlanda kwiatów. Przysłuchując się pieśni ulicznej, rozumiałem i całym sercem odczułem w tym momencie nie tę złą wojnę, nad którą cierpiałem, patrząc na poranionych jednonogich, jednorękich, na kaleki bez nóg i bez rąk — nie tę przeklętą wojnę, zesłaną na nieszczęście wraz z naszym głodem, chłodem, nędzą i nieskończoną rozpaczą (syn zabity — zapomnieć nie można!), nie rozprute ołowiem i żelazem brzuchy, nie rozszarpane mięso, nie ślepą obojętną kulę (bądź ty drzewem, kamieniem, koniem, ścianą, człowiekiem — wszystko jedno, nie ma litości!), nie w krwawej ropie opatrunki, nie śmietnik, nie wszy i cuchnącą woń, nie rzeźnię (tak nie zabijają wołów!) — nie, przypomniałem sobie coś zupełnie innego, inne niebo i ziemię, nie rzeźnię, lecz pojedynkę za gwiazdę swego serca — za ojczyznę z jej polem, lasem, szumiącą rzeką, starym domem, małemi troskami, cerkwią i starą katedrą, z dzwonami, ze słynnymi hymnami, z piękną Wielkanocą, z pieśniami i mową.

Gdybym miał skrzydła — poleciałbym na to pole, gdzie umierają swobodnie za gwiazdę swego serca, aby umrzeć za Rosję, za naszą kolebkę, za ziemię rosyjską...

Tłum. Sergjusz Kutakowski.

WŁODZIMIERZ MAJAKOWSKI

(1894—1930)

FLET KRĘGOSŁUPA

Prolog

Za wszystkich was,
którzy podobacie się czy podobaliście,
w pieczarze duszy nosząc obraz za szkłem,
jak puhar wina w biesiadnym toaście,
podnoszę wierszami napelnioną czaszkę.

Coraz częściej już myślę —
w sieci zagadek
kropką kuli swój wiersz zakończę.
Dzisiaj na wszelki wypadek
daję pożegnalny koncert.

Pamięci, zaprosz do mózgu sali
ukochanych szeregi w powodzi bystrej,
śmiechem się z oczu do oczu, jak łza, lej,
bylemi ucztami noce przystroj!

Do ciała z ciała nie pieśni plećcie!
Niech noce skłębią się w bukiet!
Dzisiaj przychodzę grać wam na flecie —
na własnym kręgosłupie.

Wiorsty ulic za sobą i strof mam, —
dokąd pójdę z tym snem, co opętał?
Jakiż niebieski Hoffmann
wymyślił ciebie, przekłęta?

Burzom radości w zaułkach ślepych
ciasno wśród ulic, gdzie domów straż tkwi.
Myślę,
myśli — krwi skrzepy
zbołate i zapiekłe wyłażą z czaszki.

Ja,
cudotwórca w kostjumie błazna,
sam dzisiaj będę dzielił swój gniew z kim?
Pójdę na place
runę nawznak,
głowę wyściele kamienym Newskim!

Oto bluźniłem,
krzychałem, że niema nic,
a Bóg mi taką z piekielnych lochów,
że przed nią skały wzdrygną się z ciemnic,
wywiódł
i kazał: kochaj!

Pan Bóg rad dziś, —
pod niebem grząskiem
mały człowiek zdziczały, jak zwierzę, brodzi.
Pan Bóg zaciera z radości rączki,
myśli Pan Bóg:
«Poczekaj, Włodziu!»

To on,
kiedym, jak skała, od bólu stęzał,
żeby cię nie odnalazł, przez ludz szczyuty,
wymyślił dać ci prawdziwego męża
i na pianino położyć ludzkie nuty.

Jeśli się podkraść pod drzwi sypialni,
przeżegnać koldrę nad tobą, osłabłą,
wiem,
coś zapachnie, jak szersć, gdy się pali,
siarką zadymi się mięso djabła.

A jam, zamiast tego,
 swój krzyk do powal
 w rozpacz, że cię na zawsze zgubiłem,
 miotając się do rana, w strofy — szlifował,
 już nawpół obłąkany jubiler.

W kartyby zgrać się!
 W winie
 zgłębić na dnie dno!
 Wyplókać gardło sercu, co sparło dech nam!
 Nie trzeba mi cię!
 Nie chcę!
 Wszystko jedno,
 ja wiem —
 niedługo już zdechnę.

Jeśli jesteś doprawdy,
 jeśliś jest, Boże,
 jeśli na dywan gwiazd klękne,
 jeśli tego bólu, co wciąż się mnoży,
 Tyś dla mnie, Panie, wymyślił mękę —
 sędziowski łańcuch włóż.
 Sam ci wizytę złożę.
 Będę punktualny, nie spóźnię się już.
 Słuchaj, Najwyższy Inkwizytorze!

Wargi zagryzę — tortury ponów,
 żaden krzyk z gardła nie wyrwiesz mi piekieł.
 Przywiąż mnie do komet, jak do końskich ogonów,
 i pognaj, szarpiąc o gwiazdne ćwieki.

Albo ot co:
 kiedy dusza moich przeżyć
 wyjdzie na sąd Twój i twarz pokaże,
 Ty mleczną drogę szubienicą przerzuć,
 szarpnij i powieś mnie, zbrodniarza.

Rób, co chcesz, ze mną,
 ochlap mnie krwią,
 ja sam ci ręce wymyję nad raną, —
 tylko, słyszysz, zabierz przeklętą tę,
 którą uczynił mą ukochaną.

Wiorsty ulic za sobą i strof mam!
 Dokąd pójde z tym snem, co opętał?
 Jakiż niebieski Hoffmann
 wymyślił ciebie, przeklęta?

Tłum. Bruno Jasiński.

LEWA MARSZ

Rozwijajcie się w marszu!
 W gadaniach robimy pauzę.
 Ciszej tam mówcy!
 Dzisiaj
 ma głos
 towarzyszy Mauzer.

Dosyć już żyliśmy w glori
 praw, które dał Adam i Ewa:
 zajeździmy kobyłę historj —
 Lewal
 Lewal
 Lewal

Błękitnobluzi,
 rwijcie
 za oceany!
 Zali się pancernikom na raidzie
 stępiły dzioby ze stali?
 Niech się brytyjski lew pręży,
 niech ostrą koroną olśniewa —
 komuny nikt nie zwycięży!
 Lewa!
 Lewa!
 Lewa!

Za górą kłęsk błyszczą zorze,
 słoneczny kraj czeka nowy.
 Za głód, za moru morze
 niech zadudni nasz krok miljonowy!
 Choć najemna otacza nas banda,

choć nas potok stalowy zalewa,
 nie zadusi Sowietów Ententa!
 Lewa!
 Lewa!
 Lewa!

Zali wzrok orli zgaśnie?
 Czyż ulegniemy w walce!?
 Ciaśniej
 ściśnijcie światu na gardle
 proletarjatu palce!
 Naprzód pierś podaj naga,
 niech flaga na niebo zawiewa!
 Kto tam znów rusza prawą?
 Lewa!
 Lewa!
 Lewa!

Tłum. Antoni Słonimski.

ELJASZ ERENBURG

(ur. 1891)

MODLITWA ZA DZIECI

O, Panie, w te straszne dni,
 Kto waży się modlić za siebie?
 Ukarz nas grzesznych i złych!
 Lecz dzieci... oszczędź je!...
 Te, co przy każdym wystrzale
 Tulą się trwożnie do siebie,
 Te, co tak głośno rozświegotane
 Na ulicy bawią się w «rewolucję»,
 Te, co sprzedają wieczorne gazety
 I straszne wykrzykują słowa,
 Nie rozumiejąc, czemu zataczamy się, jak pijani,
 Słyszac ich wesołe szczebiotanie,
 Te, co zwierzęta pluszowe pod ciepłe chowają ubranie,
 Ażeby je ustrzec od krzywdy,
 Te, co wsluchują się w kroki za drzwiami;
 — «Ach — kiedyż ojciec powróci?» —
 O, Panie, bez nich tak pusto, tak straszno
 I śmierć z nami,
 Zostaw nam radość naszą,
 Radość naszą ostatnią...
 Nie słyszac śmiechu dziecięcego,
 Zapomnimy, jak śpiewa strumień wesoły,
 Jak szumi brzoza biała, wiatrem kołysana,
 Zapomnimy głosu Twego!
 I nie słyszac głosu dzieci,
 Zapomnimy, jak gwiazda nocą świeci,
 Jak gaśnie w świtu czas —
 Zapomnimy, jakie były Twoje oczy. —
 I nigdy już człowiek umęczony,
 Stojąc nad łódeczką z siatką,
 Nie powie: — «Boże! Jakaż jasność!
 Jakaż radość w sercu mem!» —

Zostaw je! Cieszyć się nimi będziemy —
 Drabinka to nasza maleńka —
 Po niej grzesznik nawet najczarniejszy
 Wejdzie do Twego nieba!

Tłum. Salomea Galewska.

DOBA
 (Wyjątek)

Zrazu wszystko szło dobrze. Różnojęzyczna gadanina. Dygot pociągu. Zgrzyt szyn. Stłumione szwabskie «ha». Kawa. Kopeć. Na platformach jazgotanie. Miła tęsknota. Zrazu — świat.

Teraz Rosja. Stacja «Iwaszyno». Drgawki pociągu — stanąć czy nie stanąć. Przyczaił się. Paul-Louis, podrzucony na ławce, rozworzył lewe oko. Zdało mu się — murzyn szerokowargi roześmiany uderzył w jazz-band. Gong. Jasność. Rozgrzane tanecznicę dźwięki — litery wpadły do ust. Ogień. Zalać!

— Garson. Cherry-Cobler!

Pusto. Litery rozrastają się, nabrzmiwiają. Na wagonie pięć spuchniętych liter: «R. S. F. S. R.».

I dziki wrzask:

— Dokąd?

Paul-Louis do okna. Przed wagonem babsko w kożuchu, rozrośnięte od worków, tobołów. Ciasto w futrze. Przewala się, wyrasta. Gęba fioletowa — kwiat bzu.

— Gdzie się pchasz? Wiesz jaki to? Dyplomatyczny! A dalej — delegatów! A tam — sztabowy! Zmykaj! Zmykaj!

Ciasto rośnie. Pięścią w pierś. Przycupnęła. Rozlała się. Zagdakala:

— Kacie! Herodzie! Toż jajka...

Parsknęła szydyczko lokomotywa. Baby, litery, budki zginęły. Pozostał śnieg. Paul-Louis patrzy. Straszne. Naturalnie, w Paryżu widział... Ale tam w powietrzu i — już go niema. Confetti. A tu — wielki, suchy, ważki. Nawet nie leży — pełza. Już — już zahaczy pociąg, przysmaży — połknie. Wszak wysoki jest, niczem kamienica. I możliwe, że pod śniegiem spoczywa takież wagon dyplomatyczny z roletami, z Paul-Louis'em: w lewej kieszeni paszport, wizy, legitymacja dziennikarska, znaczki pocztowe, fotografia brunetki z grzywką do brwi. A głębiej, pod kieszonką, śwędzący niepokój i przerażenie:

— Więc taka jest! Nie wymigam się...

Kurjer. Stara się «robić» Europę. Na charłackim ciałeczku kanciaste, sztywne, nowiutkie ubranie. Ach, ależ podjadł! nawet się nie najadł — do Rygi i już zpowrotem. A wśród ludzi, w bufetach jeść należy z taktownym umiarem, nie uwłaczając godności Resefesera. Jakies dwa kotlety, trzy ciasteczka (żebyż to dwadzieścia!). Zabawia Paula:

— We Francji podobno kryzys ministerjalny. W gazetach piszą...

Paul-Louis rozdał nozdrza, wciągnął powietrze, uśmiechnął się. Słupy graniczne. Kryzys. «No, to gabinet na trzy godziny». — «Czeka nas wspólna podróż». Gerard wionął chusteczką z kieszonki Lucie — do karety. «Do djabła z gabinetem!» Rue Croissant. Gazeciarze, jak szpaki. Ani nazwisk, ani wyrazów, tylko «errr». Czyż jest gazeta bez «errr»? Wermut. Pióro. Artykuł gotów. Jaures... trybun... lud...

Kurjer poszedł. Litwin na korytarzu wyciągnął «Izwestja», przeczytał:

— Sanpociąg¹... Wołsowiety²... Gorbunow...

Zjadł placek litewski z poledwicą. Zanucil foxtrotta, podsłuchanego w Rydze między jednym a drugim pociągiem. Wszystko zrobił, co tylko mógł. Zasnął.

Paul-Louis znów do okna. Dom. Nad domem dym. Stoi — ani w tę, ani w tę. Nawet dym — jak kamień. Nie uleci. Wytchniętyś z komina — stojże sobie.

— Naturalnie, przecież wiedziałem o tem... W Rosji okropny klimat. Lecz zapal. Życie wre. Na kongresie stwierdziliśmy...

¹ Pociąg sanitarny — skrót. ² Rady gminne — skrót (wołostnyje Sowiety).

Pamięta, to było jasne: rewolucja, jak najłżejsze wino, musuje i codziennie srebrna kulka mknie ku górze. Teraz zobaczy. A klimat — głupstwo.

Narazie jednak markotno. Ściana wagonu sypialnego. Sierp — młot. Paragrafy — pięć, dziesięć, dużo. Co wolno i czego nie wolno. Ponieważ wiele zabroniono, więc musi istnieć jakiś dobrotliwy paragraf: ależ tak, to wolno, wolno...

Wgórze obrazek (jakim cudem ocalał?) — weranda, morze, kaktus: «Hotel Bel-sito, Sen-Remo». Przeżytek. Jedynie ważne — zapal. Wkrótce Moskwa. Towarzysze. Konferencja. Wywiad. Statystyka. Życie.

Z nudów odnotował wrażenia:

«Przestąpiłem próg. Tutaj świat nowy...»

Safjanowy notesik — na miejsce, do kieszeni. Brunetka śmieje się, potrząsając grzywką. W głębi, pod notesem, pod brunetką:

— Nie wymigam się!

Na dworcu pierwsze niepowodzenie. Zaledwie Paul-Louis wyskoczył z wagonu, wyciągnął rudą walizę, gdzie wśród rezolucyj i skarpetek pieszczotliwie bulgotała toaletowa woda «Irys» do nacierania skóry, żeby nie pękała na wietrze, bulgotała i pachniała lewkonją — ledwie wyskoczył, ledwie wyciągnął, ledwie zbulgotała — w poczekalni trzeciej klasy ktoś, budząc się na hałas i gwizd, ryknął:

— Odjazd!

Rzuciły się szyncele, kozuchy, kurtki, toboły kończaste — samowary do zamiany, worki, galanterja, lachmany, truchło przegniłe z flakami na wierzchu — rzuciły się tłumnie, jak pułk, jak armja. Obłężenie.

— Cofnąć się!

Gdzież tam! Spłókali milicjanta, jako taran im teraz służy — lokieć, ramię, napór. Trach! Drzwi uległy. Zwyczajne urządzenie — czemu się dziwować? Do okien, w szpary, na bufory, na dach. Stłoczyli się, aż trzeszczą ściany wagonu dyplomatycznego. Wysoko w siatce, gdzie kaktusy nad morzem i «codziennie five o'clock» wiszą razem stare babsko i torba. Z torby na głowę — szczypta soli. Jęknęło babsko:

— Oj, ile! Kubek mleka!

Jeszcze szczypta oszroniła głowę. Zbrakło cierpliwości starej — uroniła słoną łzę.

Na peronie wir. Paul-Louis bezskutecznie upatruje ażurowego palta kurjera. Morowiec, wszakże o przelomie gadał. Baranice. Mróz. Ruda waliza, jak deszczulka wśród fal, podskoczyła, zakręciła się. Butelecza brzękła. Śród spalenizny i psiego swędu zapachniał ogród. Chłopak, przekradający się na bufory i wypróżniający po drodze wypchane kieszenie z zapalniczek, skrawków papieru, skórek chleba (czasem trafi się i machorka lub żółty ośliniony kawaleczek cukru) — lewkonję zwąchał.

— Patrzcie go, jak zapachnił!... Odrązu poznac... krasnotyły!

Znikł. Lecz ruda waliza z bulgoczącym «Irysem», z nalepkami «Hôtel Adeon» i «Majestic» dała nura pod nogi i także znikła.

Paul-Louis chce się zastanowić, przyjrząwszy się wagonom, semaforowi, komi-nom, znaleźć drogę do nieprzystępnej Moskwy. Lecz czyż można się tutaj zastanowić! Milicjant zrozpaczony łupnął — tak w powietrze. Cofnęli się. Koziołkują. Pochwycili z sobą Paula. Niosą.

Oprzytomniał w niewietrzonej od lat sali. Odór machorki, mokre kozuchy, płócienne onuce, pot. Ani się położyć, ani kroku postąpić — żywy kobierzec. Arbuzy — lby, poduszki — pośladki, zdrętwiałe kikuty podwiniętych nóg. Na ścianie plakaty. Przyjrzał się. Ogromna czarna wesz w pancerzu. Setki żelaznych macek. Szczypce. Piła. Chirurg, kat, grabarz. Jeszcze jeden — i znowu wesz.

«Towarzysze, oto wróg rewolucji!»

Paul-Louis uczuł, jak, spełszszy z obrazu, taka właśnie spacerować zaczęła, zaśwędziła nieznośnie. Kleszczami wbiła się w pielęgnowane ciało pod kalesonami «zefir».

Dziewczyna tuż u stóp. Drobną, gęstą wysypką. Chce wstać — nie ma siły. Podryguje na miejscu, jak kura bez głowy. I ma się wrażenie, że głowa się ode-rwała — kula bilardowa — przyjdzie oto kościelny Łykw i paluchem (paluch, jak wiorsta, długi) wpędzi kulę do kosza.

— Pić!

Do wodociągu ani się dostać. Ktoś litościwy przechylił imbryk i ciepłą, rudawą od rdzy wodę — w usta. W ustach niesmak. Uciec na mróz! Nogi nie poradzą. Tylko głowa przeży się w górę. I wolno, jak z blaszanego dziobka imbryczka, ścieka stęchła woda zpowrotem na skórzaną kurtkę, na podłogę, na lakierowane sztylpy Paula.

Na ścianie, obok wszy, generał z tankiem, polski pan (wąsy i bagnet), głód, goły, pudelko, czaszka, dwie dziury. Przyczolągali się wszyscy, gmatwają się, szczypią.

Skaczą po pniach brzuchów, czepiając się suchych sęków wyciągniętych rąk, chłopczyzna jakiś dotarł do Paula — zdała zauważył sztylpy, kolnierz — wspomóże.

— Towarzyszu, na litość Boską!...

Paul-Louis nie rozumie. Chłopczyzna — paluszkami do kieszeni Paula, do swoich rozdziawionych zaślinionych warg.

Zrozumiał. W kieszeni muszą być sucharki ryskie — paczuszka. Wyjął. Ogólne poruszenie. Lecz chłopak nie ustąpi. Łyka całe suchary. Twarde, więzną w gardle. Nie ma czasu na gryzienie — odbiorą. Z wysiłku wybaluszyl oczy. Całą paczkę! Opadł, czknał, poderwał się, zamknął oczy. Zesztywniał.

I znowu rozespana podłoga ryczy:

— Odjazd!

Baba do kolejarza:

— Wpakuj mnie, na Chrystusa cię zaklinam!...

— Nie wolno. Wzbronione. Dekret.

I ciszej:

— Dałoby się zrobić, ma się rozumieć, w zapasowym, tylko że... Chodźmy do budki... Niedługo to potrwa. Zdażysz.

Pośpiesznie złodowaciała, wielgachną rękawicą za pazuchę. Baba wrzeszczy.

W kącie, pod gramofonem — tubę złodziejaszki buchnęły, Szalapin ci teraz nie zaśpiewa — robociarz śpiewnie odczytuje gazetę «Gwizdek»:

...I tam dalej, lecz się nie poddamy!...

Od siebie:

— Sprawiedliwie gada. Nie pod-da-my się! Coś wziął bratku!

Zachwiał się. Szczeknął. Krwawy skrzep wypluł i smutnie siadł na podłodze.

— Odjazd!

Znów przyptyw. Paul-Louis daleko. Śnieg. Podkłady. Pustka. Nagle okrzyk:

— Z robót przymusowych drapnął. Na odgarnianie śniegu pędzili.

Paul-Louis nie rozumie, dlaczego krzyczą? Paul-Louis nie wie, poco pakują mu do rąk wielką niezgrabną łopatę. Patrzy — stopudowy śnieg, biały kamień, zagłada.

Wytłumaczono: — odgarniać. Ma się rozumieć, mógłby się nie zgodzić. Ta pani rozumie po francusku. Mógłby powiedzieć: przyjechałem, ruda waliza, gazeta, konferencja i resumé na trzysta wierszy. Ma się rozumieć, mógłby. Lecz jakgdyby się zaraził. Zapomniał o safjanowym notesie. Wie, że — trzeba. Dają ci łopatę — bierz. Milcz. Dzielnie podważa polcie białego potwornego mięsa. Ciężko. W rękach darcie. Palce w giemzie odrywają się i znikają, jakby ich nigdy nie było. Śnieg — wróg. Wesz. Wysypka. Chłopczyzna. Polski pan. Coraz mocniejsze: nie wymigam się.

Obok pani. Trzema chustami uwarstwiona. Rękawice, walonki¹. Dłubie śnieg. Parowy oczy, nad niemi brwi, jak muśnięcie skrzydeł ptasich o wodę. Paul-Louis zapada w pustkę. Nie głos — westchnienie, sen:

— Pan z Paryża?... W grudniu nad Sekwaną, błękit, mgła, ukojenie...

Naparła na łopatę. Paul-Louis zajrzał w oczy — nie wytrzymał:

— Do Paryża! Chceć pani? Mogę to ułatwić...

— Pan myśli, że to skarga? Mnie dobrze. Nauczyłam się. Dużo. I złego też. Oto śnieg. Łopata. Rozpalić piecyk. Na ramiona tobolek z «przydziałem». Funt grochu, a wewnątrz coś drży i śpiewa «dziękuję». Przychodzi Artamonow, głodny, zmarznięty, ogłupiały od dziesięciu komisyj. Ja mu dłoń... Tę właśnie.

¹ Długie buty z wołoku.

Ściąga rękawicę. Znać — ongiś manikierzystka... Paznokcie trzyciałowe pilowano, lakierowano, pudrem sypano, polerowano zamszem. — Teraz — skóra słonia, w pęknięciach żar węgla, piła, tłuszcz rondli — ledwie trawa w szczelinach nie rośnie, pęcherze, odmrożony, spuchnięty «mały paluszek».

— Tak, tę właśnie. Niemasz większej radości, niż wtedy, we dwójkę naprzekór... Nie zrozumiał pan? Proszę wybaczyć...

Nie, Paul-Louis już cośnecoś rozumie. I rozumie wyraźnie, że najlepiej byłoby nic nie rozumieć. Waga ciała jakgdyby podwoiła się. Niebylewale ociężał.

Ognisko — rozgrzać się. Nogi, w ciepłe ogrzane, powróciły rozbolale.

Na mgnienie oka — café Versailles. Patelnie. Taras. Żermena rozplomienia głownie warg. «Pocaluj! jeszcze!» Dziewczyzna z goździkami: «Dwa sou! Niech pan kupi!»

Śnieg. Paść w ognisko! Schwylać goździk! Rzucić w damę i niechaj będą — węgle i ulga.

Podrwiwa krasnoarmiejec — kwadrat z wielkimi szczękami. Szczęki pełzną powoli. Nadejdą. Połkną, jak sucharek, i rezolucję, i grzywkę, i Paula.

Ha, cóż, znów do roboty! Zna już słowo «towarzysz». Lecz palce nie zginają się, nóg niema. W zaspę.

— Taka więc jest!...

Tłum. M. Grabowska i Fredani.

BORYS PILNIAK

(ur. 1894)

SPADKOBIERCY

I.

Z góry Sokołowa — tak głosi legenda — przybył Stieńka Razin — ba, już w książkach nawet piszą, że tudzież z tejże okolicy skradal się Jemeljan Pugaczow. Góra Sokołowa nad Wołgą sterczy i, ciągnąc stepem, posępnie szczyrzy zęby na Wołgę, zbójców ojczyznę. Miasto nad Wołgą. Jar Glebyczowa. Obok Starego Soboru (przy Starym Soborze stoi armata przez Pugaczowa porzucona), w starożytnym miasteczku, obok przystani rzecznej, grzęźnie od wieków przestarzały dom — z kolumnadą frontową — wymalowany na pomarańczowo. Niegdyś w domu urządzano bale, a zamieszkiwał go znakomity ród szlachecki Rastorowów; w ciągu ostatnich lat dwudziestu w domu, wraz z domem samym, gasła dawna właścicielka jego, Ksenia Dawydowna, stara dziewczyna. Tysiąc dziewięćset siedemnastego października — umarła, i oto teraz w domu — przemokłym, wyziębłym, nadgniłym, rozgrabionym — grasują spadkobiercy. Rozproszeni ongi po Rosji, budowali dobrobyt swój w Petersburgu, w Moskwie i Paryżu; w ciągu długich dwudziestu lat dom pustką świecił, konając w samotności; — nadeszła rewolucja, wybuchła wolność nad wolnościami: członkowie rodu Rastorowów zbiegli do gniazda — od rewolucji, od głodu.

Nad stepem, nad Wołgą rodziły się wichry, galopowały konie śnieżycowe — rodziła się rewolucja taka sama, jak za Stieńki Razina: rozpasana — wolna jak ptak niebieski. Pokoje domu — stare, ponure, wilgotne, zimne. Za oknami wciąż stał Stary Sobór, a pod zjazdem spoczywała Wołga, cała w bieli śnieżnej, ze statkami w przystaniach, szeroka, siedm wiorst szerokości.

Z początku utworzono komunę. Ale, prawdę powiedziawszy, komunizm jest grubo niedoskonały — odgradzili się, zabarykadowali — każdy w swoim pokoju, każdy z własnym garnczkiem i samowarem. Prowadzą w domu tryb życia ponury, smętny, drobnostkowy, bezużyteczny, przeklinając rewolucję i życie, żyją odcięci od życia, poza życiem, odwrócenie ku przeszłości i tęsknią do przeszłości.

II.

O godzinie siódmej, gdy panuje jeszcze mglisty błękit, budzi się generał Cyryl Lwowicz, narzuca szlafrok bucharski z frendlami i, zapaliwszy świeczkę od płomyka lampy oliwnej, idzie do wygodki. W wygodce — zimno, wali para, na stolcu, jak w szynkach, brud i glecery lodowe, generał wściekle chrząka, zatyka nos, następnie budzi żonę i aż syczy:

— Anno! Niechże to wszyscy djabli!... Niechże to wszy-y-scy... Zapytaj krewnych swoich, kto tak psuje water? — przecież my służby nie mamy!

W pokoju — ciasnota. Jest to zarazem sypialnia, salon i jadalnia. Przez splecione okienka, grube rolety przekrada się mglisty błękit.

— Przecież my służby nie mamy! Choler... Dziś twoja kolejka nastawiania samowaru. Gilz już niema? General, z rękami założonemi wtył, chodzi po pokoju, palce ma — ubrylantowane.

— A ty masz iść do rewiru i po chleb — odpowiada Anna Andrejewna.

— Wiem, wiem — daj mi, proszę cię, spokój. W domu mieszkają cztery rodziny i nie mogą tak urządzić, żeby po chleb chodzili według kolejki. Daj mi arkusz papieru, atrament i pluskiewki.

General siada do stołu i pisze:

«Panowie! my nie mamy służby, zmuszeni jesteśmy, niestety, sami po sobie sprzątać. Nie każdy może okrakiem siadać, wobec czego proszę o przestrzeganie czystości. — Cyryl Leźniow».

Cyryl Lwowicz nie jest spadkobiercą, z Rastorowów pochodzi żona jego, z którą właśnie przyjechał. Cyryl Lwowicz bierze obwieszczenie swoje i przybija na drzwiach wygodki. Potem nadal biega po pokoju z iskrzącemi się brylantami i zrzędzi:

— Djabli ich wiedzą. Sergjusz z rodziną zajmuje trzy pokoje, a my — jeden. Wyjadę stąd. Też mi krewni. Gilz niema?

Anna Andrejewna — spokojna, przemęczona, słaba — odpowiada smętnie:

— Przecież wiesz, że niema. Zaraz znajdę może niedopałki. Lina czasami rzuca nienicowane.

— Widzisz ich, burżuje: niedopałki rzucają, służbę mają!...

Ciemny zygzakowaty korytarz zawalony jest starzyzną, bo nikt nie chce go sprzątać. Anna Andrejewna grzebie w papierach i w śmieciach przy piecu Sergjusza Andrejewicza (Lina — to jego żona), odmyka drzwiczki i spostrzega, że służąca Leontjewna, cyklop jednooki, wrzuciła drwa brzozone — podczas gdy ustalono palić w piecach najpierw przegnilemi resztkami altany. General zaciąga się rozkosznie papierosikiem z «własnego» tytoniu, poczem idzie na podwórze po drwa i wraca z resztkami altany. Samowar już jest nastawiony, general popija herbatę, dużo i długo, Anna Andrejewna pali w swoim piecu. Świta wolno, jak to w zimie, mętnie. Przez ścianę obudziła się już rodzina Sergjusza, kierownika wydziału w ministerjum, i slychać, jak Lina strofuje dzieci:

— Kira, dosyć już zjadłeś bialka, weź węglowodany.

— Kaltofelki?

— Tak.

— A tłusce?

— Dosyć już masz tłuszczów.

General chytrze się uśmiecha, złośliwie burczy:

— Nie jedzą, a... odżywiają się!... — i tuż odrzyna sobie kawał słoniny, stale z białym chlebem, a herbatę pije z korzonkami słodkimi i z suszoną dynią.

Dom zwolna się budzi, po korytarzu obok drzwi generała drepczą z nocnikami, próżnemi samowarami, ze szczoteczkami do zębów i ręcznikami, wszystko to rozneglizowane i zaspane. General popija herbatę, obserwuje i złości się. Wali męskimi buciskami cyklop-Leontjewna, służąca Sergjusza, z giełdy pracy — zagląda jedynem okiem swoim do pieca Anny Andrejewny i mówi:

— A drew nakładliście jak się patrzy, porządnie.

General odpowiada ze swojego pokoju:

— A wyście wzięli brzozone!

Cyklop wybucha, klepie się w pośladki — następuje zwykła awantura.

— Co!? Mnie nie ufają, śledzą mnie! Lino Teodorowno, wymawiam miejsce, po-skarżę się do giełdy!

Lina Teodorowna krzyczy ze swojego pokoju:

— Co!? Jej nie ufają, ją śledzą! W naszym domu — szpiegowanie! A niby inteligentni ludzie!

— A drwa jednak są brzozowe!

— A niby — inteligencji!

Generał zjawia się w korytarzu i oficjalnie oświadcza:

— My nie mamy prawa. Nie jesteśmy spadkobiercami. A jednak bardzo mnie dziwi, że Sergjusz zajmuje trzy pokoje, a Anna jeden — bardzo i nader mnie dziwi!..

* * *

Awantura wzmaga się. Generał ubiera się i wychodzi zadowolony, by stanąć w ogonku po chleb. Lina mknie do męża. Mąż udaje się na rozprawę, a generała już niema, dogaduje więc siostrze, Annie Andrejewnie.

— Ależ to — niemożliwe, niedopuszczalne, to — szpiclostwo!

— Zrozumże, że to wszystko przez głupi niedopalek — odpowiada bezna-
dziejnie Anna.

Lina siedzi na górze u Katarzyny i opowiada jej całą tę historję z najdrob-
niejszemi szczegółami.

Anna idzie do Konstantego, studenta, młodszego brata swojego. Konstanty mówi jej, że jest zajęty, że zaraz zabiera się do pisania, ale po chwili idzie do Sergjusza.

— Zajęty jesteś?

— Co? — tak, zajęty jestem.

— Pozwól mi ognia.

Zapalają machorkę, którą nazywają «Kacpstenem». Milczą.

— A może tak partyjkę szachów? — odzywa się Konstanty.

— Skąd znowu?... — odpowiada Sergjusz.

— No, jedną?...

— Chyba, że jedną? Ale tylko jedną!

Siadają i grają. Konstanty ubrany jest w zniszczony galowy mundur studencki, na palcach ma — tak jak generał i Sergjusz — pierścienie, na szyi — starożytny złoty łańcuszek: chodzi o to, że obawiając się rewizji i grabieży, spadkobiercy podzieliли biżuterję i noszą ją całą przy sobie. Grają jedną partję, drugą, czwartą, szóstą — palą, kłócą się, znowu umawiają się nie cofać ruchów. Generał wraca z rynku i przechadza się po korytarzu, zagląda do pokoju, wreszcie decyduje się i wchodzi.

— Młokosy, grać nie umiecie.

— Tak jak umiemy.

— No-no! Nie gniewaj się, nie gniewaj!..

— Zaperzyliśmy się — i basta. Jeżeli ja zawiniłem — wybacz staremu. Posłałem Kirkę po gazetę, dałem mu dwudziestkę na pestki.

— Wcale się nie gniewam.

— I doskonale. Pluńcie na tego szacha perskiego. Lepiej — preferansika.

I zasiadają na cały Boży dzień do preferansa, przerywają jedynie poto, żeby pójść — każdy do swojego pokoju — na obiad. Sergjusz ma na drugie «galaretę» z wielbłądzich nówek. A jak Sergjusz musi stawiać kury, mówi:

— A jednak, generale, macie obrzydliwy charakter!

— No-no, młokosie!

* * *

Pieniądzy niema. Opiekunką majątkuznaczona jest Katarzyna Andrejewna. Mężczyźni obecnego ustroju nie uznają. Jedyne Sergjuszowi została gotówka ze sprzedanego przed rewolucją majątku (niedarmo ma służącą).

U Katarzyny siedzą dwie panny, które «pryncypjalnie» porzuciły — jedna gimnazjum, druga — konserwatorjum, mówią przez nos i pomagają obierać kartofle. Przychodzi Anna i Lina i wszyscy razem udają się do składu, grzebią w pozostałych po prababkach rzeczach, w przeróżnych stanikach, robionach, turnjurach, odkładają nabok srebro, porcelanę, bronz — po obiedzie mają przyjść Tatarzy. W składzie cuchnie szczurami, pod ścianami ustawione są skrzynki, tobołki, wisi ogromna zardzewiała waga.

Przed przyjściem Tatarów schodzą się wszyscy. Mężczyźni siadają na boku. Tatarzy — dwóch ich jest — witają się, podając wszystkim pokolei ręce. Generał zaś sapie. Tatarzyn-starzec, w nowych kaloszach na śniegowcach, mówi do Katarzyny:

— Jak się panie mają?

Generał zakłada nogę na nogę, kiwa nogą, mówi surowym tonem:

— Proszę bardzo — panów cena?

Tatarzyny przerzucają starzyznę, obojętnie kiwają głowami, wyznaczają absurdalnie niskie ceny. Generał zaśmiewa się i próbuje dowcipkować. Katarzyna złości się, wreszcie przemawia:

— Cyrylu Lwowiczu, przecież tak nie można.

Generał zrywa się, odpowiada:

— Oczywiście! Nie jestem spadkobiercą! Mogę odejść!

Generała uspokajają, targują się z Tatarzynami z udaną nonszalancją, przebierają starożytne ubrania z koronkami pańszczyźnianej roboty, starożytne pantofelki ręcznej roboty, lunetę, acetylenową lampę. Przez splaszczone okienka zagląda zmierzch. O mroźnym, błękitnym zmierzchu, jakgdyby przez najgrubsze szkło, widać Stary Sobór, który pamięta Stieńkę Razina, przekomarzają się dzwony. Wreszcie Tatarzyny dobijają targu, szybko, wprawnie układają zakupy w kokieteryjne tobołki, wyciągają kierunki z nabrzmiących portfeli i odchodzą.

Potem spadkobiercy dzielą się pieniędzmi. Siedzą w salonie. Okienka zawieszono są roletami; odkryte gazą (gaza, ze dwadzieścia lat niezdejmowana), kinkiety, lustro, portrety. Stoi żółty dębowy fortepian, plusz na meblach starł się, wyłysiał. Do pokoju wpada pasmami błękitny zmierzch. Spadkobiercy ubrani egzotycznie: generał — w szlafroku, złotem wyszywanym, z frendzlami; Sergjusz — w węgierce z kołnierzem bobrowym; Lina — w kamizelce futrzanej; Katarzyna — opiekunka, starszawa, z wąsikami — w jesiennym palcie męskim, w halce, w filcowych butach — w domu zimno. Wszyscy mają na sobie biżuterję, pierścionie, kolczyki, bransoletki, kolje.

Sergjusz odzywa się bojaźliwie:

— Mówiąc prawdę, czasy mamy właściwie ciężkie, proponuję podzielić pieniądze według ilości jedzących.

— Ja nie jestem spadkobiercą — wtrąca szybko generał.

Konstanty odpowiada z chłodną uprzejmością:

— Nie podzielałam społecznych poglądów. Należy zrobić podział według ilości spadkobierców.

Trwa spór. Przez okna wkracza błękitny wieczór. Z trudem następuje zgoda. Katarzyna wnosi samowar. Wszyscy idą po swoje korzonki słodowe i chleb, piją herbatę, zadowoleni, że nie muszą nastawiać samowaru.

Wtem z niespodziewanym smutkiem, i dlatego właśnie mile, odzywa się generał:

— W tej oto turnjurze, którą przed chwilą sprzedaliśmy, po raz pierwszy, będąc jeszcze porucznikiem, narzeczonym, spotkałem ciocię Ksenię... Jeżeli tak dalej ma być... Gdyby mi powiedzieli, że bolszewicy utrzymają się jeszcze jeden rok, zastrzeliłbym się. Przecież ja cierpię. To mnie przecież boli. A jestem starcem.. Nie warto żyć.

I zaczęły się codzienne łzy. Płakał starczo generał. Beczała basem wąsata Katarzyna. Zanosila się od łez Anna Andrejewna. W kącie, objawszy się, stały dwie panny i też płakały, albowiem młodość ich i upajające wino dziewiczości pozostało za burta.

— Gdyby to było możliwe — odezwała się Katarzyna — zaczęłabym rozstrze-
liwać wszystkich.

Weszły dzieci Sergjusza: Kira i Ira. Lina powiedziała:

— Dzieci, weźcie sobie białka.

Kira nasmarował chleb masłem.

* * *

Na niebie ukazał się księżyc. Gwiazdy — wyraziste, chłodne. Śniegi — błękitne. Wołga — cicha. Okolice Starego Soboru — opustoszałe, mileżące. Mróz trzeszczy, skuwa. Pannice, Ksenia i Helena, Sergjusz, generał — idą w kierunku domu, sanko-

wać się z góry po zjeździe. Konstanty odchodzi do miasta, do klubu kokainistów, kokainizować się, pleść świństwa i obcałowywać ręce kobiet, przesiąkniętych zapachem ciała. Leontjewna, służąca z giełdy pracy, cyklop, kładzie się w kuchni na lawce, odmawia pacierz przed snem i zasypia, odpoczywając po całym dniu — ona jest z giełdy, panująca, poważna, awanturnicza.

Generał stoi przed gankiem. Sergjusz wciąga na górę saneczki, usadawiają się we troje w rząd — Ksenia, Helena i on — i nikną po trzeszczącym śniegu — nadół, na lód wołżański. Saneczki pędzą jak strzała i w tym szalonym pędzie, wśród śnieżnych iskier i skrzypu, szczypiącego, tamującego oddech mrozu, Ksenia marzy o szczęściu:

Objąć, objąć cały świat! Błogosławione jest życie!

Mróz okrutny, siarczasty, trzeszczący. Generał najeża się, jak wróbel, marznie, krzyczy na ganku:

— Sergjusz! Dziś jest taki mróz, że bezwarunkowo pękną rury wodociągowe. Należałoby ustalić na noc dyżury.

Możliwe, że Sergjusz, również bliski starości, w szalonym biegu sanek też marzy o szczęściu — krzyczy:

— Głupstwol!

I znów mknie wdół, od Starego Soboru na Wołgę, poza barki i statki, ku nieskończoności lodów, mieniących się iskrami sypkiego śniegu.

Ale generał jest już zdenerwowany. Idzie do domu, alarmuje wszystkich:

— Proszę państwa! Jeżeli nie będziemy potrochu spuszczać wody, wodociąg zamrznie, pękną rury. Mróz — 27.

— Ależ kran jest w kuchni. A tam śpi Leontjewna — odpowiada Lina.

— Obudzić!

— Nie wolno!

— Bzdury! — Generał wchodzi do kuchni, szturcha Leontjewnę, tłumaczy jej o wodociągu.

Leontjewna ryczy:

— Na giełdę pójde! Spać nie dają! Leżą do rozebranej kobiety!

Lina paple za Leontjewną:

— Ona na giełdę pójdzie! Spać nie dają! Leżą do kobiety...

Przybiega Sergjusz.

— Proszę wyjść. Ja jestem odpowiedzialny. Proszę dać Leontjewnie spać!

Generał odpowiada obrażony:

— Oczywiście, nie jestem spadkobiercą.

* * *

Poprzez step, poprzez Wołgę kroczy noc, kroczy mróz. W oficynie wzdycha Ksenia i Helena. Generał nie może zasnąć. Konstanty wraca późno, pocichu, przekrada się do Leontjewny. Przez okna domu wkradają się błękitne pasma księżycowego światła.

Rura wodociągowa przez noc zamrzła i pękła.

Tłum. Binom.

SERGJUSZ JESIENIN

(1895—1925)

[TO NIE CHMURY...]

To nie chmury, nie mgły nad doliną
dokoła.

Matka Boska zczyniła dla syna
kołacz.

Słodkościami nasyciła żyto,
maselkiem.

I upiekła, i złożyła cicho
w jasełkę.

Bawił się nim maleńki, aż usnął
rozśmiany.

Wypadł z rączek pozłacany kołacz
na siano.

I potoczył się ten kołacz za wrota
zbożem.
Zamąciły lzy błękitną duszę
Bożą.
Matka Boska rady synaczkowi
dawała:
Nie płacz, nie płacz, moje labędziatko,
mój mały.

Na tej ziemi wszyscy ludzie w troskach
i w smutku.
Trzeba im choć jedną dać zabawkę
malulką.
Straszno im, gdy ciemną nocą
w mgle są.
Dałam imię temu kołaczowi:
miesiąc.

[PORZUCIŁEM...]

Porzuciłem mój dom rodzinny
i błękitną Ruś porzuciłem.
Trzy gwiazdeczki zapala brzezina,
żeby smutkiem matce świeciły.

Złotą żabką się księżyc wyłonił
i na cichej rozpostarł się wodzie.
Memu ojcu okwiatem jabłoni
siwe włosy rozlały się w brodzie.

Ja nieprędko, nieprędko powrócę.
Długo śpiewać wichurom po drodze.
Wiernie strzeże błękitnej Rusi
stary klon mój na jednej nodze.

Jest w nim radość, jeśli scałować
krople deszczu z liści zielonych.
To dlatego, że moja głowa
do starego podobna klonu.

Tłum. Władysław Broniewski.

[ZŻĘTE POLA...]

Zżęte pola, gaj bezpióry,
Wody tchną wilgocią zgniłą.
Kołem za błękitne góry
Słońce ciche się stoczyło.

Drzemią drogi koleiny,
Im się dzisiaj przywidziało,
Że do przyjscia siwej zimy
Już tak mało dni zostało.

Ach, i sam widziałem wprzódy,
Z za wieczornej mgły firanek,
Jak żrebakiem księżyc rudy
Wprzegał się do naszych sanek.

LIS

Ledwo dowlókl się na nodze zdruzgotanej,
Tuż przed norą miękkim kłębkim legł.
Wąskim szlakiem krew, płynąca z rany,
Zabarwiła wokół głowy śnieg.

Wciąż powracał doń kłujący dym wystrzału,
Przed oczyma chwiał się bagien leśnych lód.
Gdzieś z za krzaku wicher kosmaty zawiął
I rozsypał rozdzwoniony śrut.

Niby żolna, nad nim czarna mgła latała,
Mokry wieczór był, jak lepki krwawy dzban.
Trwożnie głowa się wznosiła, opadała,
I bezsilnie język stygł na ogniu ran.

Żółty ogon padł pożarem w zamieć siną,
W pysku posmak — niby marchwi zgniłej śpiew...
Wiało szronem i pachniało cierpko gliną,
A zmrzuł oczu zalewała zwolna krew.

Tłum. Leonard Podhorski-Okotów.

[POWOLUTKU ODCHODZIMY WSZYSCY...]

Powolutku odchodzimy wszyscy
tam, gdzie spokój i gdzie cisza boga.
Może wnet już czas nakaże bliski
i mym szczątkom iść znikomym w drogę.

Gaju słodki, co tak w upał chłodzisz!
Ziemio droga! Piasku równin złoty!
Przed orszakiem tych, co w dzień odchodzą,
już nie mogę ukryć swej tęsknoty.

Ukochałem nazbyt na tym świecie
to, co duszę w ciału przyobleka.
Pokój drzewom, które w znojnem lecie
zapatrzyły się w różowość rzeki.

Wiele myśli przemyślałem hardych,
wiele pieśni ułożyłem tkliwych
i na ziemi tej, na ziemi twardej
tem, że żyłem, byłem ja szczęśliwy.

Żem całował usta co najśłodsze,
deptał kwiaty, w trawie łąk się tarzał
i że zwierząt, niby braci młodszych,
nigdy, nigdy nie odważał.

Wiem, że żadne gaje tam nie chłodzą,
że nie dzwoni żyto sypkim deszczem.
Przed orszakiem tych, co w cień odchodzą,
czuć dlatego będę zawsze dreszcze.

Wiem, że w kraju tym, gdzie się obudzim,
żadna niwa się nie zazieleni.
I dlatego drodzy mi są ludzie,
którzy ze mną żyją tu na ziemi.

Tłum. Kazimierz A. Jaworski.

*Wybór tekstów i układ Sergjusza Kulakowskiego
i Alfreda Toma.*